

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 12

1948



J. CZAPSKI — Proust w Griazowcu ♦ ARKUSZE POETYC-  
KIE: F. G. LORCA — Krwawe wesele (przekład J. Łobodow-  
skiego ♦ W. TARNAWSKI — Dzieje Nałęczkich ♦ NAJNOWSZA  
HISTORIA POLSKI: K. IRANEK-OSMECKI — Kapitulacja  
Warszawy ♦ KRONIKA KULTURALNA: M. HEIZMAN —  
75-lecie Polskiej Akademii Umiejętności ♦ W. ZALESKI — Zjazd  
naukowy w Monachium ♦ KSIĄŻKI

SAINT-EXUPERY — Co powiedzieć ludziom?

ALEKSANDER JANTA — Wracam z Polski

## SPIS RZECZY

Antoine Saint-Exupéry:	<i>Co powiedzieć ludziom?</i> .....	3
Aleksander Janta:	<i>Wracam z Polski</i> .....	9
Józef Czapski:	<i>Proust w Giazowcu</i> .....	25

## ARKUSZE POETYCKIE

Federico Garcia Lorca:	<i>Krwawe wesele</i> .....	37
------------------------	----------------------------	----



Wit Tarnawski:	<i>Dzieje Nałęczkich (dok.)</i> .....	57
----------------	---------------------------------------	----

## NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Kaz. Iranek-Osmecki:	<i>Kapitulacja Warszawy</i> .....	79
Tadeusz Wasilewski:	<i>Jeszcze o „Komitecie siedmiu”</i> ..	117

## ARCHIWUM POLITYCZNE

<i>Sytuacja międzynarodowa z perspektywy paryskiej</i> .....	120
--	-----

## KRONIKA KULTURALNA

Marian Heizman:	<i>75-letnia rocznica Polskiej Akademii Umiejętności</i> .....	130
Wojciech Zaleski:	<i>Zjazd naukowy w Monachium.</i>	139

## KSIĄŻKI

Wacław Grubiński:	<i>A propos „Długiego życia”</i> ....	147
Camille Mayran:	<i>„Ciężenie i łaska” Simone Weil</i>	151
Aleksander Korczyński:	<i>Książki o Niemczech</i> .....	155

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »  
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 12

1948

INSTITUT



LITERACKI

## Co powiedzieć ludziom ?

List do generała X... znaleziony w papierach zaginionego pilota, został napisany w lipcu 1943 r. Antoine de Saint-Exupéry był wówczas pilotem w Marsa koło Tunisu i wykonywał loty zwiadowcze na samolocie Lightning P.38, jednoosobowym dwumotorowym, nieuzbrojonym i przystosowanym do lotów na dużej wysokości. List, pisany w mocnych, przejmujących zdaniach, stanowił część korespondencji z pewnym generałem lotnictwa. Jak się zdaje, nie został jednak wysłany.

Mam za sobą kilka lotów na «P.38». Wspaniała maszyna! Wyobrażam sobie, jak byłbym się cieszył, dostawszy ją w prezencie mając lat dwadzieścia. Ale dziś, w czterdziestym trzecim roku życia, po przeszło sześciu i pół tysiącach godzin lotu na podniebnych szlakach wszystkich kontynentów, muszę stwierdzić ze smutkiem, że latanie nie sprawia mi żadnej przyjemności. Samolot stał się już tylko środkiem transportu, lub — jak w moim obecnym wypadku — machiną wojenną. I jeżeli obecnie, w wieku, który w naszym zawodzie uchodzi za sędziwy, poddaje się jeszcze dyscyplinie szybkości i wysokości, to robię to nie tyle z nadzieją, że powrócą radosne wzruszenia lat młodości, ile z obowiązku, by nie uchylić się od żadnego z kłopotów właściwych memu pokoleniu.

Może w tym jest coś z melancholii, a może i nie. Boć niewątpliwie dwudziestka, a nie czterdziestka była dla mnie wiekiem złudzeń. W październiku 1940, po powrocie z Afryki północnej, dokąd schroniła się grupa 2-33, wsadziłem mój samochód resztką tchu goniący do zakurzonego garażu. Odkryłem wtedy czar jazdy wózkiem zaprzężonym w konia, a przez to i ścieżki porośnięte trawą i stada baranów i drzewa oliwne. Drzewa te miały inny cel, aniżeli wybijanie taktu za szybą pędzącego 130 kilometrów na godzinę wozu. Ukazały mi się w swym prawdziwym rytmie, rytmie powolnego rodzenia oliwek. I barany nie miały za wyłączny cel obniżania tempa jazdy. Nabierały życia, fabrykowały paciorki prawdziwego łąjna i dawały prawdziwą wełnę. A trawa miała także jakiś sens, bo służyła im za paszę.

Poczułem, jak sam zaczynam odżywać w tym jedynym zakątku ziemi, gdzie pył nawet przepojony jest zapachem (tu nie mam racji: pachnący pył jest także w Grecji i Prowansji). I wydało mi się wtedy, że całe moje dawne życie było nonsensem.

PRINTED IN FRANCE

Piszę o tym wszystkim, by Panu wytłumaczyć, że w mojej obecnej egzystencji, w tym trzodnym bytowaniu w amerykańskiej bazie i w posiłkach wchłanianych z pośpiechem, na stojąco i w monotonnym krążeniu od naszych jednoosobowych 2.600-konnych maszyn do bezdusznego budynku, w którym gnieździmy się po trzech w pokoju, że w całej tej straszliwej pustyni ludzkiej nie ma literalnie nic, co mogłoby sprawiać mi przyjemność. Są to — podobnie zresztą jak bezowocne loty, bez nadziei powrotu do czerwca 1940 — symptomy jednej i tej samej choroby, przez którą muszę przejść. Jestem chory na czas bliżej nieokreślony. A jednak nie wolno mi się wymigać od tej choroby — to wszystko. Dziś ogarnia mnie smutek — smutek sięgający w głąb — kiedy myślę o moim pokoleniu pozbawionym wszelkiej treści ludzkiej, pokoleniu, które zamknawszy swe życie duchowe w ciasnym kręgu barów, matematyki, czy samochodów sportowych, bierze udział w akcji wyłącznie stadnej i całkowicie bezbarwnej. Nie można tego nie widzieć. Niech Pan sobie przypomni czyny wojskowe sprzed stu lat i zauważy ile w nich skupiało się wysiłków, odpowiadających życiu duchowemu, poetyckiemu, czy choćby, całkiem po prostu, *ludzkiemu* życiu człowieka. Dziś, wysuszeni z tych pierwiastków bardziej niż cegły na wietrze, śmiejemy się z przestarzałych rekwizytów walki. Stare mundury, sztandary, pieśni żołnierskie, muzyka, same zwycięstwo nawet (czyż można dziś mówić o zwycięstwie? Czy jest coś, co miałoby poetycką wartość bitwy pod Austerlitz? To co jest — to są tylko procesy trawienia, powolnego lub szybkiego) — cały ten liryzm wydaje się nam śmieszny, ludzie nie chcą się dać obudzić do jakiegokolwiek życia duchowego. Wykonują tylko sumiennie swą zmechanizowaną pracę. Młodzież amerykańska przyznaje przecież otwarcie, że «przyjmuje uczciwie ten niewdzięczny *job*», a propaganda całego świata załamuje ręce. Niedomaganiem naszego pokolenia nie jest brak uzdolnionych jednostek, ale obawa przed śmiesznością, na jaką naraża się ten, kto chce się oprzeć na wielkich, ówczesnych ideałach. Upadek ludzkości mierzy się drogą przebytą od tragedii greckiej do sztuk p. Louis Verneuil (a trudno chyba zabrnąć dalej). Żyjemy w wieku reklamy, tayloryzacji, totalitarnych reżimów i wojska bez fanfary, sztandarów czy mszy za zmarłych — i dlatego nienawidzę tego stulecia ze wszystkich sił. *Człowiek* w nim ginie z pragnienia.

Właściwie, panie generale, istnieje dziś tylko jeden problem na świecie: zwrócić człowiekowi jakieś znaczenie *duchowe*, oddać mu choćby jego *duchowe* utrapienia, zrosić go czymś podobnym do gregoriańskiej melodii. Pewiem jestem, że gdybym miał wiarę, to, skończywszy mój «konieczny, a niewdzięczny *job*», mógłbym wytrzymać życie chyba tylko w Solesmes.<sup>1)</sup> Nie

1) Opactwo benedyktyńskie, sławne z śpiewu gregoriańskiego. — Przyp. tłum.

można żyć z *frigidaire'ów*, polityki, bilansów i krzyżówek. Nie można żyć bez poezji, bez barw, bez miłości. Wystarczy postuchać wiejskiej piosenki z piętnastego wieku, by zrozumieć rozmiar naszego upadku. Dziś pozostaje nam tylko głos robota propagandy. Dwa miliardy ludzi słuchają tylko robota, rozumieją tylko robota i zaminiają się same w robotów. Wszystkie wstrząsy ostatnich trzydziestu lat mają tylko dwa źródła: bezdroża ekonomicznego systemu dziewiętnastego stulecia i rozpacz duchowa. Dlaczego Mermoz podążył za swym pułkownikiem<sup>2)</sup>, jeżeli nie z pragnienia. A Rosja? A Hiszpania? Ludzie wypróbowali wartość kartezjańskich zasad i przekonali się, że poza naukami przyrodniczymi nie na wiele im się przydały. Problem jest tylko jeden: odkryć na nowo, że istnieje życie ducha, życie wyższego rzędu, aniżeli życie intelektu i jedyne, jakie może dać człowiekowi radość. Przekracza ono ramy życia religijnego, które jest tylko jedną z jego form (choć może być, że życie duchowe prowadzi nieuchronnie właśnie do *tej formy*). Życie ducha zaczyna się tam, gdzie jednostka ludzka staje się *jednością*, ponad różnymi materiałami, z jakich jest zbudowana. Już choćby przywiązanie do domu — uczucie nieznanne w Stanach Zjednoczonych — jest życiem ducha.

A kiermasze wiejskie, a modły za zmarłych? (Cytuję ten ostatni przykład, bo od mego przybycia tutaj zabiło się dwu spadochroniarzy. Zeskamotowano ich po prostu — przestali służyć). Nie jest to zresztą typowe dla samej tylko Ameryki; jest to właściwość naszej epoki: człowiek przestał mieć sens.

Trzeba, trzeba koniecznie przemówić do ludzi.

Na co nam się przyda wygrać wojnę, jeżeli będziemy musieli znosić przez sto lat ataki rewolucyjnej epilepsji? I kiedy kwestia niemiecka zostanie w końcu załatwiona, wtedy dopiero staną przed nami prawdziwe problemy. Mało jest prawdopodobne, by spekulowanie zapasami amerykańskimi, jak to miało miejsce w roku 1919, mogło odwrócić uwagę ludzkości od istotnej bolączki. W braku jednego silnego kierunku duchowego, powstaną, jak grzyby po deszczu, niezliczone drobne sekty, walczące z sobą. Nawet marksizm, mocno już podstarzały, rozłoży się na wiele sprzecznych z sobą neomarksizmów. Widzieliśmy to w Hiszpanii. O ile oczywiście jakiś francuski Cezar nie wsadzi nas na wieki do jakiegoś neosocjalistycznego obozu koncentracyjnego.

Ach, co za dziwny wieczór — ten wieczór dzisiejszy — i jaki dziwny klimat! Widzę, jak zapalają się okna budynków bez twarzy. Słyszę, jak liczne radia wylewają drewnianą muzykę na tłum wyprany z pragnień, na tłum co przybywszy zza mór,

2) De la Rocque. — Przyp. tłum.

nie zna nawet tęsknoty za krajem.

Wziąć to zrezygnowane poddanie się losowi za ducha poświęcenia, za wielkoduszność, byłoby wielkim błędem. Więzy miłości łączące człowieka z innymi ludźmi, czy rzeczami są dziś tak luźne, że nawet rozłąki nie odczuwa się jak ongiś. Przypomina mi się naprawdę straszne w sensie pytanie z żydowskiej anegdoty: «A więc jedziesz tam? Jak to daleko! — Daleko, a «skąd»? To «skąd», od którego się odjechało, to już dziś tylko wiązka przyzwyczajęń. W naszej epoce rozwodów, rozwód bierze się równie łatwo z rzeczami. *Frigidairé*y są wszędzie zamienne. Tak samo dom, o ile jest tylko zwykłym zbiorowiskiem przedmiotów. Tak samo kobieta, religia, czy partia. Nie można nawet złamać wiary — bo i komu? Daleko — a skąd? Niewierny — a komu? Czyż to nie pustynia ludzka?

Jakże są układni i spokojni ci ludzie w gromadzie! Myślę o marynarzach bretońskich, co ongiś, wylądowawszy w porcie, ruszali na miasto; o owych kłębowskiach gwałtownych apetytów i niezaspokojonej tęsknoty, jakimi są samce stłoczone w zbyt surowym odosobnieniu. Aby ich utrzymać w ryzach, trzeba było albo silnych żandarmów, albo silnych zasad, albo silnej wiary. Ale żaden z nich nie byłby wyrządził krzywdy dzieweczce pasącej gęsi. Człowieka dzisiejszego trzyma się w ryzach «belotem»<sup>1)</sup>, albo bridżem, zależnie od środowiska. Wykastrowano nas dziwnie dokładnie... i puszczone na wolność. Obcięto nam ręce i nogi, a potem pozwolono łaskawie maszerować. To też nienawidzę mej epoki, w której człowiek stał się bydlęciami łagodnym, grzecznym i spokojnym w jarzmie powszechnego totalitaryzmu. Czego nienawidzę w marksizmie, to właśnie totalitaryzmu, do którego prowadzi. Człowiek jest w jego ujęciu tylko producentem lub konsumentem, a dystrybucja staje się jedynym problemem. Akurat tak, jak we wzorowym gospodarstwie. Czego nienawidzę w nazizmie, to totalitaryzmu, jaki głosi z racji samej swej treści. Pokazuje się robociarzom z Ruhry obrazy Van Gogha, Cézanne'a i oleodruk i każe wybierać. Wybierają oczywiście oleodruk. Oto prawda, przemawiająca ustami ludu! Wobec tego zamyka się starannie w obczach koncentracyjnych kandydatów na Van Gogh'ów, czy Cézanne'ów i karmi masowo produkowanymi oleodrukami potulne bydelko. A dokąd idą Stany Zjednoczone, dokąd idziemy my wszyscy w tej epoce powszechnego zurzędniczenia? Człowiek robot, człowiek termit, człowiek, którego życie płynie między stayloryzowaną robotą, a partią «belota», człowiek wykastrowany z wszelkich możliwości twórczych, który nie umie nawet w swej wiosce wymyślić tańca, czy ułożyć piosenki, człowiek, którego karmi się kulturą konfekcyjną, standardową, jak woły sianem — oto człowiek dzisiejszy!

Pomyśleć sobie, że trzy wieki temu można było napisać taką *Princesse de Cleves*, albo zamknąć się do końca życia w klasz-

1) Popularna we Francji gra w karty. — Przyp. tłum.

torze z powodu utraconej miłości — tak gorąca wówczas była miłość. Oczywiście, dziś ludzie popełniają samobójstwa. Ale cierpienia ich są tego rodzaju, co ból zębów. Nie do zniesienia. A to nie ma nic wspólnego z miłością!

Musimy, rzecz prosta, przebyć pierwszy etap. Nie mogę pogodzić się z myślą, że pokolenia dzieci francuskich miałyby być oddane na pastwę germańskiego molocho. Sam byt nasz jest zagrożony. Ale kiedy go ocalimy, wówczas główne pytanie naszego stulecia stanie przed nami w całej rozciągłości. Na pytanie to, które dotyczy samego sensu człowieka, brak odpowiedzi i mam wrażenie, że idziemy ku najczarniejszej epoce w dziejach świata.

Obojętne mi jest, czy zginę na wojnie. Co pozostanie z tego, com ukochał? I to nie tylko z ludzi, ale i ze zwyczajów, z pewnego kolorytu życia, z tego jakiegoś blasku duchowego? Z śniadania w prowansalskiej fermie w cieniu drzew oliwnych, ale także z Haendla? Co mi z rzeczy, które pozostaną? Nie o rzeczy chodzi, ale o porządek ich rozmieszczenia. Cywilizacja jest dobrem niewidzialnym, bo polega nie na rzeczach, ale na niewidzialnych więzach, które je łączą między sobą. Będziemy może mieli doskonałe instrumenty muzyczne, produkowane seryjnie, ale co z tego, jeżeli nie będzie muzyka? Nic mnie nie obchodzi, że mogę zginąć na wojnie, albo dostać szalu w jednej z tych latających torped, które nie mają nic wspólnego z lotem i czynią z pilota, usadowionego między mnóstwem guzików, dźwigni i zegarów, coś w rodzaju głównego buchaltera (lot jest także w pewnym sensie więzem). Ale jeżeli powrócę żywy z tego «koniecznego, a niewdzięcznego job'u», to stanie przede mną tylko jedno pytanie: co można, co trzeba powiedzieć ludziom?

Coraz mniej rozumiem, po co panu o tym wszystkim mówię. Niewątpliwie dlatego tylko, by się z kimś podzielić myślami, co mnie trapią, a których właściwie nie powinienem wylewać na papier. Trzeba szanować spokój drugich, i nie gmatwać zbyt wiele problemów. Tymczasem więc muszę zostać nadal głównym buchalterem mego samolotu.

Od chwili, kiedy rozpocząłem pisanie, dwu mych towarzyszy zasnęło w izbie. Trzeba będzie iść spać także, bo światło pewnie im przeszkadza (brakuje mi kąta dla siebie!). Ci dwaj towarzysze są wspaniali w swym rodzaju. Jakie to prawe, szlachetne, czyste, wierne. I właściwie nie wiem dlaczego, patrząc na nich, odczuwam coś jakby bezsilne politowanie. Boć oni na pewno nie mają świadomości własnego niepokoju. Prawi, szlachetni, czysti, wierni, ale równocześnie straszliwie ubodzy. Jakże im potrzeba jakiegoś boga! Niechże mi pan wybaczy, jeżeli kiepska lampa, którą za chwilę zgaszę, przeszkodzi i panu we śnie i niech pan uwierzy w moją przyjaźń.

Antoine de SAINT-EXUPÉRY.

Przekład autoryzowany Daniela Świeżawskiego.  
Copyright Gallimard, Paris.

# „ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja  
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, Wielkiej Brytanii, Francji,  
Holandii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech

## ● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 15 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

## ● Prenumerata:

WE FRANCJI miesięcznie 60 fr. fr.; kwartalnie 180 fr. fr.  
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/  
rocznie 45/.

## ● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,  
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton  
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)  
przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma  
**BERRY Co, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.**

## Wracam z Polski

Wracam z Polski po blisko trzech miesiącach podróży, spotkań i rozmów, zwiedzań i studiów, obserwacji i refleksji, z których dziś pragnę zdać sprawę.

Dzieliło mnie od ostatniego na ziemi polskiej pobytu dziewięć lat, gdy 13 lipca po południu lądowałem od nowa w Warszawie. Nie przeżyłem w Polsce ani Września, ani okupacji, ani Powstania. Nie przeżyłem w niej wyzwolenia, ani tych wszystkich wstrząsów uczuciowych, jakie łączą się z tym pojęciem dla tych, którzy patrzą na wydarzenia w Polsce z zewnątrz. Nie może bowiem ulegać wątpliwości, że wymowa tych odczuć i ich ewolucja odmienna jest tam, na miejscu, od sposobu reagowania na obecną rzeczywistość w Polsce ze strony ludzi, którzy w rozwoju wypadków polskich brali udział z stosunkowo bezpiecznych pozycji obserwacyjnych poza krajem, choćby nawet próbowali na nie wywrzeć swój wpływ.

Opowiadanie o podróży odbytej po Polsce w roku 1948, pisane po powrocie z niej, już zagranicą, będzie więc musiało liczyć się ciągle z ową odmiennością widzenia prawdy, która w dzisiejszym świecie jest subiektywna i wygląda inaczej w zależności od tego, czy na nią patrzymy z New Yorku czy z Moskwy, a znowu różna, gdy się ją przeżywa w Polsce.

Istnieje poza tym wgląd w nią inny jeszcze — wgląd pod kątem sumienia. Czymże wyrazić się może dla człowieka piszącego fakt posiadania go, jak nie poczuciem odpowiedzialności. Odpowiedzialności wobec kogo? Wobec tych dwudziestu i kilku milionów rodaków, którzy w Polsce mieszkają. Ich interes i sprawy ich życia i ich przyszłości dyktują moją postawę. Nie wiem czy może być dziś inna racja służenia Polsce. Co do mnie, innej nie widzę.

Uczuciowe oceny, dzielące Polaków między sobą skrajnymi kategoriami zdrajców lub zbawców, odstępców czy prawowiernych, są wykładnikami różnic w podejściu do obecnej sytuacji w Polsce.

Istnieją w wyniku wojny dwie przeciwne sobie koncepcje jej urzędzenia; monopolu na sprawdzalną rację nie posiada z nich dotąd żadna. Ta bowiem zależy od tysiąca czynników, na które Polacy już nie mają wpływu. Ale jedna koncepcja uzyskała dziś możliwość realizowania swoich zamierzeń i podporządkowania

im społeczeństwa w Polsce bez względu na jego wolę czy zrozumienie drogi, na którą pchnięto jego dzieje, rezygnując w dodatku z pełnej suwerenności państwa na rzecz innych korzyści i innych wyrachowań, albo dlatego po prostu, że nie istnieje w tym względzie żaden wybór. Druga natomiast wywodzi swoje prawo do oburzenia na ten kierunek i na los, jakiemu poddana została Polska, z poczucia urażonej sprawiedliwości i pogwałconej legalności politycznej, pretensje swoje w tej mierze kierując niemal wyłącznie (co nie zdaje się w pełni uzasadnione) pod adresem Rosji, jako głównego winowajcy zaszytych we wschodniej Europie przemian i odrzucając je bez zastrzeżeń, jako stan rzeczy nie do przyjęcia.

W tej sytuacji i w sytuacji rosnącego konfliktu dwóch światów wydawało mi się rzeczą ważną i pożyteczną uczynić próbę zobaczenia także tamtej strony.

Wojnę i pierwsze lata zawieszenia broni „odbyłem” na Zachodzie, przeżywałem na tym Zachodzie wszystkie doświadczenia i wszystkie rozczarowania, zaczynając od frontowych, a kończąc na tej odstawce, jaka dziś bywa udziałem Polaków tej strony świata; należałem nie tylko samym faktem cielesnej obecności do emigracji; poznałem los jej na własnej skórze.

Widzenie sytuacji w Polsce poprzez filtry poglądów emigracji przestało mi wystarczać od chwili, gdy opanowała mnie wątpliwość, czy głoszone od lat hasła jej zamierzeń i postulatów posiadają w świecie, w którym żyjemy, konkretne szanse urzeczywistnienia. Od chwili zrozumienia, że konflikt, który rośnie jest konfliktem rosnącym ponad naszymi głowami. Od chwili przekonania się, że reprezentacja racji stanu polskiej wobec czynników dyspozycji politycznej na Zachodzie, mimo rządu w Londynie, nie posiada tego znaczenia czy wpływu, który by w razie nowej wojny potrafił oszczędzić krajowi (a interesom kraju podporządkowane być musi myślenie polskich czynników politycznych gdziekolwiek by były, boć inaczej traci rację bytu) doświadczeń podobnie okrutnych i zniszczeń podobnie totalnych jak te z poprzedniej wojny.

Zbiegły się z tym „kryzysem sumienia” zabiegi amerykańskiej agencji odczytowej, dla której pracowałem przez ostatnie trzy lata, oraz list „Life'u”, zainteresowanych w pokazaniu słuchaczom (względnie czytelnikom) życia Polski od dołu, od dna, z perspektywy zwykłego człowieka, z pominięciem oficjalności rządowej czy dyplomatycznej — wypadkowa tych propozycji i tamtej ciekawości prowadziła prostą drogą do Polski.

Wracam dzisiaj po odbytej podróży z dokonania której nie widzę potrzeby tłumaczenia się przed kimkolwiek. Pozostałem wierny swojemu sumieniu i swemu zawodowi — powodowała mnie troska o sprawy wspólne Polakom i wspólnie ludziom, jacykolwiek by byli. Powodowała mnie ciekawość poznania na własną rękę nowej polskiej rzeczywistości, jakakolwiek by ona była. Zdaję sobie sprawę, że ten rodzaj reportażu, jakiego podejmuję się dziś, w okresie podniecenia ideologicznego i za-

cietrzewień, w jakich żyjemy po obu stronach kurtyny, nie będąc w stanie mówić o sobie inaczej jak tylko z pianą gniewu na ustach, jest nie tylko trudnym, ale także niewdzięcznym zadaniem. Proszę jednak czytelnika o nie wyciąganie zbyt pochopnych wniosków zanim nie przeczyta całości. Już kiedyś, drukując część mojego reportażu o Rosji w „Kurierze Warszawskim” miałem do czynienia z niecierpliwością a nawet niechęcią czytelników, wiedzących z góry i na zapas lepiej i oskarżających mnie — mówiąc łagodnie — o zupełną naiwność w ocenianiu rzeczywistości sowieckiej roku 1932, jako rosnącej wbrew pozorom sily, gdy oni spodziewali się, tylko patrzeć, rozlecenia się tego interesu i tego eksperymentu. Tamę tym zarzutem postawił dopiero artykuł wstępny B. K. (senatora Bolesława Koskowskiego), domagający się od czytelników spokoju i pozwolenia dla mnie na napisanie do końca tego co widziałem. Nie zdobył się jednak „Kurier” na druk moich wniosków, które ukazały się dopiero w książce „Patrzę na Moskwę”. Nie potrzebuję dziś odwoływać z nich ani słowa. W patrzaniu na wieczną zmienność świata nie to jest bowiem prawdą, co wydaje nam się słuszne dzisiaj, ale co wytrzymało próbę czasu, choćby w chwili kiedy o tym mówić, wydawało się nawet nonsensem. Ostatni wstęp i wniosek mojej ówczesnej książki, będący w chwili pisania oceną nie do przyjęcia dla redakcji „Kuriera Warszawskiego”, brzmiał jak następuje:

„Zależać nam winno na dobrym, sąsiedzkim pożyciu i stosunkach mniej opartych na uczuciach, które jeżeli mowa o bolszewikach wykazują zawsze jeszcze reakcję ujemną, ale na konkretnym i aktualnym materiale narastających faktów, pamiętając, że się tam z chaosu wykształca powoli i już na całej swej długości przeciąga — zanim wstanie — kolos, który tak czy inaczej zaważy na losach świata, a któremu na imię — nowa Rosja”.

W roku 1946 natomiast, w Ameryce, w katolickim miesięczniku „The Sign” (przedrukował ten artykuł „The Catholic Digest”) drukowałem bilans rozczarowań polskich w wyniku wojny i robitem rozliczenie, ile z nich zapisać wypada na konto polityki przyjaźni naszych na Zachodzie. Powiedziałem tam na zakończenie, że nic by mnie nie dziwiło, gdyby w wyniku tego bolesnego rachunku Polacy zrewidowali swój stosunek do owych przyjaźni i w następnej próbie sił stanęli raczej po stronie Rosji, pod warunkiem, że okaże ona szerszy gest i więcej inteligencji, niż tego można spodziewać się z dotychczasowego jej stosunku do Polski. Artykuł ten nie wywołał ze strony prasy emigracyjnej ani słowa sprzeciwu.

Zastużyłem sobie kiedyś w Polsce na miano pioniera „wielkiego reportażu”. Pokusiłem się dzisiaj o zrobienie jednego jeszcze, najważniejszego w życiu. Będzie ostatni także. Skończy na nim swoją karierę dziennikarskiego sprawozdawcy, pragnąc zdobyte w ciągu dwudziestu lat poznawania świata doświadcze-

*nia obracać odtąd w służbę przede wszystkim literatury. Dziennikarstwo bowiem, jak to mówią Francuzi, prowadzi wszędzie, pod warunkiem, aby z niego wyjść. Właśnie wychodzę.*

Przeszło miesiąc pobytu w Warszawie, zwiedzenie wystawy wrocławskiej, Katowice, Kraków, Oświęcim, Poznań, Szczecin, Gdańsk, Sopot i Gdynia, Tuchola, Chojnice, Starogard i Toruń, Olsztyn, Frombork i pobyt nad zalewem wiślanym, tuż przy granicy, wreszcie Częstochowa i Łódź oraz odwiedzenie kilku wsi — tak oto przedstawia się trasa mojego podróży po Polsce. Wspomnę jeszcze wizytę we Wrocławiu w czasie zjazdu intelektualistów, chociaż na obrady tego zjazdu odmówiono mi wstępu. Któryś z zarobliwych przedstawicieli partii rządzącej twierdził wprawdzie, że powinienem być starać się o wstęp jako korespondent prasy emigracyjnej, było już jednak za późno sprawdzić czy odniosłoby to lepszy skutek. Na pytania «kogo Pan reprezentuje?» odpowiadałem bowiem zwykle, że tylko samego siebie. I jako taki byłem traktowany.

Przez cały czas pobytu w Polsce nie miałem wypadku aby ktokolwiek sprawdzał moje papiery, albo legitymował mnie, mimo, że jak to wynika z opisaną wyżej drogi moich podróży, odbytych w ciągu dwóch i pół miesiąca, poruszałem się po Polsce wcale ruchliwie i pilnie.

W dodatku, robiąc reportaż, rozmawiałem na lewo i na prawo z ludźmi. Na prawo nawet częściej, niż na lewo. Żadnych utrudnień. Spotykałem kogo chciałem i gdzie chciałem. Rozmawiałem z przedstawicielami rządu i z jego przeciwnikami, z prymasem Hiłodem, z politykami wszystkich legalnych odcieni i nielegalnych zainteresowań, z ludźmi TIP'u (Tępią Inicjatywa Prywatna), z ludźmi PNZ-tów (Państwowe Nieruchomości Ziemskie; mówią o nich «Panowie Niemający Ziemi»), z chłopami, z robotnikami, z ludźmi, którzy dopiero co wyszli z więzienia i z takimi, którzy poszukiwani byli przez UB. Widziałem ludzi, którzy niedawno dopiero przybyli z Rosji, po latach obozów i ciężkich doświadczeń, spotykałem kolegów z Anglii i z zachodniego frontu, którzy wrócili przed dwoma laty albo przed dwoma tygodniami — każdy z inną oceną tego co w Polsce znalazł i tego czego się spodziewał. Spotkałem nawet Polaków z Sachalinu, których odwiedzałem w 1934 roku na owym północnym skraju japońskiego wówczas imperium, dziś skróconego przez Rosję, — wrócili przed kilku miesiącami wszysej.

Wydawało mi się chwilami, że jestem jak wielki spowiednik — przychodził mi do mnie znajomi i nieznajomi opowiadać o swoich kłopotach, troskach, lękach i nadziejach.

Z wystuchiwania tych, jakże różnych kolei życia myślę, że mogłem sobie urobić jaki taki pogląd na sytuację w Polsce.

Nie przypuszczam jednak, że te znaczne i nieskrępowane możliwości poznawania dzisiejszej Polski, jakie były moim udziałem, wynikały z jakiegoś szczególnego uprzywilejowania mojej osoby. Posiada je każdy akredytowany korespondent. Nikt mnie

wprawdzie nie akredytowałem, ale nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, że ze strony czynników odpowiedzialnych za wjazd dla takiego człowieka jak ja, istniała w dodatku postawa podobna do tej, jakiej doświadczyłem w 1933 roku, w Mandżurii, ówczesny reportaż mój o stosunkach na kolei wschodnio-chińskiej, drukowany w «Gazecie Polskiej» pod tytułem «Pod panowaniem Chunchuzów», doczekał się przedruku w moskiewskiej «Prawdzie», opatrzonego komentarzem redakcji na temat wyjątkowo obiektywnej oceny stosunków w Mandżurii ze strony polskiego korespondenta. Ocena ta wypadła na wyraźną niekorzyść Japończyków.

W rezultacie konsul japoński w Charbinie dał mi do zrozumienia, że powinienem w ciągu 24 godzin opuścić Mandżurię, grożąc, że namiętne poszukiwanie przygód, jakiemu się oddaję w tym kraju, może skończyć się dla mnie nieoczekiwaną i bardzo nieprzyjemną przygodą o charakterze wcale zasadniczym. Szef sztabu armii kwantuńskiej, do którego odwołałem się wówczas, a którym był generał Koiso, późniejszy premier Japonii w czasie wojny, zaczął z innej beczki. Powinszował mi, ni mniej ni więcej, doskonałego i prawdziwego reportażu. Ale dodał natychmiast, że moje rewelacje w niczym nie zmienią polityki japońskiej w Mandżurii, bo dla Japonii jest już obecnie rzeczą zupełnie obojętną co o niej myśli się albo pisze zagranicą. Ma swoje rzeczy do zrobienia, wierzy w ich słuszność i robi je bez względu na tę czy inną opinię.

W Polsce natomiast gra rolę poza tym jeszcze inny wzgląd i inna racja, która nie może być pominięta w tym sprawozdaniu. Nikt nie ukrywa tu faktu, że dziejące się dziś w Polsce wypadki, więc przebudowa ustroju i związane z nią próby przebudowy psychiki społeczeństwa, są rezultatem zjawiska, które tylko bardzo wstrzemięźliwi obserwatorzy mogą zakwalifikować terminem innym, niż rewolucja.

Dokonywa się ona na pewno w formach łagodniejszych o wiele i w tempie powolniejszym nieco niż do miało miejsce w Rosji, ale istoty procesu okoliczność tych różnic nie zmienia. Zaprzężone do przeprowadzenia owych zamierzeń siły wydają się zupełnie wyszarczające, aby dokonać tej przemiany, o jaką walczy reżim, w imię własnego rozumienia najlepszego interesu sprawy, której dzisiaj na imię demokracja ludowa w Polsce, jutro socjalizm, a potem dyktatura proletariatu. Jest w takim rozumieniu ze strony polskich techników tego procesu także miejsce na interes samej Polski, pod warunkiem przystosowania jej polityki i jej gospodarki do ogólnych interesów Rosji.

Wszystkie zjawiska życia polskiego muszą więc być rozpatrywane na tle faktu, że koncepcja odbudowy czy niepodległości Polski, lansowana na Zachodzie, poniosła, jak dotąd, klęskę, zwyciężyła natomiast orientacja inna, mająca pewne korzenie w ruchach podziemnych jeszcze przed wojną i wcale aktywną reprezentację w podziemiu wojennym i okupacyjnym.

Wobec osiągnięć, uzyskanych w ciągu czterech lat rządów dzi-



siejszego reżimu, czuje się on tak pewnie, że stać jego ludzi na pokazanie nawet postronnemu obserwatorowi, jak dokonywana dziś odbudowa i przebudowa naprawdę wygląda. Stać na puszczenie go samopas po Polsce — niech sam zobaczy co się tam robi, jak się robi i co z tego wynika. Jest rzeczą osobistą puszczono go w teren dziennikarza, jak poćrafi wykorzystać daną mu szansę przyjrzenia się Polsce na codzień i z bliska.

Uważam jednak, że zaufanie, jakim darzyli mnie w Polsce ludzie wszystkich odcieni, obowiązuje. Byłoby mi dziś na pewno łatwo, inspirowane się z postępowania polityków, zrobić z tego repertażu jeszcze jeden akt oskarżenia i potępić wszystko co widziałem w Polsce dlatego, że istnieje w jej sprawie ingerencja wpływów rosyjskich, albo dlatego, że wielu moich przyjaciół siedzi obecnie w więzieniu. Byłoby to jednak nikomu nie przynoszące pożytku uproszczenie zadania, jakie sobie postawiłem. Byłoby to pójście drogą najmniejszego oporu bez zrobienia koniecznego wysiłku dla zrozumienia przemian, jakie zachodzą w mojej ojczyźnie, i których nie sposób załatwić samą tylko bezwzględna negacją, bowiem istnieniu faktów nie zdołają zaprzeczyć nawet najmocniejsze słowa.

Zadanie moje określam przeto jako danie możliwie bezstronnego świadectwa widzianej i przeżytej przeze mnie rzeczywistości, nie zamykając oczu na strony ciemne tego obrazu, ale nie pomijając także pozytywnych osiągnięć, bez względu na osobisty stosunek sympatii czy sceptycyzmu, jakim mogły mnie napawać stosunki lub ludzie, interpretujący dla mnie ten obraz.

W związku z dzisiejszą relacją o Polsce wspomnieć muszę rozmowę, jaką miałem w Instytucie Mazurskim w Olsztynie. Przypomniano mi tam piękną książkę, bogato wyposażoną w szczegóły o polskiej przedwojennej robocie w niemieckich Prusach Wschodnich. Cieszyła się ona w Polsce ogromnym wzięciem. A tu teraz oblicza się koszt w życiu, mieniu i interesach polskich, jaki za tę książkę zapłacić musieli ludzie, o których opowiadała. Widziałem jej egzemplarz po niemiecku, zabrany z archiwów gestapo, pt.: «Ostpreussen im Polnischen Lichte». Stanowiła podstawę do prześladowań, które pociągnęły się aż w czasy wojny i okupacji. Nie przypuszczam, aby ta książka oddała komukolwiek, a już najmniej sprawie, której wydawała się bronić, jakąkolwiek inną przysługę, jak chyba tylko tę, jaką obserwator artyleryjski oddaje ukrytym w terenie bateriom, wyznaczając dla nich cele i pokazując miejsca, na które kierować należy ogień.

Obawiam się, czy aby niektórzy politycy, bezpiecznie i bezkarnie spowiadający się poza krajem ze swoich doświadczeń, związanych z usiłowaniami posiadania wpływu, albo uzasadnianiem porobionych na miejscu błędów, nie oddają podobnej usługi schowanym w tamtym terenie bateriom. Co do mnie, w repertażu o cieniach i blaskach polskiej rzeczywistości roku 1948 nie pragnę żadnej z zainteresowanych w wpływie na tę rzeczywistość stron oddać podobnej przysługi. Zostawiam sąd

nad uczciwością mojego zamiaru i próby być obiektywnym zarówno czytelnikowi na emigracji, jak i w kraju.

Byłem w Warszawie w dniu 1 sierpnia, w czwartą rocznicę wybuchu powstania. W odnawianym jeszcze i zastawionym rusztowaniami górnym kościele św. Krzyża — msza. Tłum ludzi, który aż się wylewa na zewnątrz. Kazanie okolicznościowe grzmi przez głośniki. We wszystkich kościołach warszawskich ambony wyposażone są w mikrofony i głośnikami rozprowadzają słowa kazań aż czasem poza kościoły.

Na zakończenie: Boże coś Polskę. Przysłuchuję się słowom; śpiewają: «Ojczyznę, Wolność racz nam wrócić Panie». Przyglądam się twarzom. Są dzisiaj w tym kościele niedobitki powstańczej armii, ludzie w większości młodzi, są ci, którzy w powstaniu stracili wszystko: mienie, dom i najbliższych. Jest przejmująca powaga w ich skupieniu. Jest czucie wspólnego losu i wspólnego nieszczęścia i wielka godność w postawie i wielki spokój w oczach. Widziałem tylko niewielu, którzy płakali.

Po mszy, przed kościołem, ten sam tłum. Przyjaciele moi pokazują mi sylwetkę Radostawa, dowódcy Starówki. Służyli pod nim do ostatniego dnia.

Potem jedziemy na cmentarz powstańczy. Cała Warszawa ciągnie na ten cmentarz w dniu tragicznej rocznicy. Sporo samochodów, tramwaje oblepione ludźmi, ale większość tłumy na piechotę. Mija nas ciężarówka z wieńcami i rozwianym na wietrze transparentem «Związek Walki Zbrojnej». Na cmentarzu wojskowym, za Powązkami, odgrazona jest część, na której leżą powstańcy. Pośrodku granitowy blok z napisem: Gloria Victis — Chwała Zwyciężonym. Postawiony sumptem i staraniem towarzyszy broni i kłeski.

Idziemy ku temu pomnikowi wzdłuż drogi, grodzonej wojskiem z pepesami przez ramię. W lewo ciągną się groby poległych z roku 1920. Przechodzę wzdłuż nich aby odczytać napisy: czytam przede wszystkim daty urodzin i śmierci. Wszystko przeważnie młodość, od lat 17 do 22. Jest ich wiele, ciągną się te mogiły równymi rzędami, szare, już jakby dotknięte patyną zapomnienia. Pokolenie poprzednie — i walczące tak samo o Warszawę. Przeciskamy się przez tłum. Tuż przy drodze ksiądz odprawia polową mszę.

Potem już groby powstańców. Rozciągnięte równo, wszystkie do siebie podobne, w przeciwieństwie do tamtych z 20-go roku, świeże, usiroke kwiatami, chciałyby się powiedzieć — groby młode. Jest nastroj odświętny, uroczysty, z jakimś odcieniem napięcia w powietrzu, które być może wynika z obecności tego wojska u wejścia na cmentarz. Czyżby spodziewali się incydentów? Mówiono mi, że w czasie obchodów poprzednich rocznic było ich znacznie więcej. Ludzie z naręczami kwiatów szukają bliskich mogił. Na drzewach przylepione kartki poszukujących

jeszcze wiadomości o zaginionych w czasie powstania, na Śródmieściu, na Woli, na Starówce. Wiele jest mogił symbolicznych — ciała syna, brata lub kolegi nie znaleziono. Wiadomo tylko, że padł. Zatrzymuję się nad jednym z nich, czytam: «Żołnierze polegli 28. VIII. na Starówce, baon «Zośka», kompania «Rudy». Liczę: jest ich piętnastu. Najstarszy lat 25, najmłodszy 16. Mogiły młodych dziewczyn. Mogiła dwóch braci Romockich, synów ministra Komunikacji. Znał ich mój towarzysz z powstania. Gdybyś ich widział — mówi — jak dwaj archaniołowie. Obok, gdzie w przeciwnieństwie do głównego cmentarza, urządzonego przez towarzyszy broni, chowały swoich poległych rodziny, zatrzymuję się nad płytą kamienną, zdobiącą grób trzech braci Cudnich: lat 21, 19, 17. Padli w powstaniu.

Tyle młodości i życia, tyle piękna, talentów i entuzjazmu.

Widok tego ogrodu udręczeń, tego straszego cmentarza nadziei, na którym spotkała się pod ziemią elita polskiej młodzieży, długo mnie będzie prześladował wspomnieniem okropności polskiego losu i polskiego umierania. Zaciąży jak zmora na całym widzeniu rzeczywistości. Zasłoni nawet ruiny Warszawy, bo te ruiny już znowu żyją i odradzają się, podczas gdy nikt nie wróci do życia owych pogrzebanych szeregów świetnej młodzieży, najlepszej chyba jaką posiadaliśmy. Zgodni są co do tego ci, którzy lata okupacji poświęcali tajnemu nauczaniu. Taki profesor Tatarakiewicz na przykład, który twierdzi, że nigdy w swojej długoletniej praktyce profesorskiej nie posiadał tak świetnego i obiecującego zespołu, jak ten z lat okupacji. Wszyscy oni dziś zdali egzamin i uzyskali dyplom w postaci krzyża nad grobem.

I kiedy patrzę teraz po schylonych nad tymi grobami ludziach, wieńczących je kwiatem, który jutro zwiędnie, po współtowarzyszach ich doli, cudem jakimś ocalonych z zagłady, a dźwigających dziś za nich i za siebie ciężar losu i odpowiedzialności za przyszłość, wiem, że dławi ich, tak jak mnie w tej chwili, nieznośny ucisk w piersi, rodzący się z pytania: — komu to było potrzebne? I wraca stale powtarzającą się kwestią, czy naprawdę z pojęciem Polski wiązać się musi ta konieczność umierania dla niej młodo, zamiast znajdować sposoby, aby tę młodość chronić jak najdroższy jej i najpełniejszy skarb?

Rocznica powstania jest dla mnie dniem cmentarza. Jadę jeszcze na cmentarz powstańczy na Woli. Grabarz, który mnie oprowadza, kuleje i pilnie kuśtykając pokazuje mi pole, zasłane wymownymi kopcami. «My tu tylko operujemy kwaterami masowymi. W każdej leżą zwłoki w kilku warstwach, po kilkudziesięciu osób w każdej». Próbuję odnaleźć miejsce, gdzie pochowani być mają moi znajomi. Grabarz nie posiada nawet nazwisk — wszystkie zwłoki mają w jego rejestrze jedynie numer. Wiele i tak nieznanych. Ale są takie, które nie mają nawet numeru.

Wielka płyta, leżąca osobno, kryje zbiorową mogiłę. «Tu mamy tylko prochy, zwiezione z miejsc, gdzie Niemcy palili za-

strzelonych. O, tu dziesięć i pół tony prochów, a tam pod brzegiem cmentarza, «gdzie widać rząd mniejszych płyt» pod kładą — jedna tona i sto kilo».

Taka więc jest cena naszych zrywów. Prochy ludzi Warszawy liczy się tu na tony. Gospodarka życiem w Polsce wydaje się, zaiste, niepojęta.

I już nie umiem tego dnia, wracając do Warszawy, gdzie wieczorem na miejscach publicznych straceń piętrzą się stosy kwiatów i migołają jak w dniu Zaduszek płomyki świec, myśleć o niczym innym.

Wiem, powiedzą mi zaraz niejedni, że nie było wyboru. Zgadzałem się, istniały sytuacje, w których nie było wyboru. Ale cmentarze hekatomb Polaków nie wszystkie są z tych sytuacji. Najboleśniejsze straty są bowiem wynikiem nadgorliwości i takich czynów, albo takiej brawury, która z kalkulacją jakakolwiek, a tym samym z rozsądną polityką nie ma już nic wspólnego.

Uczono nas od małego, że są racje, dla których warto dać życie. Wszystko jest jednak sprawą proporcji. Są ceny, które może zapłacić człowiek, ale których naród, jeśli chce żyć, nie wytrzyma. Duch bez ciała jest tylko fikcją. A my duchom oddając pierwszeństwo, szafujemy naczyniem, w którym się mieści, bez żadnego umiaru, bez żadnego wyrachowania. Biada duchom wygnanym z ciała i nie mającym już miejsca, w które by mogły wstąpić.

I zbiera mnie nagle strach na myśl, jaki jest wymiar klęski, wyrażającej się dzisiaj owymi «młodymi» grobami, od których wracam i jak odbije się na naszej przyszłości brak tej wybitnej i wybitej młodzieży, leżącej dziś wkoło pomnika, na którym napisano: *Gloria Victis*.

Chcę teraz pisać o Warszawie. Obawiałem się, że dystans dziewięciu bolesnych lat, jakie mnie od niej dzieliły, stanowić będzie nieprzekraczalną przeszkodę, by się w niej znowu odnaleźć, by ją odnaleźć, taką jaką znam i kochałem. Nic podobnego. Od pierwszego dnia, od pierwszej chwili, kiedy mnie przyjęła znowu w okaleczale ramiona swoich ulic, swoich poszarpanych ścian, zdruzgotanych domów i doświadczonych wszystkimi dopustami nieszczęścia ludzi, odnalazłem jej nieomylną tożsamość. Odnalazłem przeorane do fundamentów piękno jej krajobrazu, ten sam, choć nastawiony na wysiłek dźwigania się z klęski rozmach jej życia, ten sam lekki, bez troski humor jej mieszkańców, choćby nawet podminowany był lękiem i troską i trudem codzienności.

Zaiste, niepokonane miasto.

Okrutne kalectwa zniszczeń sterczą jeszcze i w coraz to nowych ramach otwierają się oczom nieoczekiwanie niczym fragmenty jakiegoś nowego forum, jak dekoracja dla nieznanącej słów tragedii. Ten sztafaż daje Warszawie nieznaną przedtem

grozę i w tej grozie niezwykłą, przejmującą, chociaż ponurą urodę. Warszawa w księżycu, w nocy, kiedy wśród ciemnych zwalisk, gdzieś wysoko, na trzecim piętrze czarnego bezkształtu ruiny błyska w jakimś jednym jedynym oknie ognik czyjejs obecności, która się tam od nowa zaległa i zdradza ciemnym blaskiem lampy powrót życia w wypalonych murach, przykuwa wzrok i dotyka serca niezaznanym od dawna wzruszeniem.

Kiedy idę jej ruchliwymi ulicami i rondo kapelusza odcina oczom wierzchy domów, kiedy patrzę na jej bruki i od nowa wygładzony asfalt, na szyny tramwajowe, na kamienne płyty chodników i kostkę jezdni, nawet ton i lśnienie ulicznych bieżni wygląda tak samo jak dawniej. Dobroczytny brzeg kapelusza odcina mury i dachy. Aż po pierwsze piętro wszystko się zdaje w porządku. Wyrwy, leje, dziury od pocisków już nie istnieją. Tu i tam znać najwyżej rysy odlamków w płytach chodników. Ale zatarcie śladów wojny nastąpiło od dołu, od poziomu ulicy. Niesie się więc na kapeluszu całą przeszłość wspomnień, pod warunkiem nie wyglądania ponad jego brzeg. Bo dopiero podniesienie głowy jest jak podniesienie kurtyny na obraz prawdy. Ta prawda szczerzy nadal swoje bezlitosne kikuty ruin i oczodoły wypaleń, a ściany domów całej Warszawy jakby cierpiały na skórną chorobę, pokrywa je bowiem liszaj i wysypka ostrzelanych gęsto cegieł, porwane są od pocisków, świecą śladami bitwy, każda będąca jej polem i każda dzisiaj jak świadectwo wojny. Rąbano je wszystkimi kalibrami aż do dwutonowych pocisków z dział kolejowych, kierowanych na przykład na studnię u zbiegu Koszykowej i Marszałkowskiej. Stoi dziś okaz tego pocisku w Muzeum Wojska, niczym okropne memento piekła, jakie wytrzymać musiała Warszawa. Młyn wojny porąbał ją na 24 miliony m<sup>3</sup> gruzu, a materialna wartość zniszczenia, nie licząc ludzi, reprezentuje sześć rocznych budżetów całego państwa sprzed wojny. Spalono całą historię, wspomina mój towarzysz. No bo jeśli nawet dawne, pergaminowe, królewskie dokumenty służyły do budowania barykad...

Wszystko jednak co widzę dzisiaj jako ruinę, jako usypiska i zwaly cegieł, jako górskie nieledwie spiętrzenia zwalonych murów, całymi blokami poprzewracanych na siebie, dla mnie po latach nieobecności, jest jeszcze dokumentem zniszczeń — dla mieszkańca Warszawy natomiast już etapem odbudowy.

Między ruiną toruje sobie drogę coraz to inna ulica, której domy już się dźwigają, rusztowania oblepiły wiele ścian, całe miasto huczy i drga skondensowanym ogromem pracy. Jest jak warsztat i jak mrowisko rozbite wprawdzie jakimś kosmicznym kopnięciem, ale już organizujące się, już skupione wysiłkiem tego na pozór tylko bezładnego ruchu ludzkich mrówek, spieszących ku odnowieniu zburzonego kopca, który stanowił dom, dobytek i dumę każdej z osobna.

Spotkałem jednego z przedwojennych przyjaciół, nauczyciela, który opowiadał mi, przechodzącemu przez Plac Trzech Krzyży, że dwa lata temu pracował tu nad usuwaniem gruzów. Jest w

jego słowach i w geście pokazywania mi dzisiejszych osiągnięć pasja warszawskiego patriotyzmu, nie mającego nic wspólnego z tym albo innym reżimem, istniejąca bez względu na ten czy inny rząd. Tutejszy umiejętnie uczynił z tej pasji materiał napędowy dla swojej polityki, kierując energię społeczeństwa ku warszatom i odbudowie — niech się w niej przede wszystkim wyżywa polski temperament.

Mój znajomy zwraca mi uwagę na jeszcze jedną osobliwość dzisiejszej Warszawy — światło. Tak jak Warszawę pamiętam było wiślane, siwe. Dziś na skutek brutalnie odsłoniętych wnętrzności miasta, w popołudniowych godzinach zwłaszcza, światło Warszawy jest różowe, ceglaste, palące dotąd rumieńcem rozoranego miasta, który się zdaje znajdować odbłask nawet w niebie. W dzień wietrzny pył ceglany przepaja powietrze. Dało to asumpt autorom kabaretu, jaki widziałem w Krakowie, i o jakim wypadnie mi jeszcze wspomnieć, do satyrycznych komentarzy na temat cytowanego przez prasę faktu, że każdy mieszkaniec stolicy wdychania nieustannie pewną określoną ilość pyłu ceglanoego.

«Przeciętnie na dorosłego mężczyznę przypada od 1,5 do 2-eh cegieł rocznie, na nieletnich i wyrostków od 0,75 do 1,33. Uwzględniwszy pewną poprawkę dla tych, którzy w związku z poprzednio wykonywanym zajęciem, stale przebywają w lokalach zamkniętych, można przyjąć przy półmilionowej obecnie ludności Warszawy, że roczna globalna konsumpcja wynosi około miliona cegieł! No i jak w takich warunkach może odbudowywać się stolica, kiedy milion cegieł zostaje skonsumowany przez wolny rynek?»

Jednak miara dokonanego wysiłku w ciągu ostatnich lat może być doceniona jedynie przez wyznaczenie dna klęski, jaka spotkała Warszawę. Trzeba było to widzieć po wyjściu Niemców — mówi mi każdy. Przez wąwóz Marszałkowskiej, zawalonej obu stronami ulicy na jezdnię, czołgi musiały torować drogę jeep'om. Śródmieście było w dodatku puste, zupełnie bezлюдne. Jednak nie było w nim ciszy, jakby to można przypuszczać. Zerwane druty, blachy, płyty dachów, futryny wreszcie, przy najłżejszym powiewie wiatru zgrzytały złowieszco i podnosiły kłękot, na który niedobitki warszawskiej ludności znalazły natchnieniem własne określenie, mówiąc, że brzmi to jak obłapka szkieletów na blaszanym dachu.

Opowiadania ludzi, którzy przeżyli ten okres pełne są dotąd szczegółów o posmaku tak egzotycznym, że trudno z perspektywy dzisiejszego uporządkowania ich śladów myśleć o nich inaczej, jak chyba o scenach z filmu surrealistów. I właśnie filmowa, więc niemal fikcyjna osobliwość tych fragmentów warszawskiego życia, skłania mnie do robienia notatek, aby tym lepiej podmałować tło jej wracającej już w ramy jakiegoś porządku i sensu rzeczywistości życia. Z powstania taki np. widok: dekoracje

z magazynów Teatru Wielkiego, jako parawany do ukrycia ruchu ludności na zagrożonych ogniem ulicach. Na tyłach tych rozpiętych i cudacznie pomalowanych płócien napisy: Halka — scena V, albo Tosca — akt II. Do pierwszych przepraw przez Wisłę, po łodzi, te same dekoracje służyły zamiast tratw czy sanek może, bo mostu nie było. Kotarami z Opery zasłaniano wylotowe ulice: Bednarską i Karową. A potem, zaraz po wyzwoleniu, szafy, stawiane na ulicy i stanowiące pierwsze kioski, względnie sklepy Warszawy — sprzedawca siedział w szafie, żeby mieć dach nad głową i jako taką osłonę od wiatru.

I pierwszy «amerykański» bar — w tramwaju, do niedawna służącym za barykadę. I sport, polegający na staraniach, aby dostać w jednej z kilku zaledwie stołówek, zupę nie fasolową. Właśnie w barze «amerykańskim» była bodaj grochówka — ale droższa, bo nawet z muzyką.

Decyzja przeniesienia się komitetu lubelskiego od razu do zburzonej Warszawy, była decyzją dla sprawujących władzę wcale odważną. Nietknięta Łódź, ze swoją przewagą ludności robotniczej mogła się wprawdzie zdawać them o wiele wdzięczniejszym dla władz ówczesnych, samözwańczych i popieranym jedynie przez Rosję. Jednak wybrano Warszawę. Decyzję tę przypisuje się Bierutowi. Psychologicznie okazała się słuszna. Przywiązanie Polaków do Warszawy jako do stolicy, zostało sprawnie zdyskontowane przez nowych organizatorów państwa. Powiększyło to niewątpliwie trudności objęcia administracji i sprawowania władzy, ale pęd do życia i do odbudowy zatriumfował nad beznadziejnością owego czasu. Widziałem wtedy wszystko zupełnie czarno — mówili mi niejedni, wspominając ten okres i porównując go z obecnym, jak noc z dniem, mimo wszystko. Przeniesienie się władz centralnych na Pragę, tłumne urzędowanie w nieopalanym pokojach z wybitymi po części oknami, ciasnota używalnych pomieszczeń, komplikacje komunikacyjne dla tych, którzy mieszkali po drugiej stronie Wisły, to wszystko trzeba usłyszeć, skoro nie można tego zobaczyć już dzisiaj, aby zrozumieć, jak fanatyczna była wola tej garstki ludzi, którzy podjęli się zaczynać z niczego i z absolutną pewnością swojej racji jęli realizować nowy i nie mający poparcia u społeczeństwa program w powalonym klęską i rozprzężonym całkowicie kraju.

Wspominam o tym, bo wydaje mi się ważne to świadectwo uporu i przekonania ze strony ludzi, będących dzisiaj u władzy, jako ilustracja, że są z gatunku tych, których żadne przeszkody nie potrafią odstraszyć, żadne zadania zniechęcić, żadne ryzyko przerazić. Nie wydaje mi się pożyteczną ani mądrą metoda zatlantowania się z problemem, jaki obecność tych ludzi i ich udział w rządzeniu Polski nasuwa, pustym i złożonym z inwektyw frazesem. Jest bowiem raczej dowodem bezsilności wobec ich miejsca w życiu Polski. Samo stwierdzenie, że potrafią być bezwzględni, albo że są agentami Rosji, nic nie zatawia ani nie rozwiązuje. Ta jest jednak metoda mówienia o nich na Zachodzie

dzie i na emigracji. Nic nie zrozumie ten, kto nie pamięta, że mamy tu do czynienia przeważnie z ideowcami, którzy za swoje przekonania byli prześladowani, z ludźmi żelaznej dyscypliny partyjnej, zaprawionymi w sztuce słuchania i umiejącymi wymagać nie tylko od innych, ale także od siebie. Ze metody stosowane do przeprowadzenia swoich zamierzeń są na pewno odmienne od tych, do jakich Polacy przywykli, do już jest inna rzecz i w prostej linii wynik szkoły, przez jaką przeszli. Wszystko jednak podporządkowane zostało wyznaczonym celom i każdy środek jest dobry, aby do nich dotrzeć.

Jednym z wielu postawionych na początek celów była szybka odbudowa Warszawy i przywrócenie jej co prędzej cech stołeczności. Na to aby określić rozmiar dokonanego wysiłku poszedłem zebrać dane w Naczelnej Radzie Odbudowy. Inż. Jerzy Grabowski pokazał mi cyfry, dotyczące zniszczeń i pomógł w zobaczeniu ich porównaniem, które jest tak wymowne, że chyba warte zacytowania, mimo, że na ten temat pisało się już nie mało:

«W dniu 1 września 1939 roku Warszawa posiadała 25.500 nieruchomości o łącznej kubaturze zabudowy około 103 miliony m<sup>3</sup>, co daje średnio na jedną nieruchomość około 4.000 m<sup>3</sup>. Gdyby dzisiaj 25.500 takich domów o średniej długości 23,5 m., szerokości 12 m. i wysokości 14 m. (4-ry piętra) ustawić obok siebie, można by nimi obudować ściśle po dwu stronach odcinek 300 km., a więc mniej więcej całą szosę, łączącą Warszawę z Katowicami. Z owych 103 milionów m<sup>3</sup> łącznej kubatury zostały zniszczone 74 miliony m<sup>3</sup>, czyli przeszło 70%. Oznacza to, że na przestrzeni 210 km. szosy Warszawa—Katowice zniszczono kompletnie wszystkie domy po obu jej stronach. Straty te na terenie miasta wyraziły się w starciu z powierzchnią całej dzielnicy handlowej Muranowa, w zamianieniu w stertę zgliszczy i gruzów całego Starego i Nowego Miasta, w niemal całkowitym zburzeniu i wypaleniu całego śródmieścia, oraz w zniszczeniu pozostałych dzielnic Warszawy i części Pragi w około 50%. Trzeba również pamiętać, że domy na pozostałych 90 km. naszej szosy, a więc te, które ocalały na Pradze i w Warszawie nie były w dniu wyzwolenia gotowe do zamieszkania».

Rezmawiałem kiedyś z John Hersey'em, autorem reportażu o Hiroszimie, który znalazł się w Warszawie jako jeden z pierwszych dziennikarzy amerykańskich, zaraz po wyzwoleniu i zapytałem go co zrobiło na nim większe wrażenie: Hiroszima czy Warszawa? Nie było w nim cienia wątpliwości, że Warszawa. Choćby dlatego—powiedział—że zniszczenie Hiroszimy odbyło się w ciągu jednego ułamka sekundy, w Warszawie natomiast trwało przez całe miesiące. To tak jakby chciał podkreślić, że reakcja na te dwie najokropniejsze ruiny ostatniej wojny mie-

rzona być musi nie tyle obrazem zdruzgotanych domów i poszarpanych kamieni, ale czuciem przeżywających to walenie się swojego świata ludzi. W porównaniu tych dwóch okropności brany być musi pod uwagę czas ich trwania. Śmierć nie jest straszna, straszne jest umieranie. Hiroszima padła rażona piorunem, Warszawa konatała aż po ostatni pocisk walący w jej mury i targający sercem żywych aż do ostatka resztek jej ludzi. I ta jest jedynie słuszna miara jej losu.

Jako miara wysiłku natomiast, włożonego przez społeczeństwo, kierowane pod kątem szybkiej odbudowy stolicy niech znowu świadczą cyfry i porównania inż. Grabowskiego, który podkreśla, że ogólny wysiłek organizacji, materiału i pracy włożonej w pierwszym trzyleciu w odbudowę Warszawy, równa się wysiłkowi potrzebnemu na wybudowanie na nowo, w szczerym polu, kompletnie urządzonego i wyposażonego miasta dla 150.000 mieszkańców.

Mówiąc inaczej, każdy dzień pierwszych trzech lat odbudowy przyniósł Warszawie około 137 przywróconych do stanu używalności, odbudowanych lub na nowo wybudowanych izb mieszkalnych, a więc co godzinę oddawano do użytku prawie 6 izb. Codziennie w ciągu 1095 dni odbudowy nawadniano po remoncie około 5,08 km. sieci wodociągowej i włączano około 3,26 km. sieci kanalizacyjnej. Codziennie wywożono około 100 wagonów gruzu, z którego można by zestawić rząd 100.000 wagonów o długości około 1.000 km. lub usypać piramidę o podstawie 100 na 100 metrów, a wysokości około 200 metrów.

Można sobie łatwo wyobrazić dumę odpowiedzialnych za te dokonania ludzi, do których należy całe społeczeństwo Polski. Przy straszliwym wyniszczeniu całego kraju, i używając prymitywnych właściwie środków (wywożąc gruz furką w jednego konia stanowił wciąż jeszcze typowy dla warszawskiej ulicy element «ruchus»), zdobyło się ono w ciągu trzech lat na oddanie do użytku w Warszawie domów, których łączna ilość reprezentuje miasto o wielkości Częstochowy, Lublina albo Bydgoszczy.

Z rumowiska i z gruzu zniszczeń wylania się dziś już wizja nowej Warszawy, tworzonej pod kierunkiem wytrwałych architektów, którzy szanując cały wartościowy dorobek urbanistyczny i architektoniczny dawnej stolicy, zmierzają do uczynienia z niej miasta nowoczesnego w najlepszym znaczeniu tego słowa i mającego objąć aż 180.000 ha.

Z odbudową bowiem łączy się także plan przebudowy.

Przykładem jej rozmachu i jej realizacji jest, będąca w stadium poważnie zaawansowanej konstrukcji trasa W—Z (Wschód—Zachód). Okolice ruin Zamku rozkopane są szeroko i przypominają głęboki wąwóz, przecięty z kierunku zniszczonego mostu Kierbedzia w stronę Woli. To ogromne przedsięwzięcie techniczne, łączyć będzie szosę poznańską i łódzką z szosą białostocką przez nowoczesny most Śląsko-Dąbrowski i tunel pod Placem Zamkowym. Nawet data oddania do użytku

trasy W—Z jest już oznaczona. Nastąpić ma 22 lipca 1949 roku, razem z odsłonięciem kolumny Zygmunta, na odtworzenie której odstrzelono już blok granitu w śląskich kamieniołomach.

Śpiżowa postać zwalonego z kolumny króla stoi dziś w Muzeum Narodowym, po raz pierwszy bezpośrednio dostępna oczom we wszystkich szczegółach i w całym pięknie, boć widzieliśmy ją przedtem tylko jako królującą w niebie Warszawy, a tym samym podchmurną jedynie sylwetkę. Zdjęcie królowi korony — tak jak ją zdjęto Orłowi — nie jest przewidywane.

Drugim wielkim założeniem, będącym już w trakcie realizacji, jest przebicie dalej na północ w kierunku na Żoliborz i rozszerzenie ul. Marszałkowskiej. W samym sercu śródmieścia pomiędzy ul. Królewską a Al. Sikorskiego (Al. Jerozolimskie) Marszałkowska zostanie poszerzona aż do ul. Zielnej na szerokość około 120 m. W ten sposób tuż przy dworcu centralnym w oparciu o biegnącą z zachodu na wschód szeroką arterię Al. Sikorskiego, stworzy się olbrzymi, nowoczesny rynek stołeczny, koncentrujący życie śródmieścia stolicy Warszawy. Budując więc, burzy się także niejedne stojące jeszcze domy, których obecność już nie mieści się w ramach planu Warszawy przyszłej.

Postępuje równocześnie odbudowa poszerzanej dwukrotnie tzw. średnicowej linii kolejowej, łączącej wschód kraju z zachodem, a Pragę z Warszawą przez most na Wiśle i tunel, biegnący Al. Sikorskiego (tak nazywa się odcinek Al. Jerozolimskich od mostu Poniatowskiego do Marszałkowskiej).

Na Woli, Ochocie, Kole, Żoliborzu i Mokotowie rosną w dodatku całe osiedla mieszkaniowe robotnicze i urzędnicze. Nowa kolonia mieszkaniowa powstaje również na Rynku Mariensztadzkiem przy Trasie W—Z. Na Krakowskim Przedmieściu nie ma dziś prawie budynku, który by nie był w odbudowie, a Nowy Świat już odtworzony został w stylu z początku XIX wieku. Architekt Pniewski opracował urbanistyczne rozwiązanie projektu «Osi Saskiej» z Placem Zwycięstwa (Marszałka) i Ogrodem Saskim. Przygotowuje się dziś na całym obszarze do olbrzymiej batalii budowlanej. W założeniu tym mieści się również odbudowa kolumnady Grobu Nieznanego Żołnierza i Teatru Wielkiego. Na ul. Wspólnej i przy Placu Trzech Krzyży wyrósł już gmach Ministerstwa Przemysłu i Handlu, który warszawiacy nazywają dziś po swojemu Minberg, albo Hilarium. Na Placu Napoleona kończą się prace przygotowawcze do budowy olbrzymiego Narodowego Banku Polskiego. Na «Osi Stanisławowskiej», łączącej Plac na Rozdrożu z Placem Zbawiciela oczyszczony jest teren pod budowę budynków Centralnego Domu Młodzieży i «Służby Polsce». Na Placu Kazimierza natomiast dobiegają się już na powierzchnię mury zakładów drukarskich «Czytelnika» — Dom Słowa Polskiego.

To wszystko jest dziś w Warszawie widzialną i dotykającą rzeczywistością, wkoło której nie można przejść obojętnie i której nie podobna zbyć machnięciem ręki, nawet gdyby się było przeciw reżimowi, który tę budowę planuje i przeprowadza.

Zatrzymałem się nad opisem tej prawdy, bo myślę, że jest potrzebna, aby oddać tło i zakreślić ramy, w które wpisywać będą w późniejszych rozdziałach treść codziennego życia Polaków. Od razu wspomnę, że «cud odrastających pędów z pnia wielkiego drzewa, strzaskanego przez burzę» nie jest bynajmniej monopolem Warszawy.

Podobny rozpęd odbudowy widziałem np. w Poznaniu, i we Wrocławiu. Podobny rozpęd znać na obszarach Ziemi Odzyskanych. Ale przoduje Warszawa. Przypominają mi jej budowniczość, że «potężne korzenie, tkwiące głęboko w glebie warszawskiej, nie zostały naruszone. Wróg zniszczył jedynie koronę». I kończą, mówiąc o Warszawie przyszłości, tego miasta najdumniejszego z dumnych, którego dźwiganie się z ruin jest dzisiaj dziełem bohaterstwa pracy pokojowej.

A ja nie umiem odpędzić w tej chwili przypomnienia sobie rozmowy, jaką miałem w New Yorku przy świadkach, w roku 1945. Rozmówcą moim był znowu dziennikarz, jeden z filarów *New York Herald Tribune*, też po powrocie z Warszawy. Mówiliśmy o jej okropnym wyglądzie, ja, słuchający jego relacji z przejęciem człowieka, który dowiadywał się o śmiertelnej chorobie ukochanej istoty, on rzeczowy i beznamiętny.

Siedzieliśmy w centrum nieruszonego wojną New Yorku, wśród niebotyków, wyglądających jak baszty olbrzymiej fortecy, w świecie bogatym, pewnym siebie i trochę z wysoka patrzącym na przejścia innych. Dziennikarz zamyslił się. «O czym myślisz, Joe?» — «Myślę sobie, że w czasach, w jakich żyjemy, potworne zniszczenia, jakim poddane bywają całe miasta, stwarzają niebezpieczny precedens. I zastanawiam się właśnie czy taki sam los spotkać może kiedykolwiek New York? Wtedy na przykład, kiedy Warszawa będzie już odbudowana jako piękne, bo nowe miasto...»

Zrobiło się cicho i towarzysz mój, Polak, zamówił dla nas trzech jeszcze jedną kolejkę «double whiskies».

(ciąg dalszy nastąpi)

Aleksander JANTA.

Prawo przedruku zastrzeżone. Copyright by «Kultura» and Aleksander Janta. 1948.

## Proust w Griażowcu

J. Kohnowi i W. Cichemu — poświęcam.

*Te strony to spisane w Griażowcu przez przyjaciół moje odczyty, raczej opowiadania o Prouście, wygłoszone w obozie na prowadzonych przeze mnie tzw. lekcjach konwersacji francuskiej w 1940-41.*

*Od tego czasu minęło prawie 8 lat, do Prousta prawie nie wracałem, ale ten pisarz, o którym tu piszę, jest moim Proustem, asymilowanym przeze mnie przez wiele lat czytania, a bardziej jeszcze przed dwa lata niewoli, w których o nim myślałem, nie mając pod ręką nie tylko jego dzieł, ale ani jednej książki, która by miała z nim jakkolwiek bezpośredni związek. Wszystkie szczegóły z jego życia, wszystkie cytaty tu umieszczone musiałem czerpać z pamięci.*

*Nie jestem pewny, czy w tym co wówczas mówiłem, nie było Dichtung und Wahrheit deformacji, którą daje dystans, luki pamięci i dość specjalne warunki.*

*Te odczyty były dla mnie samego niespodzianką, dopiero tam zrozumiałem, co znaczy tak ceniona przez Prousta i według niego jedyna istotna i twórcza «pamięć mimowolna» (mémoire involontaire). Wówczas zrozumiałem, jak wzmaga tę pamięć oderwanie się od książek, gazet, od miliona drobnych wrażeń intelektualnych normalnego życia. Z daleka od wszystkiego co mogło mi świat Prousta przypominać, wspomnienia moje o nim, które na początku zdawały mi się niezmiernie szczupłe, zaczęły mi się gwałtownie i nieoczekiwanie rozrastać z siłą i precyzją zarazem jakby zupełnie niezależną od mojej woli.*

*Ten mój Proust zrósł mi się już dzisiaj z Griażowcem, gdzie wolno nam było zbierać się o pewnych godzinach na zakazanych w Starobielsku, a zezwolonych w Griażowcu, odczytach i lekcjach — w niskiej i czarniawej izbie starej chaty. Tę chatę z grubych bierwion przetykanych mchem zbudował w swoim czasie pobożny pątnik, bo chciał resztę swego życia przeżyć w niej u stóp świątyni griażowieckiej, wysadzonej po rewolucji dynamitem przez bolszewików, u stóp starego, XVII-wiecznego klasztoru, w którym za moich czasów w lesie drewnianych rusztowań pod pryzce, zaludnionych miriadami pluskiew, ulokowano 300 Polaków, przeważnie oficerów.*

*Wspominam z wdzięcznością kolegów, bywało ich, o ile sobie*

przypominam, na tych odczytach francuskich o literaturze około 40, przychodzili o zmierzchu w fufajkach, mokrych butach, nieraz po długiej pracy w śniegu w dotkliwy mróz, do tej izby. Zamiast dawnych ikon i żarzącej pod nimi „lampady”, wisiały w kącie izby portrety Marxa, Lenina i Stalina, w czerwonych tekturkach. „Krasnyj ugotok” — czerwony kącik, obowiązkowa czerwona „kapliczka” w każdym obozie, każdym kołchozie sowieckim. Koledzy siedzieli na wąskich i chwiejnych ławkach, słuchali w półmroku izby o przygodach księżnej Guermentes, o śmierci Bergotta, o mękach zazdrości Swanna.

Potem w wielkim refektarzu klasztornym — naszej stołówce (cuchnęło tam zwykle brudnymi stawkami i kapustą), dyktowałem część tych odczytów najlepszym kolegom, którym strony te poświęcam.

Szto prajdiot to budiet miło. — powiedział Puszkina, co minie będzie nam miłe. Nie, te godziny obcowania z Proustem, kolegami w „czerwonym kąciku”, te godziny dyktowania tekstu w stołówce pod czujnym okiem zaniepokojonej Politruczki, która nas stamtąd wypędzała, podejrzewając, że popełniamy jakieś zdróżne pisma polityczne — te godziny były naprawdę miłe i wbrew wszystkim ciosom i przyszłości najbardziej niepewnej — były szczęśliwe.

Zawdzięczaliśmy Proustowi, temu pisarzowi bez cienia propagandy, aktualności, bez „krótkiego” utylitaryzmu czy politycznej demagogii, godziny czyste, radości i myśli.

W tylko co wydanych urywkach dziennika Mauriaca znajduję ustęp pod 19 listopada 1933:

«Wychodzę z pokoju gdzie spoczywa Marcel Proust. Przeszedł cierpieć wczoraj 18 listopada. Piękna twarz człowieka, który usnął. To mieszkanie obskurne (meuble sordide) świadczy o przedziwnym ascetyzmie, który osiąga pisarz w swoim paroksyzmie. Cóż za obnażenie twórcy przez jego twórczość. Żył on tylko jeszcze dla niej. „Kiedy skończę moje dzieło, będę się leczył” — mówił Celestynie. Odmawiał jedzenia, nie przyjmował nikogo. W nocy z piątku na sobotę dyktował Celestynie „wrażenia śmierci”, mówiąc „to mi się przyda do śmierci Bergotta”. Paul Morand mi powiedział „nie stwarza się tyłu istot, nie dając im swego życia”.

To wszystko, co Mauriac zapisuje w dobie po śmierci pisarza. Ten Proust zamknięty jak w trumnie przez lata w czterech obitych korkiem ścianach, z zawsze zapuszczonymi firankami i u progu śmierci jeszcze, jeszcze śpieszący by paru kreskami dzieła swoje wzbogacić, pogłębić, może by się wzruszył, może ucieszył, gdyby wiedział, że kiedyś wyrzuceni na daleką i obcą północ w latach najciemniejszych historii, jacyś Polacy będą przeżywać, pokochają jego dzieło nawet, czerpać będą otuchę w tak

dalekim i tak bliskim świecie sztuki, stworzonym za cenę życia tego „pisarza w paroksyzmie”.

Późno, bo dopiero w 1924 roku wpadł mi do ręki tom Prousta. Przybywszy właśnie do Paryża, znając z literatury francuskiej mało co poza drugorzędnymi powieściami w rodzaju Farrère'a czy Loti'ego, pełen najwyższego podziwu dla pisarza tak mało «odrębnego» pod względem stylu, tak mało typowego z punktu widzenia francuskiego języka jak Romain Rolland, — próbowałem zorientować się w współczesnej literaturze tego kraju.

Był to okres wielkiego powodzenia *Balu u hrabiego d'Orgel* Radiguet'a, krótkiej powieści à la *Princesse de Clèves*, okres rosnącej sławy Cendrars'a, Cocteau, Morand'a. Skrót telegraficzny, programowa zwięzłość i oschłość stylu, przede wszystkim uderzały cudzoziemca w pierwszym zetknięciu z literaturą francuską.

Jednocześnie jednak Stock wydawał ponownie *Kobietę ubogą* i inne zapoznane powieści Leona Bloy — a N.R.F. dzieła Karola Péguy.

W tym samym czasie pojawiały się jeden po drugim, grube tomy olbrzymiej powieści *W poszukiwaniu czasu straconego*. Autorem tej książki był niejaki Proust, który w 1919 roku otrzymał nagrodę Akademii Goncourt, a w parę lat potem umarł.

Pociągnięty klasycyzmem *Balu*, kunsztem niemal akrobatycznym poezji Cocteau, jednocześnie odkrywałem ze drżeniem w *Jeanne d'Arc* tajemny świat Péguy, dziwny jego styl o nieskończonych powtórzeniach i nawrotach; lecz nie udawało mi się pokonać przeszkód, dzielących mnie od Prousta.

Zabrałem się do czytania w jednym z jego tomów *Du Côté des Guermentes*, opisu wielkoświatowego przyjęcia; włókł się przez kilkaset stron. Zbyt mało znałem język francuski, by zasmakować w samej istocie tej książki, ocenić jej rzadką formę. Byłem przyzwyczajony do książek w których coś się dzieje, których akcja opowiadana bardziej potoczną francuszczyzną żywiej się rozwija, nie miałem dostatecznej kultury literackiej, by umieć podejść do tych książek przebogatych, szlifowanych jak drogie kamienie, a tak sprzecznych z tym co mi się wydawało duchem epoki: duchem, jakże przemijającym, w którym nasza młodzieńcza naiwność dopatrywała się nowego prawa, mającego obowiązywać poprzez wieki. Olbrzymie zdania Proust'a o nieskończonych dygnesjach, skojarzeniach różnorodnych, dalekich, nieoczekiwanych i niezwykłych sposobach traktowania zagmatwanych tematów, zaledwie przeczuwałem wartości tego stylu, jego precyzję dociągniętą do ostateczności i bogactwo.

W rok później dopiero otworzyłem przypadkiem *Zniknięcie Albertyny*, dziesiąty tom *W poszukiwaniu* i nagle pograżyłem się w czytaniu, z zachwytem rosnącym od pierwszej do ostatniej

stronicy. Przyznając, że nie cenność tworzywa Prousta porwała mnie zrazu. Sam temat książki trafiał mi wprost do serca: rozpacz, śmiertelny niepokój kochanka, opuszczonego po zniknięciu Albertyny, wszystkie formy retrospektywnej zazdrości, bolesnych wspomnień, gorączkowych poszukiwań, głęboka wnikliwość psychologiczna wielkiego pisarza, przebijająca się poprzez gąszcz szczegółów i skojarzeń. Później dopiero dostrzegłem w tym sposobie pisania nowe narzędzie analizy psychologicznej o nieznanym precyzji, nowy świat poezji, klejnot literackiej formy.

Lecz skąd znaleźć czas na czytanie, na przyswojenie sobie tysięcy tak skondensowanych stron? Dopiero zachorowawszy na tyfus, skazany na beczynne lato, mogłem przeczytać całość dzieła. Później nieskończoną ilość razy powracałem do tych książek, i dostrzegałem w nich coraz to nowe akcenty, nowe perspektywy.

Proust zapoznaje się z literaturą, jego wizja świata się rozwija w ostatnim dziesięcioleciu XIX-go wieku. Całe prawie jego dzieło pisarskie powstaje między rokiem 1904 a 1923. Co przedstawiały te okresy w ruchu artystycznym i literackim Francji?

Przypominam sobie, że manifest antynaturalistyczny uczniów Zoli został ogłoszony w 1889 roku; reakcja antynaturalistyczna ogarnęła załem własny obóz przywódcy tego ruchu. 1880—1900 to okres szkół symbolistów, skupiających się wokół Stefana Mallarmé, profesora liceum, do którego Proust uczęszczał. Mallarmé i Maeterlinck zyskują światową sławę. Są to lata impresjonizmu, zainteresowania prymitywami włoskimi poprzez Ruskina, fali Wagneryzmu we Francji, poszukiwań Neo-impresjonistów, którzy rozwijają pewne elementy impresjonizmu, zwalczając jednocześnie jego istotę ściśle naturalistyczną. W muzyce objawia się Debussy i dzieło jego równoległe tendencjom impresjonistycznym i neo-impresjonistycznym w malarstwie. W Collège de France odbywają się wykłady Bergsona, pojawia się jego *Evolution Créatrice*; w teatrze to epoka Sary Bernhard. A po 1900 balety rosyjskie z Diaghilewym są rewelacją muzyki rosyjskiej, orientalizmu wybuchającego dekoracją: Musorgski, Bakst, *Sheherazada*. W końcu *Pelleas i Melisanda* w operze a więc Maeterlinck-Debussy — oto podłoże, z którego czerpie wrażliwość twórca Proust, wydarzenia artystyczne, jakie odnajdziemy w jego dziele zasymilowane i transponowane.

Trzeba pamiętać, że naturalizm (ostatni etap realizmu) i prądy przeciwne, przede wszystkim symbolizm, były pod koniec XIX wieku ruchami obfitującymi w różne odcienie. Zderzały się, a jednak przenikały wzajemnie. Dopiero w podręcznikach szkolnych, później redagowanych, zostały skatalogowane i ściśle rozgraniczone. Lecz za życia łączył Mallarmé'go bliski stosunek z Goncourtem, jednym z twórców naturalizmu; bywał on również u Zoli, który mawiał, że «chętnie pisywałby na sposób Mallar-

mégo, gdyby miał więcej czasu», zaznaczając przez to, że poetyckie odkrycia Mallarmé'go nie były bynajmniej dla niego sprzeczne z tezą naturalistyczną.

Przed wszystkim jednak, malarz Degas, bliski przyjaciel Mallarmé'go reprezentuje na najwyższym poziomie spłot koncepcji pozornie sprzecznych, stanowiących kanwę sztuki tego okresu. Degas, namiętny wielbiciel malarstwa Delacroix i Ingres'a, wystawiający od początku razem z impresjonistami, ich sojusznik i przyjaciel, był malarzem baletnic, koni wyścigowych, praczek ziewających z żelazkiem w rękę, portretów, posuniętych w analizie aż do okrucieństwa. Ten naturalista do szpiku kości, który pierwszy wykorzystywał odkrycia fotografii migawkowej, badał okiem ścisłym i zimnym życie Paryżu, w objawach najmniej wyzyskanych przez sztukę, walczył niejednokrotnie ze swymi przyjaciółmi impresjonistami, grzmiał przeciw ich lekceważeniu zasad, reguł abstrakcyjnych, dotyczących kompozycji, rozkładu powierzchni itd., które normowały malarstwo klasyczne. Przez całe życie usiłował łączyć ten abstrakcyjny zmysł harmonii i konstrukcji, z wycuciem bezpośrednim rzeczywistości, wiązać dociekania Naturalistów i Impresjonistów z tradycją klasyczną Poussain'a. On to również tworzył sonety, dźwięczące czystością strofy Mallarmé'go, podziwiał je Valéry. Bohater *Czasu straconego* wymienia właśnie Degas'a, jako najwyższy autorytet w zakresie sztuki tej epoki.

Ów koniec XIX-go wieku, z którego wypluła wizja Prousta jest jednym z punktów szczytowych w dziedzinie sztuki. Francja wydaje w tych latach szereg genialnych artystów, którzy pokonując głębokie sprzeczności, szarpiące ich epoką, dochodzą w sztuce do syntezy, elementy abstrakcyjne łączą z czuciem bezpośrednim i precyzyjnym rzeczywistego świata. Do tej syntezy doprowadza ich ogromne osobiste doświadczenie, wnikliwa, wszechstronna analiza, nie zaś wiedza, zbudowana z elementów stworzonych *à priori*, lub pochodząca z drugiej ręki. Lecz kierunek antynaturalistyczny, którego pierwszymi przedstawicielami są symboliści w literaturze, a Gauguin w malarstwie (*Cette sacrée nature*) niweczy z czasem ten krótki moment równowagi i doprowadza w 1907 roku do kubizmu, tj. do sztuki sprzeciwiającej się wszelkiemu studiowaniu natury. Jest to okres poprzedzający wybuch wojny w 1914 roku; kubizm zderza się z wpływami futuryzmu, płynącymi z Włoch, wraz z manifestami żądającymi zniszczenia wszystkich muzeów, tych sanktuariów Prousta.

Lecz on żyje już wówczas w coraz ściślejszym odosobnieniu na skutek przejść osobistych, choroby, olbrzymiej pracy. Opętany swoim dziełem oddaje mu się zupełnie w niezależności od nowych artystycznych kierunków.

W pierwszych latach powojennych kubizm, futurizm i ich pochodne, zwycięsko roztaczają coraz szersze promieniowanie. Za pośrednictwem zręcznej i hałaśliwej reklamy ogłaszają definitywną klęskę wszelkich innych kierunków. Na tym tle książki



Prousta wydawały się w pierwszej chwili literaturą z innej planety; wydawały się sztuką pompierską, arcyburżuazyjną, przestarzałym snobizmem.

Dla całej tej młodzieży chłonnej, entuzjastycznej i z zasady rewolucyjnej, zaledwie znającej historię francuskiej literatury, dla nas wszystkich «barbarzyńców» powojennych, wpływających wówczas do Paryża z czterech krańców świata, Proust był w pierwszym zetknięciu zaskoczeniem, był obcy i absolutnie nie do przyjęcia.

Każde wielkie dzieło jest głęboko i na różne sposoby związane z samą materią życia autora. To związanie jest jednak szczególnie widoczne, bardziej może zupełne w dziele Prousta. Bo samym tematem *W poszukiwaniu czasu straconego* jest przetransponowane życie autora. Główny bohater opowiada je w pierwszej osobie, a wiele stronie robi wrażenie ledwie zamaskowanej powieści. Spotykamy w książce babkę, pielęgnującą i ubóstwiającego jedynego wnuka, która tysiącem rysów przypomina matkę autora. Prototypem barona de Charlus jest baron de Montesquiou, jeden z arystokratów, którego wystawnie wspaniały styl życia i oryginalność — nałogi i namiętności, wysuwały na pierwszy plan kronik i plotek ówczesnych salonów. Proust nie pisze naturalnie kroniki światowej z 1900-go roku, jednak dzieło jego jest transpozycją tego świata. Bohater jest chory jak Proust. Zamieszkuje miejscowości ze wszech miar podobne do tych, w których Proust żyje, i jak młody Proust cierpi z powodu bezpłodności twórczej; obaj mają ten sam sposób reagowania, tę samą nadwrażliwość. A cierpienie spowodowane śmiercią babki (u Prousta utratą matki), rozdarcie wywołane nieszczęśliwą miłością, prowadzą jednego i drugiego do odczucia niereczywistości uciech i użycia, i ostatecznego zrozumienia, że istotnym życiem, istotną rzeczywistością jest dla nich jedynie ich twórczość.

Przyjaciele Prousta odkrywają go po latach na nowo, odkrywają w nim nie spragnionego wszelkich uciech światowca, ale zamilowanego w swej pracy pisarza. Najprzenikliwsi zaczynają przeczuwać jego wielkość i geniusz. Najpiękniejsze studia, które o nim czytałem: *Hommage à Proust*, wydała N.R.F. w 1924 czy 1925 roku. Są tam artykuły Mauriaca, Cocteau, Gide'a, Fernandez'a itd. Ale najbardziej żywe i plastyczne ze znanych mi — to s'rony o Prouście poety L. P. Fargé'a w jego książce *Sous la lampe*.

Proust we wczesnej młodości zaczyna bywać w wykwintnych i najmodniejszych salonach Paryża. Pani Strauss z domu Halévy, jedna z najbardziej interesujących kobiet w świecie ówczesnej burżuazji francuskiej, nazywa go swoim paziem. Osiemnastoletni chłopiec o pięknych czarnych oczach, siaduje na taburecie przy niej na jej cotygodniowych przyjęciach. Jest także stałym gościem pani Caillavet i France'a, u których spotyka

się świat polityczny i literacki, wyrabia sobie nawet zażyłe stosunki w ekskluzywnych salonach Faubourg St-Germain.

Mając dwadzieścia kilka lat Proust zdaje sobie sprawę, że choroba, na którą cierpiał od dzieciństwa (ostra i skomplikowana forma astmy) jest nieuleczalna. Oswaja się z tą myślą i organizuje swoje życie, godząc się z chorobą jako złem koniecznym. Po śmierci jego dopiero, wielu przyjaciół zdało sobie sprawę jak ciężko był chory, do jakiego stopnia zdumiewająca była żywotność jego i młodzieńcza werwa, w momentach gdy choroba dawała mu kilka dni lub tygodni wytchnienia.

Z czasem nabrał idiosynkrazji do wszelkich zapachów. «Proszę wyjść i zostawić chustkę za drzwiami» — powtarzał przyjaciołom, gdy weszli przypadkiem z uperfumowaną chustką w kieszeni. Proust, autor nieporównanych opisów kwitnących jabłoni, zapragnął pewnego wiosennego dnia zobaczyć je raz jeszcze. Wyjeżdża z Paryża w zamkniętej karecie, tylko przez zapuszczone szyby odważając się popatrzyć na ukochane drzewa.

Od czasu, kiedy oddał się całkowicie swojemu dziełu, nie mniej nieznośnym stał mu się każdy odgłos. Ostatnie długie, pracowite lata spędza w pokoju obitym warstwą korka, w łóżku stojącym wzdłuż fortepianu. Fortepian jest zawałony stosem książek; stolik nocny lekarstwami i arkuszami pokrytymi jego nerwowym pismem. Pisze w pozycji jak najmniej wygodniejszej, opierając się na prawym łokciu i sam w listach wspomina, że «pisanie jest mu męczarnią».

Wspominałem już jaką rolę w życiu wiecznie chorego Prousta odgrywała matka. Ubóstwiała go i pielęgnowała, prawie odstępując. Proust, o tak kobiecej naturze, aż do śmierci matki oddychał tą atmosferą, szczególnej, inteligentnej czułości. Pochłonięty uczuciowymi, intelektualnymi i artystycznymi pasjami, skłonny był często zapominać do jakiego stopnia była mu niezbędna. Wbrew wszystkiemu i wszystkim, nie przestawała wierzyć w geniusz i talent syna, kiedy przyjaciele młodości wypierali się go jak snoba i salonowca, gdy ojciec czynny realista, widział w sposobie życia syna tylko dowód drażniącej indolencji i niczdołności stworzenia sobie kariery.

Stosunek bohatera książki do babki jest transpozycją całej gamy uczuć Prousta dla matki: młodzieńczego egoizmu, niezdolności zrozumienia do jakiego stopnia jej miłość do niego była absolutna, bezinteresowna i wzniosła. Zimna precyzja z jaką długo po śmierci matki ujawnia niedostrzegalne rysy okrucieństwa, jest jeszcze jednym dowodem, do jakiego stopnia ten pisarz analizujący siebie samego był pozbawiony wszelkiego dążenia do upiększenia lub choćby lekkiego retuszowania samego siebie. Oto przykład: bohater powieści, jako chłopiec piętnasto czy szesnastoletni, spędza popołudnie w Champs-Élysées, gdzie spotyka się z młodziutką panną Gilberte. Niecierpliwość jego podczas obiadu, wyrwanie się by popędzić czym prędzej na Champs-Élysées, da się porównać z analogiczną intensywnością innego przeżycia chłopca, gdy wiele lat wcześniej

w starym wiejskim dworze nie mógł się doczekać przyjścia matki na «dobranoc». Któregoś dnia babka, chora już wówczas, bardzo długo nie powraca z codziennej, przedobiednej przejażdżki. Bohater zdaje sobie sprawę ze swego pierwszego odruchu: «może babcia miała znowu atak sercowy — może umarła, więc się spóźnię na spotkanie na Champs-Élysées». I dodaje z tą samą oderwaną, niby to obojętną szczerością: «kiedy się kogoś kocha, nie kocha się nikogo». Nieskończoną ilością takich spostrzeżeń podkreśla światła i cienie synowskiej i macierzyńskiej miłości, wyczuwa się w nich zawody istotnych, osobistych przeżyć.

Matka Prousta umiera w 1904 czy 1905 roku. To pierwsze jego wielkie nieszczęście, pierwsze rozdarcie. Całe jego życie światowe, chaotyczne, nerwowe, pozbawione jakiegokolwiek realizacji, życie czyniące go niezdolnym do pracy, przynoszące szkody zdrowiu — nad którym matka jego milcząco tak bardzo bolała, nagle się załamuje. Przytłoczony cierpieniem na długo znika z oczu swych przyjaciół, i światowców. Wspomina, jak matka pragnęła, aby stał się pisarzem, marzenia jej zaczyna ją konkretnie i decydująco na niego oddziaływać. Nie stworzywszy dotąd nic poza kilku artykułami z kroniki światowej i paru stronicami o istotnej już wizji, które napisał jako całkiem młody chłopiec, włączone będą w jego dzieło, niedocenionym przez współczesnych tomikiem *Les plaisirs et les jours* — niezdolny jeszcze poświęcić się wielkiemu dziełu, które już w sobie przeczuwał, podejmuje się olbrzymiego trudu, naginającego go do pisarskiego wysiłku, wyrabiającego w nim zdolność pracowania nie tylko pod wpływem chwilowego wrażenia, przelotnego zapału — lecz dzień w dzień, w gorzkim naprężeniu. Przyśpiesza do tłumaczenia całości Ruskina. Ruskin miał olbrzymi wpływ estetyczny na pokolenie Prousta. Odkrycie sztuki prymitywów włoskich, kult Wencji i uwielbienie dla Botticelli'ego w latach 1890-1900 wywodzą się z dzieł Ruskina. Proust wydał swoje tłumaczenie, napisawszy do niego wspaniałą przedmowę. Tak wkracza w drugi etap swego życia, z tą samą pasją, tym samym brakiem umiaru z jakim się rzucił poprzednio w życie światowe i sentymentalne. Od tej pory pograża się w pracy literackiej, coraz bardziej odcięty od ludzi. Do końca życia niemal pojawia się raz po raz w salonach hotelu Ritz, lecz jedynym celem tych nagłych wypraw jest precyzowanie, kontrola i dalsze kolekcjonowanie materiału do nowej, olbrzymiej *Ludzkiej Komedii*. Powolna i bolesna przemiana człowieka namiętności i ciasnego egoizmu w człowieka absolutnie oddanego jakiemuś dziełu, które go pożera i krew z niego wysysa, to problem każdego twórcy. «Jeśli ziarno nie zamrze...». Gdy chodzi o artystę, ta przemiana dokonuje się w różny sposób, jest mniej lub więcej świadoma, lecz stała. Goethe twierdził, że w twórczym życiu biografii ma i powinna mieć znaczenie do 35 roku życia, lecz później już nie życie twórcy, lecz rezultat walki z materia-

łem, z którego tworzy dzieło, staje się problemem centralnym i on jedynie jest interesujący.

Rzadko jednak spotykamy przełom tak ostro zarysowujący się między jednym a drugim życiem jak u Prousta. Pewnych analogii możemy się dopatrzeć u Conrada, który mając 36 lat opuszcza morze na zawsze i podejmuje trud olbrzymiej swej literackiej twórczości.

Proust żyje coraz bardziej nocą. Choroba jego postępuje z roku na rok. Mnożą się jej dziwne objawy, np. ciągłe marznięcie. Nosi pod ubraniem watowane koszule, bieliznę tak przegrzewał przy piecu przed nałożeniem, że pełna jest rumianych plam od przypalenia. Spotyka się go jeszcze niekiedy w najbardziej zamkniętych salonach, w których bywał dawniej codziennym gościem. Teraz pojawia się w chwili, gdy wszyscy są już zdecydowani się rozejść. Bardziej czarujący niż kiedykolwiek, skupia na sobie uwagę i ożywieniem swoim zatrzymuje całe towarzystwo do rana. Widuje się go także z rzadka i o nieprawdopodobnych porach w hotelu Ritz, ośrodku rozrzuconego luksusu paryskich poszukiwaczy rozrywek. Poza takimi rzadkimi wypadami, nie wychodzi prawie. Coraz bardziej zatracą poczucie czasu. Wojna wybucha. Nie ma oczywiście mowy o mobilizacji ciężko chorego Prousta. Proust jednak, produkt cieplarniany, bogaty obywatel tak szanującego wolność, tak mało zbiurokratyzowanego kraju, jak Francja sprzed 1914-go roku, nie miał błędnego pojęcie o formalnościach jakim musi zadośćuczynić każdy obywatel w czasie wojny, żył on w ciągłym lęku, że niedopatrzaniem jakiejś formalności może się narazić władzom wojskowym. Toteż kiedy otrzymał rozkaz stawienia się przed komisją rewizyjną o drugiej w południe, z przerażenia pomylił godziny i nie mogąc zasnąć, połknąwszy moc lekarstw, popędził do biura komisji o drugiej w nocy. Powrócił bardzo zdziwiony, zastając biuro zamknięte.

Po wojnie już, więc pod sam koniec życia Prousta, księżna Clermont-Tonnere bierze łożę w operze na wielkie przedstawienie dobroczynne, by mu umożliwić zobaczenie raz jeszcze towarzystwa paryskiego, z którego dzieło jego czerpało swe soki. Proust spóźnia się na przedstawienie, siada w kącie łoża odwrócony plecami do sceny i rozmawia bez przerwy. Nazajutrz księżna wspomina, że nie warto było brać owej łoży i zapraszać go, skoro się niczym nie zainteresował. Na to Proust z lekkim uśmiechem opowiedział jej wszystko co się działo owego wieczoru na scenie i w teatrze, z tysiącem przez nikogo niedostrzeżonych szczegółów — dodając: «niech pani będzie spokojna, gdy chodzi o moje dzieło, jestem przezorny jak pszczoła».

Wrażliwość Prousta dopiero w jego pracy literackiej realizowała się w pełni. Jego sposób reagowania na wydarzenia był powolny i złożony. Gdy na przykład zwiedzał Louvre, dostrzegał wszystko, bez jakiegokolwiek na miejscu reakcji. Wieczorem, dopiero gdy kładł się do łóżka, dostawał nieraz wysokiej gorączki na skutek intensywności przeżycia.

Wszystkie nieszczęścia w życiu Prousta, wszystkie drobne, okrutne rozdarcia, wywołane jego wrażliwością, nieskończenie silniejszą od różnych i bardziej powolnych reakcji jego przyjaciół, dopomogły mu w najwyższym stopniu do odtworzenia w samotności świata swoich wrażeń, do przetopienia go i przetransportowania go w dzieło. Od wczesnego powołania i zdawał sobie był świadomy swego prawdziwego powołania i zdawał sobie sprawę, że zadaniem jego nie jest natychmiastowe wyładowanie entuzjazmu w chwili doznawania jakiejś podniety, lecz wysiłek pogłębienia, sprecyzowania, dotarcia aż do źródła, do pełnej świadomości wrażenia. Sam opowiada, że jako młodzieńki chłopiec, zachwycony odbiciem promienia słońca w stawie, uderzał ziemię parasolem, wydając okrzyki zadowolenia. Ale czuł już wtenczas, że sprzeniewierzał się najistotniejszemu swemu zadaniu, polegającemu nie na natychmiastowej reakcji, lecz na pogłębianiu wrażenia. W *Czasie Odzyskanym* Proust sztydzi z entuzjastów nie będących w stanie wstrzymać się od tysiąca gestów, słuchając zachwycającej ich muzyki i wstrzymać się od hałaśliwego wyrażania zapału: «wspaniałe — daję słowo — i nigdy równie pięknego nie słyszałem».

Spotykamy w dziele Prousta stronicę, które stały się już klasyczne i pozwalają wniknąć w proces jego twórczości. Takimi są ustępy o kruchej bułeczce «madlence» w pierwszym tomie *Po stronie Swanna* i o nierównych płytach w pierwszym tomie *Czasu Odzyskanego*. Bohater pije filiżankę herbaty, maczając w niej kawałki «madlenki». Pęczniące w herbacie ciastko budzi w nim zapach dzieciństwa, kiedy w taki właśnie sposób jadał «madlenki». To wspomnienie nie jest wywołane aktem woli, nie umie go chronologicznie pomieścić w dzieciństwie; jest to niespodziewany przypływ przeszłości, wylaniającej się z tej filiżanki razem z pachnącą «madlenką». (Proust wielokrotnie podkreślał, że tylko pamięć niezależna od woli ma znaczenie dla sztuki). Jak te japońskie źdźbła słomy (metafora Prousta), które rzucone w naczynie z wodą pęcznią, rosną i rozwijają się wreszcie w kształty kwiatów, domów lub twarzy ludzkich — wspomnienie wywołane madlenką rozszerza się, pogłębia i zwolna przekształca w dom rodzinny, w stary gotycki kościół, w wieś otaczającą jego dzieciństwo, w twarze starych ciotek, kucharki Franciszki, Swanna, częstego gościa w ich domu i wreszcie w najdroższe twarze matki i babki. To wrażenie, tak nikię z początku, jest punktem wyjścia, z którego wyrasta całe jego dzieło.

Proust jest jeszcze pełen wahań, ulega wszystkim pokusom, jakie mu życie niesie, lecz zaczynają go już jednocześnie dręczyć wyrzuty sumienia i świadomość, że jego pisarski wysiłek jest niedostateczny. W innym miejscu książki znajdujemy klucz, już nie tylko rozwoju twórczości Prousta, lecz samej jego biografii; wyznanie zaledwie zretuszowane chwili, kiedy Proust ma ostateczne objawienie swego powołania pisarskiego, opowiada je, jako objawienie bohatera. Znużony jałowym wysił-

kiem, by stać się pisarzem, po latach szarpaniny, ciągłych a jednak niedostatecznych ofiar, łatwego użycia, nieobowiązujących stosunków i przyjaźni — bohater, czyli sam Proust, postanawia dać za wygraną; nie jest pisarzem, jest pozbawiony talentu, ludzi siebie samego; teraz nie jest już młody, najwyższy czas spojrzeć na rzeczy otwarcie. Wniosek: musi się z tym pogodzić, że jego powołanie pisarskie było snem tylko i resztę życia przynajmniej poświęcić bez dalszych skrupułów i wyrzutów sumienia przyjaciołom i przyjemnym towarzyskim rozrywkom. Powziąwszy taką decyzję bohater, zrezygnowany i odpreżony, udaje się do pałacu de Guermantes na wielkie przyjęcie. Dzieje się to już po wojnie. W chwili kiedy wchodzi pod sklepienie bramy, zmuszony usunąć się przed przejeżdżającym samochodem, staje na dwóch płytach o nierównym poziomie. W tym to nieoczekiwanym momencie przypomina sobie jak wiele lat przedtem, w Wenecji stanął tak samo na dwóch płytach podobnie nierównych na Placu św. Marka — i nagle nawiedziła go wizja błyskawiczna i wyraźna Wenecji i wszystkiego co tam widział i przeżył. Ogarnęła go nagle pewność, że dzieło jego istnieje w nim do najdrobniejszego szczegółu, czekając tylko na realizację. Oszołomiony tą rewelacją w chwili gdy się jej najmniej spodziewał, bohater powieści wchodzi do pierwszego salonu księcia de Guermantes po raz pierwszy po długiej przerwie wojennej. Przyjęty przez służbę znającą go od wielu lat, z nieoczekiwanym szacunkiem co mu przypomina, że przestał być młodzieńcem, czeka w saloniku na przerwę koncertu, który się odbywa w głównym salonie. Podają mu filiżankę herbaty i ponadto nakrochmałoną serwetkę. Dotknięcie jej budzi wspomnienie nie mniej oślepiające identycznego dotknięcia innej serwetki wiele lat wcześniej w Grand Hôtel Balbec nad morzem — wizję niemniej dokładną i błyskawiczną niż wizję Wenecji. Bohater, który szedł do pałacu de Guermantes przekonany, że raz na zawsze zerwał z wszelkimi literackimi ambicjami, spędza godziny tej wizyty w gorączkowym jasnovidzeniu pewności powołania, które wprowadza przewrót w całe jego życie. Obserwuje w ciągu tego zebrania wielu dawnych przyjaciół, już zniekształconych przez wiek, postarzałych, opuchłych lub wysuszonych, przygląda się młodzieży dorastającej, nowemu pokoleniu i uderza go wstrząsająca doświadczeniem nadziei, z tymi jakie żywili przyjaciele jego, starzy dziś, albo już nieżyjący; — obserwuje jednak to wszystko inaczej niż dotąd, w sposób jasny, bezosobisty, z dalekiej perspektywy. I nareszcie zdaje sobie sprawę dlaczego żył. On, on jeden tylko, powołał ten cały otaczający go tłum raz jeszcze do życia. Wobec siły tej pewności śmierć mu się staje obojętna. Gdy powraca do domu, idąc ku nowemu życiu olbrzymiego twórczego trudu, przychodzi mu nagle na myśl, że mógłby go przejechać pierwszy lepszy tramwaj; i to mu się wydaje potworne i niemożliwe.

Nagle objawienie przeistoczyło tego chorego człowieka, nieporadnego literata — w pisarza o żelaznej woli i zadziwiającej

konsekwencji, który staje się jednym z największych mistrzów literatury.

Wiemy, że większa część ostatniego tomu, która ukazała się już po śmierci Prousta i bez jego osobistej korekty, była napisana wcześniej niż reszta dzieła; ten punkt kulminacyjny i konkluzja dzieła były zarazem osobistą spowiedzią i początkiem.

(Dokończenie nastąpi)

Józef CZAPSKI.

Tłumaczyła z francuskiego T. Skórzewska.

## Arkusze poetyckie

### Krwawe wesele

TRAGEDIA W TRZECH AKTACH I SIEDMIU ODSŁONACH

**NOTA TŁUMACZA:** Rzecz dzieje się na południu Hiszpanii, w środowisku zamożnych chłopów. Mąż i starszy syn MATKI zostali zamordowani przed kilkunastu laty przez sąsiedzką rodzinę Felixów. Młodszy syn, który w tragedii występuje pod nazwą NARZECZONEGO, pragnie ożenić się z dziewczyną z okolicy, która przedtem była narzeczoną jednego z członków rodziny zabójców, LEONARDA. Zaślubiny dochodzą do skutku, ale w czasie wesela NARZECZONA ucieka z Leonardem. Rodziny państwa młodych udają się w pościg. Narzeczoną dopada Leonarda i obydwaj giną w walce na sztylety. W akcie trzecim występują postacie fantastyczne, jak śmierć pod postacią ZEBRACZKI i KSIEŻYC, uosobiony przez pięknego młodzieńca, drżącego z zimna i pragnącego rozgrzać się w ludzkiej krwi. Wstawki liryczne napisane są białym wierszem z rzadko ukazującymi się rymami i asonansami. Utwór powstał i po raz pierwszy wystawiono go w roku 1933. Przełożono go na kilka języków, m. in. na francuski, niemiecki i angielski. Z przekładu polskiego wyjęte zostały fragmenty najbardziej charakterystyczne, obejmujące mniej więcej jedną trzecią całości.

MATKA: Synu, a obiad?

NARZECZONY: Nie trzeba. Zjem winogron. Daj mi sztylet.

MATKA: Po co?

NARZECZONY (*Śmiejąc się*): Ucinać grona.

MATKA: (*Szukając sztyletu, mówi przez zęby*): Sztylet... sztylet... Przeklęte niech będą wszystkie sztylety i ten łajdak, który je wynalazł.

NARZECZONY: Mówmy o czym innym.

MATKA: I przeklęte fuzje i pistolety, i najmniejsze noże, a nawet przeklęte cepy i łopaty.

NARZECZONY: No, już dobrze.

MATKA: Przeklęte wszystko, co jest w stanie zranić ludzkie ciało. Piękny mężczyzna o ustach, jak kwiat, który idzie do winnicy, albo obejrzyć swoje oliwy, bo są jego, odziedziczone po ojcach...

NARZECZONY (*Chyli głowę*): Zamilczcie.

MATKA: ...i ten mężczyzna nie wraca. A jeśli wróci, to po to, by na nim położyć gałązkę palmy, albo talerz grubej soli, aby go nie wzduło. Nie rozumiem, jak masz śmiałość nosić sztylet przy sobie, ani jak ja sama mogę trzymać tę żmiję w swojej skrzyni.

NARZECZONY: No, już dosyć, dosyć...

MATKA: Choćbym żyła sto lat, nie mówiłabym o czym innym. Najpierw twój ojciec, który mi pachniał jak goździk i z którym używałam sobie ledwie trzy krótkie lata. Potem twój brat. I czy to sprawiedliwie i jak to może być, żeby taka mała rzecz, jak pistolet albo sztylet, mogła skończyć z chłopem, który jest wielki jak wół. Nigdy nie przestanę mówić. Mijają miesiące a rozpacz kłuje mnie w oczy szarpie za włosy.

NARZECZONY: Skończymy z tym nareszcie?

MATKA: Nie, nie skończymy. Może mi kto zwrócić twego ojca? Albo twego brata? A tamci w więzieniu. A cóż to jest więzienie? Tam jedzą, tam palą, tam zabawiają się graniem! Moi umarli pełni trawy, zamienieni w proch, bez mowy, dwaj mężczyźni, co byli jak dwa krzaki geranium... A mordercy w więzieniu, zadowoleni, oglądają Boży świat...

NARZECZONY: Czy chcecie, żebym ich pozabijał?

MATKA: Nie... Jeśli mówię, to dlatego... Jakże mam nie mówić, widząc cię wychodzącego z tych drzwi? Chodzi o to, że nie lubię, kiedy bierzesz ze sobą sztylet. Widzisz... nie chciała bym, żebyś szedł na pole.

NARZECZONY (*śmieje się*): No, no!

MATKA: Jabym wołała, żebyś był kobietą. Nie szedłbyś teraz do winnicy i wyszywałybyśmy razem hafty i chusteczki.

NARZECZONY (*Bierze matkę za ramię. Z uśmiechem*): Matko, a gdybym ja was wziął ze sobą do winnicy?

MATKA: Co taka stara ma do roboty w winnicy? Schowasz mnie pod winną łożą?

NARZECZONY (*Podnosi ją w ramionach*): Stara, staruszka, starowinka!

MATKA: Twój ojciec zabierał mnie ze sobą. To się nazywa dobry ród. Dobra krew. Twój dziadek pozostawiał po jednym dzieciaku na każdym rogu. To mi się podoba. Chłop powinien być chłopem; pszenica pszenicą.

NARZECZONY: A ja, matko?

MATKA: Ty, co?

NARZECZONY: Trzebaż to wam powtarzać jeszcze raz?

MATKA (*poważnie*): Ach!

NARZECZONY: Widzicie w tym co złego?

MATKA: Nie.

NARZECZONY: No więc?

MATKA: Nie wiem sama. Ile razy mi mówisz, zawsze jakby to była niespodzianka. Ja wiem, że dziewczyna jest dobra. Prawda, że dobra? Przykładna. Pracownica. Sama rozczylnia swój chleb i szyje swoje spódnice, a przecie zawsze, gdy wymawiam jej imię, jest tak, jakbym dostała kamieniem w czoło.

NARZECZONY: Głupstwa.

MATKA: Nie tylko głupstwa. Zostałabym sama. Nikt mi nie został prócz ciebie i smutno mi, że odchodzisz.

NARZECZONY: Ale wy, matko, pójdziecie razem z nami.

MATKA: Nie. Nie mogę zostawić tu samych twego ojca i brata. Muszę ich widzieć co rana i gdybym odeszła, łatwo się może stać, że umrze, któryś z Felixów, z zabójców, i pochowają go obok nich. A to nie może być! O! Co jak co, ale to nie może być! Bo bym go wydarła z ziemi pazurami i ja sama rozbiłabym ciało o ścianę.

NARZECZONY (*Z mocą*): Znów o tym samym.

MATKA: Przebac. (*Przerwa*) Od jak dawna z nią chodzisz?

NARZECZONY: Trzy lata. W tym czasie kupiłem winnicę.

MATKA: Trzy lata. Ona miała innego narzeczonego, tak?

NARZECZONY: Nie wiem. Myślę, że nie. Dziewczeta muszą dobrze patrzeć, z kim mają się pobrać.

MATKA: To tak. Ja nie patrzyłam na żadnego. Patrzyłam na twego ojca, a jak go zabili, patrzyłam na tę ścianę. Jedna kobieta dla jednego mężczyzny i dobrze jest jak jest.

NARZECZONY: Wiecie, że moja narzeczona jest porządna.

MATKA: Nie wątpię. Ale żałuję, że nie wiem, jaką była jej matka.

NARZECZONY: Czy to nie wszystko jedno?

MATKA (*Wpatruje się weń*): Synu.

NARZECZONY: Czego chcecie?

MATKA: Mówię, że prawda. Ze masz rację! Kiedy chcesz, żebym o nią prosiła?

NARZECZONY (*Wesoło*): Wydaje się wam dobrze w przyszłą niedzielę?

MATKA (*Poważnie*): Podaruję jej kolczyki z brązu, te staro-dawne, a ty jej kupisz...

NARZECZONY: Wy rozumiecie się na tym lepiej...

MATKA: Kupisz jej pończochy z mereżką, a dla siebie dwa ubrania... Trzy! Nie mam nikogo poza tobą!

NARZECZONY: Na mnie czas. Jutro pójde zobaczyć się z dziewczyną.

MATKA: Tak, i zobaczymy, czy mnie pocieszysz sześciorgiem wnucząt, czy iloma zechcesz, bo twój ojciec nie miał czasu dać mi więcej dzieci.

NARZECZONY: Pierwsze będzie dla was, matko.

MATKA: Dobrze, ale chcę, żeby były dziewczynki. Bo ja chcę z nimi haftować i wiązać koronki i być spokojna.

NARZECZONY: Jestem pewny, że moja narzeczona przyjdzie wam według serca.

MATKA: Będę ją miłowała. (*Chce go pocałować i reaguje na czas*): Jesteś zaduży, żeby cię całować. Zachowaj pocałunki dla swojej kobiety.

ŚLUZĄCA: Wejdziesz... (*Wchodzi matka i narzeczoną. Matka*

w czarnej jedwabnej sukni i w mantyli z koronek. Narzeczony w czarnym ubraniu. Gruba złota dewizka). Proszę, siadajcie. Gospodarz zaraz przyjdzie. (Wychodzi).

(Matka i syn siedzą nieruchomo, jak dwa posągi. Długie milczenie)

MATKA: Wzięłeś zegarek?

NARZECZONY: Tak.

MATKA: Musimy wrócić na czas. Jakże daleko mieszkają!

NARZECZONY: Ale ziemia tu jest dobra.

MATKA: Ziemia dobra, ale opuszczona. Cztery godziny w drodze, i ani jednego domu, ani jednego drzewa.

NARZECZONY: Bo to są ziemie bezwodne.

MATKA: Twój ojciec byłby je obsadził drzewami.

NARZECZONY: Bez wody?

MATKA: Potrafiłby ją znaleźć. Przez te trzy lata, które żyliśmy w małżeństwie, wyhodował dziesięć wiśni. (Przypominając). I trzy orzechy koło młyna, jedną winnicę i drzewo, zwane Jupiter, które kwitło czerwono, a potem uschło.

(Przerwa)

NARZECZONY (Myśli o narzeczonej): Pewnie się przystraja.

(Wchodzi ojciec narzeczonej, starzec o białych, połyskliwych włosach. Głowę ma pochyloną ku przodowi. Matka i narzeczony wstają i podają mu ręce w milczeniu)

OJCIEC: Długi czas w drodze?

MATKA: Cztery godziny (Siadają).

OJCIEC: Przybyliście dłuższą drogą.

MATKA: Jestem już za stara, żeby jeździć brzegiem rzeki.

NARZECZONY: Na wykrótach dostaje zawrotu głowy.

(Przerwa).

OJCIEC: Dużo wikliny zebraliśmy tego roku.

NARZECZONY: To prawda, że dużo.

OJCIEC: Za moich młodych czasów nawet wikliny nie dawała ta ziemia. Trza ją było krwawo uprawiać i polewać łzami, zanim zaczęła przynosić pożytek.

MATKA: Ale teraz przynosi. Nie skarż się. Nie przychodzę tu o nic cię prosić.

OJCIEC (Z uśmiechem): Ty jesteś bogatsza ode mnie. Winnice wartają majątek. Każda łoża to srebrny pieniądz. Jedno szkoda, że ziemie są... rozumiesz?... rozłączone. Mnie się podoba, jak wszystko jest w kupie. Tu w samym sercu noszę cierpliwie ten cień to folwarczek, który wlaź w sam środek moich gruntów. Nie chcą go sprzedać za żadne złoto świata.

NARZECZONY: Tak bywa zawsze.

OJCIEC: Gdybyśmy tak w dwadzieścia par wołów mogli przyciągnąć twoje winnice i zostawić je na tych zboczach. To by była radość!

MATKA: I po cóż to?

OJCIEC: Moje jest dla dziewczyny i twoje dla chłopaka. Właśnie po to. Żeby wszystko było razem, bo dopiero wtedy jest pięknie.

NARZECZONY: I byłoby mniej pracy.

MATKA: Kiedy umrę, sprzedacie tamte grunty i przykupicie w sąsiedztwie.

OJCIEC: Sprzedać, sprzedawać!.. Ale! Kupować, matko, kupować jak najwięcej. Gdybym ja miał synów, to bym kupił wszystkie te góry aż do strumienia. Bo ziemia nie jest dobra; ale na siłę staje się żywna, a że tu mało ludzi chodzi, to i owoców nie kradną i można spać spokojnie. (Przerwa).

MATKA: To już wiesz, po co przychodzę.

OJCIEC: Tak.

MATKA: I co?

OJCIEC: Ano, zgoda. Młodzi już ze sobą mówili.

MATKA: Mój syn ma krzepę i dużo może.

OJCIEC: Moja córka także.

MATKA: Mój syn jest urodziwy. Nie spał jeszcze z kobietą. Jego honor jest czysty, jak prześcieradło wyniesione na słońce.

OJCIEC: Cóż ci mam powiedzieć o mojej? Zaczynia chleb o świtaniu wraz z ostatnią gwiazdą. Nie gada zawiele. Delikatna, jak owece runo, zna się na wszelkich haftach i potrafi postronek przeciąć zębami.

MATKA: Niech Bóg błogosławi twój dom.

OJCIEC: Oby go błogosławił.

(Wchodzi służąca, niosąc dwie tace. Na jednej kieliszki, na drugiej słodycze)

MATKA (Do syna): Kiedy chcecie ślub?

NARZECZONY: W przyszły czwartek.

OJCIEC: W tym dniu dziewczyna kończy dwadzieścia dwa lata.

MATKA: Dwadzieścia dwa lata! Tyle miałby mój starszy syn, gdyby żył. Parobek był gorący i jurny, i byłby żył, gdyby nie ludzie, co wymyślili sztylety.

OJCIEC: O tym nie ma co rozmyślać.

MATKA: Każdej chwili. Połóż rękę na sercu.

OJCIEC: A więc w czwartek. Czy nie tak?

NARZECZONY: Ano, tak.

OJCIEC: Młodzi i my pojedziemy do kościoła bryczką, a weselnicy na wozach i konno.

MATKA: Zgoda na wszystko.

(Przechodzi służąca)

OJCIEC: Powiedz, że może wejść. (Do matki). Będę rad, jeśli ci się spodoba.

♦  
SŁUŻĄCA: Zaraz skończymy uczesanie.

NARZECZONA: Taki gorący, że trudno wytrzymać w środku.

SŁUŻĄCA: W tych stronach nie ochładza się ani o świtanie.

NARZECZONA (Siada na niskim stołku i przegląda się w ręcznym lusterku. Służąca ją czesze): Moja matka pochodziła ze stron, gdzie rośnie dużo drzew. Z bogatej ziemi.

SŁUŻĄCA: I dlatego była taka wesoła!

NARZECZONA: A tutaj przyszło jej zwiędnąć.

SŁUŻĄCA: Takie przeznaczenie.

NARZECZONA: Tak też więdniemy wszystkie. Ogień bucha od tych ścian. Aj, nie szarp tak mocno.

SŁUŻĄCA: To, żeby lepiej ułożyć ten lok. Chcę, żeby ci spadał na czoło. *(Narzeczona przegląda się w zwierciadle)*. Jaka urodziwa jesteś! Ach! *(Całuje ją namiętnie)*.

NARZECZONA *(Poważnie)*: Skończ czesanie.

SŁUŻĄCA *(Czesząc)*: Szczęśliwa ty, która będziesz obejmować mężczyznę, która go będziesz całować, która będziesz czuć na sobie jego ciężar!

NARZECZONA: Zamilcz!

SŁUŻĄCA: A najlepsze jest, kiedy się obudzisz i poczujesz go przy swoim boku, a on ci ogrzewa ramiona oddechem, jakby gładził słowiczym piórkiem.

NARZECZONA *(Z mocą)*: Zamilczysz nareszcie?

SŁUŻĄCA: Ależ, dziecko! Zaślubiny, cóż to jest? Zaślubiny to właśnie to i nic innego. Może wesele to słodkie jedzenie? Może kwiatowe wieniec? Nie. Wesele to jasne łoże, a w nim mężczyzna i kobieta.

NARZECZONA: Nie powinno się o tym mówić.

SŁUŻĄCA: To inna rzecz. Al: to jest bardzo radosne.

NARZECZONA: Albo bardzo gorzkie.

SŁUŻĄCA: Kwiat pomarańczy przypnę ci w taki sposób, żeby wieniec ładnie odbijał od włosów. *(Przymierza gałązkę pomarańczy)*.

NARZECZONA *(Przegląda się w lusterku)*: Daj mi go. *(Bierze kwiaty, ogląda i w przynębieniu pochyla głowę)*.

SŁUŻĄCA: Co ci jest?

NARZECZONA: Daj mi spokój.

SŁUŻĄCA: To nie jest pora na smutki. *(Z ozywieniem)*. Daj mi kwiaty. *(Narzeczona rzuca wieniec)*. Dziecko! Jakiej kary szukasz, żeś rzuciła wieniec na podłogę? Podnieś no czoło! Nie chcesz iść za mąż? Powiedz. Jeszcze jest czas zmienić postanowienie. *(Podnosi się)*.

NARZECZONA: Tak mnie zamroczyło. Zły ucisk w wątpiach. Któż go nie miewa?

SŁUŻĄCA: Ty miłujesz swego narzeczonego.

NARZECZONA: Miłuję.

SŁUŻĄCA: Tak, tak, jestem pewna.

NARZECZONA: Ale to jest postanowienie bardzo ważne.

SŁUŻĄCA: Raz trzeba go uczynić.

NARZECZONA: Jużem dała słowo.

SŁUŻĄCA: Teraz przypnę ci wieniec.

NARZECZONA *(Siada)*: Pospiesz się, bo niedługo przyjadą.

SŁUŻĄCA: Co najmniej od dwu godzin są w drodze.

NARZECZONA: Ile jest stąd do kościoła?

SŁUŻĄCA: Rzecznym jarcem będzie ze dwie mile, a drogą dwakroć.

*(Narzeczona wstaje i służąca wpada w zachwyty na jej widok)*

*Obudź się, młoda,  
w swój weselny ranek.  
Wszystkie rzeki świata  
już niosą ci wianek!*

NARZECZONA *(Z uśmiechem)*: Chodźmy.

SŁUŻĄCA *(Całuje ją z zachwytem i tańczy dokoła)*:  
*Niechaj się zbudzi  
wraz z zielonym liściem  
kwitnącego wawrzynu.  
Niechaj się zbudzi  
jako listowie  
kwitnących wawrzynów.*

*(Słychać uderzenia metalowej kołatki u drzwi)*

NARZECZONA: Otwórz. Pewnie przybyli pierwsi weselnicy. *(Wychodzi. Służąca otwiera drzwi i staje zaskoczona)*.

SŁUŻĄCA: To ty?

LEONARD: To ja. Dzień dobry.

SŁUŻĄCA: Pierwszy!

LEONARD: Czy nie zostałem zaproszony?

SŁUŻĄCA: Tak.

LEONARD: Dlatego przybyłem.

SŁUŻĄCA: A twoja kobieta?

LEONARD: Przyjechałem wierzchem. Ona pojechała drogą.

SŁUŻĄCA: Nie spotkałeś nikogo?

LEONARD: Przegoniłem wszystkich na koniu.

SŁUŻĄCA: Zgonisz konia na śmierć takim sposobem.

LEONARD: Jak się umiera, to się jest umarłym. *(Przerwa)*.

SŁUŻĄCA: Siadaj. Nikt jeszcze nie wstał w domu.

LEONARD: A narzeczona?

SŁUŻĄCA: Zaraz pójde ją ubierać.

LEONARD: Narzeczona! Musi być radosna!

SŁUŻĄCA *(Zmienia temat rozmowy)*: A cóż dziecko?

LEONARD: Jakie dziecko?

SŁUŻĄCA: Twój syn.

LEONARD *(Przypomina jakby przez sen)*: Ach!

SŁUŻĄCA: Wzięliście go ze sobą?

LEONARD: Nie. *(Przerwa. Słychać z daleka śpiewy)*.

*Obudź się, młoda,  
w swój weselny ranek!*

LEONARD *(Powtarza)*:

*Obudź się, młoda,  
w swój weselny ranek.*

SŁUŻĄCA: Weselnicy. Są jeszcze daleko.

LEONARD *(Podnosi się)*: Narzeczona będzie miała duży wieniec, prawda? Nie powinna mieć zbyt dużego. W trochę mniejszym byłoby jej piękniej. A czy narzeczonego już jej przysłał kwiat pomarańczy do gorsu?

NARZECZONA *(Wchodzi jeszcze bez sukni zwierzchniej i z wieniec pomarańczowym na głowie)*: Już go przysłał.

SLUŻĄCA (*Energicznie*): Nie wychodź w tym stroju.

NARZECZONA: Czy nie wszystko jedno? (*Poważnie*). Dla czego pytasz o kwiaty? Masz w tym co?

LEONARD: Nic nie mam. Zaśbym tam miał mieć! (*Zbliża się*). Ty mnie znasz i wiesz, że nic w tym nie mam. Powiedz mi, czym byłem ja dla ciebie? Przypomnij-no dobrze. Ale jedna para wołów i nędzna chała to tyle co nic. Ano, w tym sedno.

NARZECZONA: Po co przychodzisz?

LEONARD: Chcę zobaczyć twoje zaślubiny.

NARZECZONA: Także i ja widziałam twoje!

LEONARD: Zaślubiny, któreś ty uknuła swoimi dwiema rękami. Mnie można zabić, ale nikt mi nie śmie pluć w oczy. A pieniądze, które są takie błyszczące, czasami trzeba je wypluć.

NARZECZONA: Kłamstwo!

LEONARD: Wolę nie mówić, bo jestem gorącej krwi i nie chcę, żeby te okolice słyszały moje krzyki.

NARZECZONA: Moje byłyby mocniejsze.

SLUŻĄCA: Ta gadka nie może trwać. Tyś nie powinien mówić o tym, co już przeszło. (*Z niepokojem wygląda przez drzwi*).

NARZECZONA: Ma rację. Nawet nie powinnam z tobą mówić. Ale krew się we mnie burzy, kiedy widzę, że przychodzisz, żeby mnie niepokoić w dniu mego wesela, i zapytujesz z drwiną o wieniec. Idź stąd i czekaj swojej kobiety we drzwiach.

LEONARD: To znaczy, że nawet nie wolno nam ze sobą rozmawiać?

SLUŻĄCA (*z wściekłością*): Nie, nie wolno wam rozmawiać.

LEONARD: Po moim ożenku rozmyślałem co dnia i co nocy, czyja jest wina, i za każdym razem, gdy myślę, znajduję nową winę, co zjada poprzednią, ale zawsze jest czyjaś wina!

NARZECZONA: Mężczyzna, co jeździ konno, potrafi wiele i zna sposoby, żeby wykorzystać dziewczynę, co żyje w odosobnieniu. Ale ja mam mój ambit. Dlatego wychodzę zamąż. I zamknę się z moim mężem, którego mam kochać, było nie było.

LEONARD: Twój ambit nie przyda się na wiele. (*Zbliża się*).

NARZECZONA: Nie zbliżaj się do mnie!

LEONARD: Spalać się w milczeniu, to największa kara, jaką możemy na siebie nałożyć. Przyszło mi co z mego ambitu, żem nie chciał na ciebie patrzeć i zostawiłem cię czekającą beznamię po nocach? Nic mi nie przyszło! Tyle, że dosypało jeszcze więcej żaru! Bo ty myślisz, że czas kuruje i że ściany odgradzają, i to nie jest prawda, nie jest prawda! Jak już raz doszło do samych wątpliwości, nie ma nikogo, co by potrafił to wyrwać!

NARZECZONA (*Drżąc*): Nie mam prawa cię słuchać. Nie mam prawa słuchać twego głosu. Bo jest mi tak, jakbym wypila bułeczkę anyżówki i zasnęła na postaniu z róż. I ciągnie mnie ten głos za sobą i wiem, że się utopię, i muszę iść za nim.

SLUŻĄCA (*Chwyta Leonarda za kłapy*): Wyjdź stąd natychmiast!

LEONARD: Po raz ostatni przychodzę z nią mówić. Nie lękaj się niczego.

NARZECZONA: I wiem, że jestem szalona, że piersi mi gniją od tej udręki, i trwam tu, słuchająca jego głosu, patrząca na jego ramiona.

LEONARD: Nie będę miał spokoju, jeśli ci tego nie powiem. Ja się ożeniłem. Idźże i ty zamąż.

SLUŻĄCA: I wyjdź!

GŁOSY (*Spiewają w pobliżu*):

*Obudź się, młoda,  
w swój weselny ranek.*

NARZECZONA: Obudź się, młoda! (*Ucieka do swego pokoju*).

MATKA (*Wchodzi*): Nareszcie!

OJCIEC: Jesteśmy pierwsi?

SLUŻĄCA: Nie. Od dłuższej chwili jest tu Leonard ze swoją. Gonili jak szatany. Kobieta przyjechała na pół umarła ze strachu. Zrobili drogę tak szybko, jakby jechali wierzchem.

OJCIEC: Ten szuka nieszczęścia. Złą krew w sobie nosi.

MATKA: I jakąż krew ma nosić? Taką samą, jak cała jego rodzina. Idzie od pradziada, który pierwszy zaczął mordować, i taki już cały ich ród, nożownicze nasienie z fałszywym uśmiechem na gębach.

OJCIEC: Zaniechajmy raz tej sprawy!

SLUŻĄCA: Jakże jej ma zaniechać?

MATKA: Boli mnie aż do krwi w zyłach. Na czole każdego z nich nie widzę niczego, oprócz ręki, która pomordowała moich. Widzisz mnie? Nie wydaję ci się szaloną? Więc jestem szalona dlatego, żem nie umiała wykrzyknąć to wszystko, co mogłoby ulżyć moim piersiom. Bez ustanku w mej piersi wzbiera krzyk o tych, których powinnam pokarać i przykryć całunem. Ale umartych już pochowali i trza milczeć. A jeszcze ludzie mają za złe.

(Zdejmuje okrycie)

OJCIEC: W dzisiejszym dniu nie powinnaś pamiętać o tych sprawach.

MATKA: Gdy się zaczyna rozmowa, nie mogę milczeć. A dziś bardziej, niż kiedykolwiek. Bo od dziś zostanę sama w moim domu.

OJCIEC: W oczekiwaniu na przychówek.

MATKA: To jest moje spodziewanie: wnukowie. (*Siadają*).

OJCIEC: Chcę, żeby mieli dużo dzieci. Ta ziemia wymaga rąk, które by nie były rękami majemników. Trza się nie dać złym zielenom, ostom, kamieniom, które się pokazują niewiedomo skąd. Te ręce mają być gospodarskie, żeby kierowały i rządziły, żeby zmuszały ziarno do wzrostu. Potrzeba wielu synów.



MATKA: I choć jedna córka! Chłopaczyska są jak wiatr. Nie ma na nich sposobu, żeby nie rwali się do broni. Dziewczęta nie wychodzą nigdy na ulicę.

OJCIEC (*wesoto*): Myślę, że będą mieli wszystkiego po trochu.

MATKA: Mój syn pokryje ją dobrze. Jest z dobrego nasienia. Jego ojciec mógłby mieć ze mną dużo potomstwa.

OJCIEC: Jabym chciał, żeby to się stało jednego dnia. Żeby od razu mieli dwóch albo trzech synów.

MATKA: Ale tak nie jest. Długo trzeba czekać. Dlatego to straszna rzecz oglądać krew, rozlaną na ziemi. Ponik, który biegnie jedną chwilę, a rodziciele kosztowali całe lata. Kiedy przybiegłam do mojego syna, leżał zwalony na środku ulicy. Umaczałam ręce we krwi i zlizywałam ją językiem. Bo ta krew była moja. Ty nie wiesz, co to znaczy. W monstrancji z kryształów i topazów powinnam była złożyć tę skrawioną ziemię.

OJCIEC: Teraz tylko wyczekiwać. Moja córka jest rozłożysta i twój syn ma krzepę.

MATKA: Toteż się spodziewam.

(Las. Noc. Zroszone pnie wielkich drzew. Dokoła mroki. Słychać dwoje skrzypiec. Wchodzą trzej drwale)

DRWAL I: I już ich znaleziono?

DRWAL II: Nie. Ale szukają ich wszędzie.

DRWAL III: Znajdą na pewno.

DRWAL I: Ciichoooo...

DRWAL III: Co jest?

DRWAL II: Zdaje się, że się zbliżają ze wszystkich stron naraz.

DRWAL I: Znajdą ich, kiedy wypłynie księżyc.

DRWAL II: Powinni ich zaniechać.

DRWAL I: Świat jest wielki. Dla wszystkich dość jest miejsca.

DRWAL III: Ale ich zamordują.

DRWAL II: Należy iść za głosem krwi: dobrze uczynili, uciekając.

DRWAL I: Oszukiwało jedno drugiego, ale na końcu krew przemogła.

DRWAL III: Krew!

DRWAL I: Należy iść drogą, którą krew wskazuje.

DRWAL II: Ale krew, raz wydobyta na światło, wypija ziemia.

DRWAL I: To i co? Lepiej umrzeć od upływu krwi, niż żyć ze zgniłą krwią w żyłach.

DRWAL III: Cicho!

DRWAL I: Słyszysz co?

DRWAL III: Słyszę świerszcze, kumkanie żab, trwożne głosy nocy.

DRWAL I: Ale konia nie słyszać.

DRWAL III: Nie.

DRWAL I: Teraz oddaje się kochankowi.

DRWAL II: Jej ciało było dla niego i jego ciało było dla niej.

DRWAL III: Szukają ich i zabijają.

DRWAL I: Ale ich krew już się zmieszała i będą jak dwa puste dzbany, jak dwa wyschnięte potoki.

DRWAL II: Niebo jest zachmurzone i księżyc może nie ukazać się.

DRWAL III: Z księżycem, czy bez księżycar narzeczony ich znajdzie. Widziałem go przy wyjściu z domu. Był jak oszalała planeta. Twarz barwy popiołu. Niósł na niej przeznaczenie swego rodu.

DRWAL I: Przeznaczenie tych, co umierają na środku ulicy.

(Drwale wychodzą. Na polance z lewej strony zjawia się Księżyc. Jest to młody drwal o białej twarzy. Scenę zalewa jaskrawa niebieska poświata)

KSIEŻYC:

*Ja jestem żrenica katedr,  
okrągły tabędz na rzece,  
jutrznia fałszywa wśród liści...  
Nie, nie uciekną przede mną!  
Kto się tu kryje? Kto szlocha  
w gęstych zaroślach doliny?  
Zostawiam za sobą sztylet,  
sztylet zawisty w powietrzu;  
jest ciężkim wyczekiwaniem  
i chce się skrwawić w cierpieniu.  
Pozwólcie mi wejść! Zziębnięty  
Idę po ścianach i szybach!  
Otwórzcie dachy i piersi,  
ażebym chłód ten mógł rozgrzać!  
Zimno mi! Moje popioły  
z rozdzwonionego metalu  
szukają wśród gór i ulic  
wyżyny żywego ognia.  
Ale unoszą mnie śniegi  
na śliskich plecach z jaspisu  
i twarda woda jeziorna  
zalewa mnie swoim chłodem.  
Więc tej nocy będą miały  
me policzki krew czerwona  
i u wiatru stóp szerokich  
zbiorą się tłumy sitowia.  
Nie ma zasadzek ni cieni,  
co by nie pierzchły przede mną!  
Pragnę wejść w otwarte piersi,  
ażebym ziąb swój mógł rozgrzać!  
Pragnę serca, serca dla mnie!  
Niech rozleje się, gorące,  
po zimnych górach mej piersi.  
Pozwólcie mi wejść, pozwólcie!*

(Do drzew)

Nie chcę dziś cieni. Me światło  
ma dzisiaj wszystko przesycić,  
i wśród ciemnych pni niech dźwięczy  
srebrna pieśń jasności mojej,  
by tej nocy me policzki  
zaznały słodyczy krwi  
i u wiatru stóp szerokich  
by się zebrał tłum siłowia.  
Kto się tu kryje? Wychodźcie!  
Nie! Nie uciekną przede mną!  
Ja sprawię, by ich wierzchowiec  
zaśnił gorączką z diamentów.

(Znika wśród drzew i scenę okrywa ciemność. Zjawia się stara kobieta w powiewnych, ciemnozielonych płachtach. Stopy ma białe. W załamaniach chusty ledwie dostrzegalna twarz)

ZEBRACZKA:

Księżyc odchodzi. Tamci się zbliżają.  
Już stąd nie ujdą. Szum rzeki i szelest  
nocnych siłowia zgaszą lot wysoki  
ich krzyków. Tutaj ma stać się i niechaj  
szybko się stanie. Oh, jestem znużona.  
Otwórzcie skrzynie i niech prześcieradła  
z białego płótna czekają na ziemi  
na ciężkie ciała o przeciętych gardłach.  
Niech się nie zbudzi żaden ptak i powiew  
wiatru niech zbierze jęki w swój podolek  
i, uciekając przez czarną gęstwinę,  
pogrzebie wszystkie pod gliną rozmięktą.

(Niecierpliwie)

Księżyc! Ten księżyc...

(Zjawia się księżyc. Jaskrawe błękitne światło)

KSIEŻYC:

Już są niedaleko.  
Jedni wzdłuż rzeki, a inni od gór.  
Zaraz oświetlę kamienie. Czy pragniesz czego?

ZEBRACZKA:

Niczego.

KSIEŻYC:

Wiatr tnie, jako sztylet  
z podwójnym ostrzem.

ZEBRACZKA:

Oświetl im koszule,  
a potem noże odnajdą swą drogę.

KSIEŻYC:

Ale niech wolno konają. Niech krew

przepływa z szumem przez me zimne palce.  
Spójrz, jak doliny z popiołu się budzą  
w żądzy, by poznać dreszcz ciepłego źródła.

(Znikają ze sceny. Wchodzi Leonard z narzeczoną)

LEONARD: Zamilcz!

NARZECZONA:

Sama chcę iść! Chcę iść sama!  
Odejdź precz! Żądam, byś wrócił.

LEONARD: Mówię ci, milcz!

NARZECZONA:

Zębami, pazurami, czym tylko możesz,  
zerwij z mej uczciwej szyi  
ten łańcuch; co mnie zniewala,  
i pozwól mi, bym została  
w mojej zagrodzie rodzinnej.  
A jeśli nie chcesz mnie zabić,  
jak padalca się zabija,  
daj mi do rąk narzeczęńskich  
zimną lufę swojej strzelby.  
Ach, jaki żar, jaka żałość  
wzbierają w mej biednej głowie!  
Szklą odłamki wbijają mi się w język!

LEONARD:

Musimy iść dalej. Zamilcz,  
bo prześladowcy są blisko,  
i chcę cię zabrać ze sobą.

NARZECZONA:

Lecz to będzie po niewoli!

LEONARD:

Po niewoli? No, a któż to  
pierwszy zbiegł po schodach ku mnie?

NARZECZONA:

To ja zbiegłam.

LEONARD:

Kto koniowi  
włożył uździenicę nową?

NARZECZONA:

To ja. Prawda.

LEONARD:

Czyje ręce  
przyginały mi ostrogi?

NARZECZONA:

Te ręce, które są twoje,  
a nam sam twój widok pragną  
rozszarpać twe sine żyły  
i ten szum, który w nich bije.  
Kocham cię! Kocham! Precz stąd!  
Gdybym cię zabić umiała,  
miałbyś śmiertelną koszulę

wyszywaną fijołkami.  
Ach, jaki żar, jaka żatość  
wzbierają w mej biednej głowie!

LEONARD:

Szkła odtamki wbijają mi się w język!  
Chciałem o tobie zapomnieć  
i mur z glazów zbudowałem  
między naszymi domami.  
I to jest prawda. Pamiętasz?  
Gdy cię zobaczyłem z daleka,  
sypnąłem piachu w me oczy.  
Ale gdy osiodłałem konia,  
koń szedł prosto do twej bramy.  
Kłuta srebrnymi szpilkami  
krew moja stała się czarna  
i ciężki sen zatrut ciała  
wywarem ze złego ziela.  
Przeło tu nie ma mej winy.  
Winna ziemia, co mnie nosi,  
i winien zapach, co bije  
od twych piersi i warkoczy.

NARZECZONA:

Milez, nierozumny! Ja nie chcę  
z tobą stołu ani toża,  
a nie ma ni jednej chwili,  
żeby nie chciała być z tobą.  
Bo porywasz mnie i idę,  
a gdy mówisz, bym wróciła,  
biegnę w twe ślady powietrzem,  
jak trawa wyrwana z ziemi.  
Porzuciłam mego męża  
i jego przyszłe potomstwo,  
porzuciłam w kwietnym wieńcu  
w połowie weselnych godów.  
Na tobie swą pomstę wezmą  
i nie chcę, aby ją wzięto.  
Zostaw mnie samą! Uciekaj!  
Nie masz, kto by cię obronił.

LEONARD:

Już pierwsze ptaki przedświtu  
rozsypują się po drzewach.  
I noc śmiertelnie zraniona  
na sztyletach skat omdlewa.  
Chodźmy poszukać kryjówki,  
gdziebym mitował cię wiecznie.  
Co mi tam ludzie i co mi  
gadanie ich jadowite.

(Obejmuje ją z mocą)

NARZECZONA:

A ja zasnę u twych nóg,

aby twoich snów pilnować.  
Obnażona i ku wnijsciu  
spoglądająca, jak suka.  
Bo ja jestem suką! Patrzą  
i twa uroda mnie spala.

LEONARD:

Płomień się łączy z płomieniem  
i ten sam ogień zabija  
splecione ze sobą kłosa.  
Chodźmy!

NARZECZONA:

Dokąd chcesz mnie zabrać?

LEONARD:

Tam, dokąd nigdy nie dotrą  
ludzie, którzy nas szukają.  
Tam, gdziebym cieszył się tobą!

NARZECZONA:

Będiesz włóczył po jarmarkach  
boleść uczciwej kobiety,  
aby ujrzeli mnie ludzie  
ze ślubnymi prześcieradły  
na wietrze jako chorągwie.

LEONARD:

Gdybym myślał jak przystało,  
to bym cię musiał poniechać.  
Ale pójdę tam gdzie ty.  
I ty ze mną. Postąp krokiem,  
Księżyc ćwiekami przybija  
twe biodra do mej kibici.

NARZECZONA:

Styszysz?

LEONARD:

Już idę.

NARZECZONA:

Uciekaj!  
Stusznym jest, że ja tu skonam  
w cierniowym wieńcu na głowie  
i ze stopami pod wodą.  
Liście zapłaczą nade mną  
upadłą żoną i panną.

LEONARD:

Zamilcz. Nadchodzą.

NARZECZONA:

Uciekaj!

LEONARD:

Ciszej, niech nas nie usłyszą.  
Mówię ci, chodźmy! Ty pierwszy!

NARZECZONA (Waha się):

Chodź razem!

LEONARD (*Obejmuje ją*):

*Skoro tak pragniesz!  
Aby nas mogli rozłączyć,  
muszą mnie zabić.*

NARZECZONA:

*I mnie.*

(Wychodzą, złączeni w uścisku. Bardzo powoli wchodzi Księżyc. Scena zalewa silne niebieskie światło. Słychać dwoje skrzypiec. Rozlegają się dwa rozdzierające krzyki i urywa się melodia skrzypiec. Po drugim okrzyku wchodzi żebraczka i staje plecami do widowni. Otwiera swój płaszcz i trwa na środku sceny, jak wielki ptak o olbrzymich skrzydłach. Księżyc zatrzymuje się. Kurtyna opada wśród zupełnej ciszy)

ŻEBRACZKA:

*Widziałam. Wnet przybędą. Dwa potoki,  
uspokojone wreszcie wśród kamieni,  
dwóch mężczyzn, którzy śpią u końskich kopyt.  
Dwóch mężczyzn zmarłych w nocy urodziwej.*

(Delektuje się)

*Umarli, tak, umarli.*

DZIEWCZYNA I:

*Zamilcz, stara!*

ŻEBRACZKA:

*Oczy jak ścięte kwiaty, białe zęby  
jako dwie garście zmarzniętego śniegu.  
Umarli — i powraca narzeczona,  
we krwi skąpane włosy i spódnica.  
Oto nadchodzą, przykryci płaszczami,  
na krzepkich barach wyniosłych parobków.  
To tyle. Wszystko było sprawiedliwie.  
Pokryte brudnym piachem złote kwiaty.*

(Odchodzi. Dziewczeta pochylają głowy i rytmicznie wychodzą jedna po drugiej)

DZIEWCZYNA I:

*Pokryte brudnym piachem...*

DZIEWCZYNA II:

*...złote kwiaty.*

DZIEWCZYNA:

*Na kwiatowym postaniu  
przynoszą zmarłych znad brzegu strumienia.  
Czarnowłosy był jeden,  
czarnowłosy był drugi.  
Niechże słowiczek nad nimi zapłaczę,  
czarnowłosy był drugi.*

(Odchodzi. Scena pozostaje pusta. Ukazuje się Matka wraz z Sąsiadką. Sąsiadka płacze)

MATKA: Zamilcz.

SĄSIADKA: Nie mogę.

MATKA: Mówię ci zamilcz. (*W drzwiach*). Nie ma tu nikogo? (*Podnosi ręce ku skroniom*). Powinien odpowiedzieć mój syn. Ale mój syn już się zamienił w naręcz uschniętych kwiatów. Mój syn jest już niewyraźnym głosem, co dobiega z tamtej strony gór. (*Do sąsiadki ze wściekłością*). Zamilczysz wreszcie? Nie chcę lamentów w tym domu. Wasze łzy płyną tylko z oczu, ale moje łzy przyjdą, gdy stanę sama, i popłyną z mego ciała, z moich stóp, z mego rdzenia, i będą gorętsze od krwi.

SĄSIADKA: Chodź do mego domu, nie zostawaj tu sama.

MATKA: Tu. Tutaj chcę zostać. Spokojna. Już wszyscy moi umarli. O północy zasnę, zasnę spokojna, że już mnie nie przerazi ani strzelba, ani sztylet. Inne matki wychylą się z okien, chłostanych ulewą, aby ujrzeć twarze swoich synów. Ja już nie. Ja uczynię z mego snu chłodną gołębicę z marmuru, co zanoszi kamelię szronu na święty cmentarz. Ale nie: nie cmentarz, nie cmentarz! Łoże z gliny, łóżko, które ich otula i kołysze ku niebu. (*Wchodzi kobieta w czerni, kieruje się na prawo i przykłęka. Do sąsiadki*): Oderwij ręce od twarzy. Mały przed sobą straszne dni. Nie chcę widzieć nikogo. Ziemia i ja. Mój lament i ja. I te cztery ściany. Oh! Oh! (*Siada*).

SĄSIADKA: Miej litość na samą sobą.

MATKA (*odrzucając włosy do tyłu*): Mam być spokojna. Bo przyjdą sąsiadki i nie chcę, aby mnie ujrzały taką biedną. Taką biedną! Kobieta, która nie ma nawet jednego dziecka, aby go móc unieść ku ustom.

(Ukazuje się narzeczona. Jest bez wianka i w czarnym płaszczu)

SĄSIADKA (*na widok narzeczonej ze wściekłością*): Dokąd idziesz?

NARZECZONA: Tu przychodzę.

MATKA (*do sąsiadki*): Kto to jest

SĄSIADKA: Nie poznajesz jej?

MATKA: Właśnie dlatego pytam: kto to? Bo nie chcę jej poznać, aby jej nie wbić zębów do gardła. Zmija! (*Zwraca się do narzeczonej z gestem uniesienia. Zatrzymuje się. Do sąsiadki*): Widzisz ją? Przyszła tu i płacze, a ja taka spokojna, a ja nie wydzieram jej ślepiów. Nie rozumiem samej siebie. A może ja nie kochałam mego syna? No, dobrze, a twoja cześć? Gdzie jest twoja cześć? (*Uderza narzeczoną. Ta pada na podłogę*).

SĄSIADKA: Na miłość boską! (*Usiłuje je rozdzielić*).

NARZECZONA (*do sąsiadki*): Zostaw ją; przeszedłam tu, żeby mnie zabiła, niech mnie zabiorą razem z tamtymi. (*Do matki*): Ale nie rękami, bij mnie żelaznym hakiem, ostrym sierpem, bij ze wszystkich sił, aż się połamią na moich kościach. Zostaw ją! Chcę, żeby widziała, że jestem czysta, że może jestem szalona, ale mogą mnie pochować pewni, że żaden mężczyzna nie przeglądał się w białości moich piersi.

MATKA: Zamilcz, zamilcz, co mnie to wszystko obchodzi?  
 NARZECZONA: Bo ja uciekłam z innym, bo uciekłam! (Z *boleścią*): Ty także byś uciekła. Ja byłam kobietą spaloną, pełną ran po wierzchu i od wnętrza, a twój syn był jak odrobina wody, od której oczekiwałam dzieci, ziemi, zdrowia. Ale ten drugi był jak ciemna, zarośnięta rzeka, która zbliżała do mnie szelest swoich sitowi i swój śpiew, zdławiony między zębami. Biegłam za twoim synem, który był jak chłopiec poczęty z chłodnej wody, ale ten drugi posyłał po mnie stada ptaków, które przeszkadzały mi iść i sypały szronem na moje rany, na rany biednej kobiety, co usycha, dziewczyny przepalanej płomieniem. Ja nie chciałam — słuchaj mnie dobrze? — ja nie chciałam. Twój syn był dla mnie i ja go nie oszukałam, ale ramię tego drugiego porwało mnie za sobą, jak uderzenie morskiej fali, jak cios zadany przez muła, i porwałoby mnie zawsze, zawsze, choćbym już była stara i wszystkie dzieci twojego syna wczepiłyby mi się we włosy.

(Wchodzi inna sąsiadka)

MATKA: Ona jest niewinna. I ja też! (*Sarkastycznie*): Więc kto jest winien? Bezczestną, podłą nierządnicą jest kobieta, która rzuca swój wianek z kwiatów pomarańczy, by szukać kawałka łóżka, ogrzewanego przez inną kobietę!

NARZECZONA: Zamilcz! Zamilcz! Weź na mnie pomstę, po to tu jestem! Patrz, jaką słabą mam szyję, przyjdzie ci łatwiej, niż ściąć jedną dalej w twoim ogrodzie. Ale tamto, tamto — nie! Uczciwa, uczciwa, jako dziewczynka, co świeżo przyszła na świat. I dość silna, by to udowodnić. Zapal światło. Spróbujemy cię ze sobą, ty za swego syna, ja za moje ciało. Cofniesz się wcześniej, niż ja.

(Wchodzi inna sąsiadka)

MATKA: A co mi tam twoja cześć? Co mi tam twoja śmierć? Co mi tam wszystkie wasze sprawy? Niech będą pochwalone zboża, bo pod nimi leżą moi synowie! Niech będzie pochwalona ulewa, bo obmywa twarze umarłych! Niech będzie pochwalony Bóg, który ich układa razem na wieczne odpoczywanie!

(Wchodzi inna sąsiadka)

NARZECZONA: Pozwól mi płakać wraz z tobą.

MATKA: Płacz. Ale pod drzwiami.

(Wchodzi Dziewczynka. Narzeczona pozostaje przy drzwiach. Matka na środku sceny)

KOBIETA: (*wchodzi i kieruje się ku lewej stronie*).

*Był jeźdźcem urodziwym,  
 a teraz jest garstką śniegu.  
 Zwiedzał wrzawne jarmarki  
 i kobiece ramiona.  
 Teraz murawa nocy  
 uwieńczyła mu skronie.*

MATKA:

*Słoneczniku twojej matki,  
 jasne zwierciadło ziemi.  
 Niech ci kładą na piersiach  
 krzyż z gorzkich rododendronów;  
 prześcieradło niech będzie  
 z błyszczącego jedwabiu  
 i niech woda z lamentem  
 przepływa przez twe dłonie.*

KOBIETA:

*Ach, już nadchodzą młodzieńcy  
 z ramionami znużonymi!*

NARZECZONA:

*Ach, czterech wdzięczni parobcy,  
 unoszący śmierć na wietrze!*

MATKA:

*Sąsiadki.*

DZIEWCZYNIKA:

*Już ich przynoszą.*

MATKA:

*Znowu to samo.  
 Ten krzyż, ten krzyż.*

KOBIETY:

*Słodkie ćwieki,  
 krzyż nad głowę,  
 słodkie imię  
 Jezusowe.*

MATKA:

*Niech krzyż ochrania i żywe i umarłe.  
 Sąsiadki, tym jednym nożem,  
 tym niedużym nożem,  
 dnia przeznaczonego, kiedy wstawał świt,  
 ach, zabiło się dwóch młodych dla miłości.  
 Jednym nożem.  
 takim małym nożem,  
 co się łatwo mieści w dłoni,  
 ale który ostro wchodzi,  
 wchodzi w ciało bezlitośnie  
 i przenika aż do rdzenia  
 tam, gdzie kłębi się i rośnie  
 mroczny okrzyk przerażenia.*

NARZECZONA:

*Ach, i to jest nóż ten,  
 nóż niewielki,  
 co się łatwo mieści w dłoni,  
 ryba, która nie zna rzeki,  
 aby dnia przeznaczonego, kiedy wstaje świt,  
 przez ten nóż, nóż taki mały  
 dwóm młodzieńcom powalonym  
 wiotkie usta posiniały.*

## MATKA:

*I łatwo mieści się w dłoni,  
ale zimnym ostrzem wchodzi,  
wchodzi w ciało bezlitośnie  
I przenika aż do rdzenia  
tam, gdzie kłębi się i rośnie  
mroczny okrzyk przerażenia.*

(Sąsiadki płaczą, klęcząc na podłodze)

Przełożył Józef ŁOBODOWSKI.

## Dzieje Nałęczkich

## 4

Ale teraz, gdy doprowadziłem — w myśl intencji autora — suitę miłości Nałęczkich do szczytu, czas zstąpić do zwykłej powieści. Zresztą dalszy pobyt na Cyprze, mimo uroczych zapowiedzi, stał się dla samych Nałęczkich, raczej zwykłą powieścią, przeplataną jedynie od czasu do czasu odświętymi rozdziałami.

Złudne blaski hotelowego życia mierzchną prędko. Nałęczcy nieraz mieli okazję westchnąć za swym skromnym, ale udzielnym mieszkaniem w Craiovej. Niepodobna im było teraz nie włączyć się w pospólne życie rzeszy rodaków — które nie przepływało już obok obojętnie i zajęte sobą, jak w czasie podróży — lecz krążyło zaczepnie dokoła i ciągnęło w swój nurt.

Długo jeszcze broniło szczęśliwych kochanków to, co było w nich, co pozwalało im wystarczyć sobie i nie zapożyczać się u ludzi. Ale powszedniość ma dziwną, przyciągającą siłę, płynącą z masowej sugestii i odzewu w duszy każdego człowieka. Jest to żywioł, który pochłania z czasem wszystko, co odrębne i wyłamujące się z szablonu.

Póki się dało, Nałęczcy uchodzili od nieuniknionej porażki w góry. Zwiedzili wszystkie okoliczne szczyty i miejsca osobliwe: Olimp — o porywającej wyobraźnię nazwie, Troodes — królestwo sosen z białą, jak u brzozy, korą, wodospady Caledonia Falls, które ani się umyły do tańzańskich. Potem zaczęli się zapuszczać coraz dalej: doszli aż do Kolessi, nad morskim brzegiem, gdzie w trzech piętrach potężnej czworogrannej wieży odcisnął się tak wiernie kształt życia dawnych panów tego zamku Joanniów, jak odlewa się postać paleozoicznego chrząszczyka w bursztynie.

Ale gdy nadeszła zima — bo i boski Cypr ma swoją zimę — hotel okrzyknął Nałęczkich ciasniej. W miejsce wycieczek, niemożliwych wśród deszczów i błota, wkradło się «życie towarzyskie» — a nawet własny pokój, z pojedynczymi oknami i pozabawiony pieca, zamieniali teraz Nałęczcy bez żalu na gromadną, ogrzaną salkę.

Podniecającego tematu do wspólnych rozmów nie brakło — a dostarczała go, rozumie się, polityka. Małe społeczeństwo w

Platres, starym polskim zwyczajem, zdążyło się już bowiem rozpaść na grupy, — tym razem według zamieszkiwanych hoteli, które ogniszcze rywalizowały ze sobą o jakiś urojony prymat czy przewodztwo. Nazywało się oczywiście, że chodzi o przekonania polityczne, a w ślad szły gorączkowe narady wojenne, konferencje między hotelami, aż do spraw honorowych włącznie. To wszystko pochłaniało czas, którego, przy bębniącym w dach deszczu, było dosyć

Tak więc rzeczywistość uchodźcza przykrawała powoli bajkę Nałęckich do zwykłej ludzkiej miary — co jest zresztą normalną koleją każdej bajki. I nie warto by się nad tym szerzej rozwodzić, gdyby to przyblednięcie kolorów baśniowych, to nie odporne poddanie się gromadnemu życiu — nie znamionowało może jeszcze innych przemian w życiu Nałęckich, wypełnionym miłością i wycieczkami. Zmiany to były co prawda tak nieznaczne i z pozoru nie istotne, że przeniknęły do świadomości Nałęckiego dopiero później, w innej już atmosferze, tak jak zdjęcie na kliszy fotograficznej ujawnia się nieraz dopiero po miesiącach — w wyolwyczeniu. Tym czasem jednak w życiu tych dwojga zaszło zdarzenie pierwszorzędnej wagi. Rad jestem, że mogę w tej doniosłej chwili oddać głos samemu autorowi:

«Czy — że dorodną ich i przeświecone szczęściem postacie przyciągały z miejsca wzrok — czy dlatego, że dla sentymentalnych serc angielskich obraz tej zakochanej i wzorowej pary małżeńskiej był szczególnie miły — dość, że Nałęccy cieszyli się sympatią wszystkich Anglików, którzy przyjeżdżali do Platres, by załatwiać sprawy uchodźcze. Był wśród nich niejaki dr Neff — duży, spokojny Kanadyjczyk z nieostępnym cygarem w ustach; pewnego dnia zaproponował on Nałęckim prosto z mostu że weźmie ich do swego samochodu na objazd po Cyprze, czego jako «szef sanitarny» wyspy musiał od czasu do czasu dokonać. Przystali z radością — tym bardziej, że od dwu dni w zimę cypryjską wtargnęła śliczna pogoda i Nałęckich aż podrywało, by gdzieś wyfrunąć.

Osobowym wozem, który dr Neff sam prowadził, śmignęli po tych samych serpentynach, którymi wśród ciężkiego sapania autobusu wspinali się do Platres przed trzema zaledwie miesiącami. Ani się spostrzegli, w skrcającym czasie uniesieniu, jak przeleciały obok ostatnie sosny Troodosu, czarne kikuty winnic podgórza i palmy przymorskiej równiny. Zrobiło się naraz rozkosznie ciepło. Po lewej ręce poczęło przemykać błękitnymi pasmami morze — witane równie radośnie po miesiącach niewidzenia, jak nizinne ciepło. Droga odbiegała co chwila i doskakiwała znów do tego morza, rzekłbys galopujący wspaniałymi susami koń. Pęd nieustający, zawrotny oszalał coraz bardziej odwykłych odeń amatorów prze-

jazdki — i trochę już nużył. W cichości ducha zaczęli marzyć, by ich gospodarz przystanął.

W pewnej chwili, gdy droga znowu wybiegła na jakąś morską zatoczkę, dr Neff istotnie zatrzymał wóz i poradził Nałęckim wysiąść. *This is something for you*, powiedział i objaśnił, że w tym właśnie miejscu, jak głosi legenda, przed wiekami wyloniła się z morza Afrodyte. Oczywiście o parę mil dalej jest konkurencyjna kolebka narodzin «boskiej» — nowe Pafos. «Ale ja wolę to» dodał. Stał przez chwilę i ciągnął dym ze swego nieodłącznego cygara — potem zaś widząc zapatrzenie się Nałęckich, wskoczył do samochodu i powiedział, że jedzie, by dokonać inspekcji w niedalekiej wiosce; wróci tu po nich za pół godziny. Zostali sami.

Grecy dobrze wybrali miejsce dla narodzin swej najpiękniejszej bogini. Zatoczka miała barwę najgłębszego błękitu, na jaką umie zdobyć się Morze Śródziemne, białe kamyki na plaży zdawały się toczzone w swej doskonałej okrągłości, piasek pod stopami był delikatny i miękki. Wszystko tu posiadało znamię jakiejś wyjątkowej doskonałości, jak gdyby naznaczone łaską Przyrody.

Dwie najpiękniejsze skały wybrzeża — Neff nazwał je skałami Afrodyty — pierwsza masywna i sięgająca łądu, druga niewielka, smukle strzelająca z fali, tworzyły jak gdyby bramę wiodącą z morza. Na pewno z tej właśnie bramy stara legenda każe wyjść Afrodycie. W oczach patrzących stanęła mimo woli postać bogini, jak wychyla się spoza białej skały, pół jeszcze za nią ukryta, jeszcze niepewna swej boskiej mocy nad ludźmi i nie świadoma świata, ku któremu po raz pierwszy wychodzi z fali. Na nienagannie gładkim piasku małej plaży widniał jedyny ślad stóp, drobnych i bosych. Zdawało się, że właśnie tędy odchodziła przed wiekami, a jej ślady oszczędził do dzisiaj wiatr morski i fale i nawet ludzie nie śmieli ich zatłoczyć.

W pewnej chwili, po długim pół zapatrzeniu się, pół zadumaniu, gdy myśli każdego z nich obiegy już szeroki krąg własnych marzeń, Krysta zbliżyła się do męża i wyznała prosto: «Wiesz — chciałam ci powiedzieć już od kilku dni: będziemy mieli dziecko».

Nałęcki zrazu się przeląkł: Czy tego, że oto znalazł się z brzemiennej żoną na samochodowej wycieczce, czy pytania, co począć z dzieckiem w uchodźczym, niepewnym życiu — sam nie wiedział. Ale zaraz potem przyszła nań wielka radość — jak wysoka, pokrywająca wszystko fala od tamtych skał na morzu. Będzie miał przecież dziecko — obraz siebie i Krysty — spoidło nierozzerwalne. Dalszy ciąg, trwający, gdy ich już nie będzie. Spełnienie marzeń, których im nie było dane wypełnić. Kogoś, kto wróci na

pewno na polską ziemię — za nich — gdyby przyszło im upaść w zbyt długiej drodze.

«To dobrze, żeś mi tutaj powiedziała o wszystkim», uśmiechnął się do żony Nałęczki. «Nie wiem, czy gdzie indziej byłbym przyjął z taką pogodą ten dopust. Powinnaś ofiarować Afrodydzie dwa gołębie za wstawiennictwo», przypomniał sobie ze szkolnej ławy ów starożytny obyczaj składania dziękczynnych ofiar bogini miłości.

Wracam jednak do streszczenia dalszych dziejów tej ciąży, która się tak poetycznie rozpoczęła. Niesiety, gdy powrócił do Platres, ciąża Krysty przestała być dla Nałęczkiego źródłem czystej radości. Moc Afrodyty widocznie nie sięgała tak daleko. Przyszły troski o zdrowie żony, powrotne niepokoje o przyszłość. Krysta chorowała, zbrzydła, do ich hotelowego mieszkania zająztał lekarz i troska.

Trzeba wyznać, że Nałęczki próbę tę znosił niezbyt cierpliwie. Tak już był przywykł, tak się, wyraźnie mówiąc, zepsuł ciążością szczęścia, którego przez tyle miesięcy zażywał — że każdy dzień, który nie dosięgł tamtego poziomu — przydając na domiar trosk w miejsce dotychczasowych rozkoszy — wydawał mu się nieudany i pozostawiał po sobie uczucie niepokojącego braku. Gdyby Nałęczki był morfinistą — byłby mógł stamtąd swych uczuć przyrównać do nagłego odstawienia morfiny. Na darmo wyrzucał sobie, że o własnych nastrojach nie wolno mu myśleć, że teraz tylko Krysta jest ważna, że należy jej w dwójnasób okazywać opiekę i miłość. Na zewnątrz oczywiście okazywał, co należy — ale sam czuł się niesyty i próżny i jakby — co za podłość — mniej już Krystę kochał.

Najgłupsze są zawsze okresy przejściowe. Jedno skończyło się już w ich wspólnym życiu — drugie jeszcze nie zaczęło. Bo z Krystą było jednak inaczej: miała ona teraz swoje własne ważne życie — podwójne życie. I mimo woli odchodziła, oddalała się od niego z tą swoją najważniejszą sprawą. A on pozostawał na uboczu sam, nieważny i niepotrzebny. Ba, gdyby dzieciak się urodził, gdyby już żył — wspólna własność jego i Krysty! Ale na razie dziecko należało tylko do niej, wypełniało ją. I jakaś nieuchwytna, bezsensowna pretensja do Krysty legła się w duszy Nałęczkiego, jakieś nieokielznane porywy, by wypełnić sobie czymkolwiek opróżnione z radości życie — oczywiście wszystko spychane na bok, póki sił, przez wstyd i współuczucie.

Nie należy może jednak zbyt potępiać odstawionego na boczny tor małżonka. To co przeżywał Nałęczki, było typowym męskim procesem — jeśli odrzuci się zakłamanie, które otacza te sprawy. Całe samolubstwo miłości wystawione jest w mężczyźnie na próbę podczas ciąży ukochanej kobiety. Lecz miłość opiera się nie tylko na samolubstwie — i dlatego o przyszłość pożycia Nałęczkich można być spokojnym.

Ciekawsze i wymagające czujniejszej uwagi było — co Na-

łęczki naraz sobie uświadomił — że ten jakiś kryzys w ich uczuciu, który teraz uwyrażniał się i określał — rozpoczął się przed ciążą żony. Już bowiem od pierwszych dni zimy cypryjskiej, Nałęczki — a może i Krysta — zdawali się wiedzieć, choć wiedzieć nie chcieli, — że coś się jednak odmieniło, coś nieuchwytnego uszło z ich uczucia. Było to jak gdyby opadła piana z upajającego napoju. Napój pozostał — smaczny i nasycający — ale radosne podniecenie, które dawał, opadło wraz z pianą. Nasycający? czy aby i to było całkiem słuszne? Dwoje ludzi przebywających wciąż z sobą — to jest tylko dwoje ludzi. Wszystko co sobie dają, staje się w końcu znane. Czegoś widocznie niedostawało w ich szczęściu złożonym z miłości i wycieczek; brak było jakiegoś niezbędnego czynnika w tym przednim i tak długo wystarczającym napoju.

Lecz to wszystko nie ujawniało się wcześniej — bo był w nich lęk, by nie stawać do próby, by nie zaglądać prawdzie w oczy. I właśnie ten lęk stwierdzenia, że nie wszystko jest już między nimi jak dotychczas było, uczynił ich tak nieodpornymi na zakusy życia gromadnego — od których jakoby usiłowali jeszcze uciekać. Po prawdzie zaś chwilami uciekali już od samotności — we dwoje.

Ciąża Krysty przyszła w sam czas. Najniebezpieczniejszy bywa żal ludzi do siebie niewiadomo o co. Ciąża uczyniła rozłam zaznaczający się między małżonkami, wyraźniejszym — ale równocześnie zrozumiałym i wiadomo, że przejściowym. Niestety, życie uczuciowe nie znosi próżni. W wolne chwilowo miejsce poczęła wciskać się treść, która od dawna dopominała się u Nałęczkiego głosu.

Będzie chyba najlepiej, jeśli przytoczę jedną ze scen wykończonych przez autora, w której od razu ujawnia się, w jakim to kierunku zwróciły się myśli Nałęczkiego, gdy pod wpływem ciąży żony i zimy cypryjskiej — ochłonął z miłosnego zapamiętania.

«W jakiś szczególnie niedobry wieczór lutego — wkrótce po Gromnicznej — Nałęczki skończył czytać *Ludzi Bezdomnych*, doczekawszy się ich wreszcie w długim ogonku amatorów na każdą polską książkę. Nadsięgnęła już późna noc i Krysta spała od dawna. Nałęczki dumiał jeszcze z książką w rękę, w swoim fotelu, gorzki i zmarznięty, z nogami na próżno otulonymi wytartym pledem. Obraz bezlitosnego rozstania Judyma z Joasią nie schodził mu z myśli.

— Czy naprawdę było potrzebne, ażeby Judym Joasię porzucił? Cóż by się z tego stało, gdyby przy niej został? Co komu przyjdzie ze złamanego życia Joasi?

Oczywiście bywają chwile, kiedy trzeba bez wahania rzucić osobiste szczęście i odejść na służbę takiej czy innej sprawy. Ale czy można wytrzymać tak przez całe życie? Czy wolno ludzi karmić stale dietą głodową i żądać od



nich równocześnie stałych ofiar? Największy płomień wygasa, gdy żywi się z nieuzupełnianych zapasów — i w końcu rodzi już tylko gryzące dymy.

Powinien istnieć zdrowy kompromis, przy którym człowiek otrzymuje swoją miarę prostego życiowego szczęścia, swój chleb powszedni — a wzamian oddaje znowu społeczności swój codzienny, uczciwy wysiłek. Ostatecznie w ten sposób układają się sprawy na całym świecie.

Lecz jeśli Żeromski miał rację? Jeżeli właśnie w Polsce musi być inaczej? Może nie jest dla Polaka bezpiecznie mieć swój dobytek, dom, żonę, być choćby na krótko, po ludzku, szczęśliwym. Oto on zaznał takiego szczęścia. I cóż? Czy nie odstąpił za tę cenę wszystkiego? Czy od czasu, gdy było mu tak dobrze z Krystą, nie zapomniał, że istniał Wrzesień 1939, że jest na świecie wojna, że czekają na niego obowiązki — nie zapomniał gruntownie i bez żadnych skrupułów? Może naprawdę Polak umie oddać Ojczyźnie tylko siebie całego — albo nie oddaje nic. Może więc trzeba, aby oddał wszystko — może tylko przez wyrzeczenie się wszystkiego uczy się Polak takiej prostej rzeczy, jak wypełnienie swego obowiązku?

Czas uchodził; spod nieszczelnych drzwi balkonowych ciągnęło lodowate zimno na pokój, a gałęzie sosen, przymuszone wichrem, stukwały niespokojnie w dach hotelu. Nałęczki marzył coraz bardziej, ale nie ruszał się z miejsca — jak gdyby odsiadując karę. Było to uczucie nieznośne — znane ze snów — z których człowiek chciałby rozbudzić się, wyzwolić — i w żaden sposób nie może. Potem prawdziwy chyba sen począł zakradać się pomiędzy jego zmęczone myśli — bo wydało się Nałęczkiemu, że słyszy wyraźny płacz Krysty, cichy żaloszny płacz opuszczenia, słyszy go z coraz większej dali — gdy równocześnie on sam odjeżdża gdzieś z fotelem w nieskończoną głąb pokoju, który rośnie i rośnie jak gdyby ściany jego rozdymały się bezszelestnie.

Dopiero kiedy trzymana wciąż sztywnie w rękę książka stuknęła o podłogę, Nałęczki wyrwał się z kręgu tych myśli czuj snów i wstał. Wszystkie one zdały się oczywiście na diabła. Przecież i tak Krysty nie zostawi. Trudno, Judy mem nie był.

A jednak Nałęczki Krystę powoli zostawiał, odchodził do innych spraw. Budziło się w nim coś, co spało odurzonym snem od czasów Ploësti — od owych dni w lepiance fryzjera, kiedy naprawdę nie obchodziło go nic na świecie, poza narodową klęską.

Zresztą — Nałęczki przypominał to sobie teraz dokładnie — nawet podczas najszczęśliwszych dni odczuwał od czasu do czasu drgnienie niepokoju na myśl, że jego szczęście wśród otaczającego bólu i żałoby jest zgrzytem — że nie jest może nawet

właściwe i przysiojne. Teraz ten sąd zaostrzył się do tego stopnia, że prowadził aż do jaskrawych, nie bardzo dla Nałęczkiego typowych reakcji.

Właśnie w tym czasie wybuchała wśród uchodźstwa platresowskiego awantura o tańce. Oficerowie angielscy, którzy przybyli w dniu jakiegoś swego święta większą gromadą do Platres wciągnęli do tańców przy gramofonie kilka polskich dziewcząt. Większość uchodźców potępiała tę przygodną tańcówkę jako świętokradztwo. Polacy są w żałobie, Polacy nie tańczą, — a w żadnym już wypadku z obcymi.

Nałęczki z jakąś szczególną zaciekleścią stanął po stronie wyklinaaczy tańców, jak gdyby chciał w ten sposób wyrównać własną zaległość, udowodnić własną praworządność.

Ale chociaż, jak większość ludzi, nie należał do śledzących się wiecznie analityków — nie mógł po tym wszystkim nie spostrzec z niesmakiem, że on najmniej miał prawa się oburzać — on, który surowością w stosunku do drugich chciał zapłacić za pobłażliwość dla siebie. — I mówiąc prawdę — potaćzyć kilka godzin z mniej albo więcej obojętnymi ludźmi — cóż to było wobec obojętnej na wszystko, bezwstydną ciągłości szczęścia, jakie on przeżył z Krystą.

gorzej, że należało odpowiedzieć sobie również na kłopotliwe pytanie, dlaczego głos sumienia odezwał się tak późno i tak nie w porę? Dlaczego Nałęczki potrafił z lekkim sercem przechodzić obok wszelkich obowiązków, dopóki miłość była mu tylko radością, a przypominał je sobie od razu, gdy miłość sama stała się obowiązkiem?

Autor ze szczególną uwagą śledzi w tym odcinku powieści rozwój i pobudki — niezbyt jak widzieliśmy zaszczytne — odrodzenia społecznych uczuć Nałęczkiego. Ciekawość psychologiczna? Czy raczej chęć ukazania, że zdrowe rośliny mogą wyrosnąć również z niezbyt szlachetnej gleby?

Trzeba bowiem stwierdzić, że Nałęczki tym razem — właściwie po raz pierwszy w uchodźczym życiu — wszedł z sensem, energią i nawet powodzeniem w pracę społeczną. Pomogło mu w tym co prawda przeobrażenie się stosunków w samym Platres. Uchodźstwo platresowskie w owym czasie, jak gdyby wyburzyło się już i zaczęło samorzutnie się oczyszczać. Powstawały wśród tych trzystu ludzi po kolei: szkoła, chór artystyczny, własna gazetka, własny ogród warzywny a choćby własne gospodarstwo, w miejsce hotelowego próżniactwa. Zaczęła się rzetelna praca.

Nałęczki pracował za dwóch. Uczył w szkole, urzędował w Komitecie miejscowym, tłumaczył artykuły do gazetki, śpiewał, kopał. Stawał się naprawdę popularny — co mu nie było przykre. Ale zdawało mu się — już nie bez słuszności, — że czyni to przede wszystkim aby spełnić obowiązek i spłacić dług.

Krytyce umiał wytłumaczyć konieczność swojej obecnej postawy, tak, że zdawała się go rozumieć. Zresztą teraz, gdy po pierwszym wykolejeniu ciężą żony doszedł do nowej równo-

wagi — gdy miał dla siebie zajęcia społeczne, tak jak Krysta miała swoje dziecko — Nałęczki stał się dla Krysty znowu szczerze i głęboko ciepły. Ale były to tylko kwadransy ciepła, przedzielone nieraz godzinami opuszczenia. A Krysta tak bardzo go teraz potrzebowała. Cóż miał począć? Tamto, choć może nie ważniejsze — było autonomiczne i konieczne. Musiało być zrobione, całą wolną resztę oddawał Kryście.

Dojrzewał jednak w cichości do tego by zabrać jej wszystko. Kiedy na Cypr przybył major Picheta, celem dokonania wojskowego poboru, Nałęczki nie tylko, że się nie wykręcał, ale raczej pomógł lekarzowi, by uznał go za zdolnego do służby wojskowej. Kiedy wrócił potem do domu, oświadczył Kryście z mimowolną dumą: «Zostałem przyjęty» i przeraził się dopiero, gdy wybuchnęła szlochem.

Ale nie było odwrotu — i to nie tylko dlatego, że sprawa została utrwalona w wojskowych papierach. Kiedy w czerwcu przewieziono uchodźców z Cypru do Palestyny i tam z miejsca wcielono poborowych do wojskowego obozu w Latrunie — a wśród nich i Nałęczkiego — Nałęczki mimo lęku o żonę, żalu, chwilami rozpaczy, doznał równocześnie — co tu ukrywać — zadowolenia, że jest oto w wojsku, że, choćby na przekór sobie, wyrównuje zaległy dług. Idzie na wojnę i nikt już nie będzie miał prawa wytykać mu jego szczęścia. Krysta spodziewała się wtedy dziecka za dwa miesiące.

Nałęczki na front co prawda nie poszedł z powodu swojej kategorii zdrowia, ale wzięwszy pod uwagę totalny charakter obecnych wojen, wypadła chyba użyć określenia, że walczył za Ojczyznę w Ośrodku Zapasowym. Przebiegu służby wojskowej Nałęczkiego nie można jednak nazwać pomyślnym. Tak, jak niegdyś szczęście — ścigał go teraz pech. Życie przypomina grę w karty bardziej niżby się zdawało; ma swoje passy dobre i złe. Służba wojskowa stanowiła dla Nałęczkiego złą passę.

Nie były to bynajmniej katastrofy w wielkim stylu — które by się nawet przydały w tej części opowiadania — a raczej szereg drobnych i nieraz bardzo dokuczliwych przykrości. Najpierw łamano ambicję Nałęczkiego — docierając zręcznie do samego dna, gdzie skryły się z uchodźczego pogromu resztki rozumienia o sobie byłego działacza, człowieka czółowego i po prostu «inteligentą», łamano ją, by zrobić zeń «prawdziwego żołnierza».

Po tym stereotypowym przygotowaniu dobrano się do Nałęczkiego od innej, bardziej specjalnej strony. Po miesiącu czy dwu przybył do jego kompanii dowódca, który znał Nałęczkiego jeszcze z Warszawy i wiedział, że ów bawił się polityką — niestety o zabarwieniu, które nie było dobrze widziane ani przez samego dowódcę, ani co gorsza, również na wyższych szczeblach drabiny wojskowej. Pan major z miejsca zdemaskował płaszka ukrytego skromnie pod strzeleckim mundurem i począł pomysłowymi sposobami wybijać mu jego przekonania polityczne z głowy. Nie omieszkął również umieścić w zeszyte

ewidencyjnym winowajcy odpowiedniej noty, co raz na zawsze uczyniła go obywatelem wojskowym drugiej klasy. Wspominam o tym drobnym szczególe, ponieważ wywarł on niejaki wpływ na technikę udzielania, a raczej nieudzielania Nałęczkiemu urlopów do żony. Cóż, tak już jest w dzisiejszym rozpolitykowanym świecie, że nawet wartość żołnierza odmierza się nierazko jego etykietką polityczną — zamiast umiejętnością strzelania. Chyba, że przyjdzie już naprawdę do strzelania.

Ponieważ był właśnie okres, gdy Brygada znajdowała się w Tobruku — Nałęczki, mając dość tych kadrowych przyjemności zgłosił się ochotniczo na front. Tę jego prośbę — o dziwo — uwzględniono mimo kategorii zdrowia i ochotnik Nałęczki został wysłany do Tobruku najbliższym transportem. Niestety statek, który go wiozł na swym pokładzie, zatonął w ataku lotniczym, a Nałęczki, zaznawszy chrztu ogniowego i bezpośrednio po tym ochładzającej kąpeli — co raczej odebrało mu ochotę do dalszego eksperymentowania z ogniem i wodą — powrócił pokorny i cichy, do Ośrodka Zapasowego.

Nie będę już w tym opowiadaniu o mizeriach starszego strzelca Nałęczkiego rozwodził się wiele nad jego tęsknotą i lękiem na myśl o Kryście, lękiem, którego nie mogły ukoić pisane co dzień przez samotną kobietę listy. Według nieszczęsnego prawa psychicznego — które zdawało się zaiste doświadczać swej mocy na Nałęczkim — to co utracone i niedosięte — a więc z kolei Krysta — stało się znowu droższe i ważniejsze od wszystkiego na świecie.

Na czas porodu (urodził mu się syn) Nałęczki dostał wprawdzie kilkudniowy urlop do Jerozolimy do łóża chorej żony — lecz urlop ten przeminął, jak dziki sen, pełen przerażeń i odcznień; urlopu tego jak gdyby nie było.

Do udręk, których pobyt w wojsku nie oszczędził, dołączało się bezwąt্পienia i to, że Nałęczki pozostawał Kryście naprawdę, nie tylko duchowo ale i fizycznie wierny. Śmieszne, że w owej wierności, która przez samą bliskość rozpustnej Aleksandrii, była stale wystawiona na próbę, utrzymywał go przede wszystkim i najpewniej przesąd: jak gdyby każda najbardziej powierzchniowa i nieważna zdrada miała natychmiast w niepojęty jakiś sposób, wpływać na wzajemną wierność Krysty, albo nawet na jej zdrowie i życie. Człowiek staje się widocznie zawsze przesądny, gdy idzie o jakieś naprawdę wielkie dla niego dobro: żołnierz na froncie nie narazi zuchwałym słowem swego życia, kochający człowiek cennej dla niego miłości.

I bez tego już trapiły go wystarczająco — gdy tylko po dusznym dniu zaczynał przewracać się na swoim barłogu — concrete uparte lęki: czy Krysta nie choruje, czy sama daje sobie radę z kilkumiesięcznym dzieckiem (gdy trzeba przecież i zjeść i na miasto wyjść i niemożliwym bez przerwy pilnować), czy aby nie niszczyje doszczętnie w tej wyczerpującej, wielostronnej służbie. Ale nade wszystko — obraz ten przesładował Nałęczkiego jak natrętny koszmar — czy mu kto Krysty nie

zabierze. Kiedy los się sprzysięgnie przeciw człowiekowi, to wszystko już na złe odmienia. Krysta była jeszcze młoda, samotna i jakże znowu piękna na tych fotografiach, które mu przysyłała. Nienawidził w tej chwili wszystkich, którzy w pobliżu niej zostali. Krępacze, sybaryci — żerujący na cudzym trudzie i ofierze!

Przeciwwagę do tych wszystkich utrapień «poświęcenia siebie dla sprawy» powinnyby oczywiście stanowić względy ideowe, którym bądź co bądź Nałęczki nie był obcy. Niestety zwyczajna to u ludzi rzecz, że powodzenia jak i zawody osobiste rzucają cień i wręcz powodują odpowiednie przesunięcia w dziedzinie ideowej.

Nałęczki — w okresie cypryjskim raczej entuzjasta naszego wysiłku wojennego — zaczynał coraz bardziej wątpić w celowość polskiego wkładu do sprawy Aliantów a boleć wewnętrznie «żeśmy kondotierzy, że San Domingo, że wybieramy cudze kasztany z ognia». Należy zaznaczyć, że był to dopiero okres obrony Tobruku — koniec roku 1941.

Nie mając zamiaru wchodzić w jakąś absolutną, a tylko psychologiczną i związaną z czasem ocenę politycznej mądrości naszego pesymisty — wyrażam przypuszczenie, że gdyby Nałęczki sam był wybierał owe kasztany z ognia, gdyby własnej głowy nadstawił w Tobruku — patrzyłby mimo wszystko mniej ponuro i byłby pewniejszy, za co głowy nadstawia. Są dwa sposoby utrzymania wewnętrznej równowagi w człowieku: żądać od niego nienadto wiele i dać mu wzamian codzienne ludzkie szczęście, albo zabrać mu wszystko i nie dać w zamian nic. Wielkość ofiary staje się wtedy sama w sobie nagrodą. Natomiast kto, jak Nałęczki, nie może przez długi rok oglądać żony i dziecka, tylko dlatego, aby sterczeć na stołku w kancelarii obozowej i podsumowywać ile par spodni wydano żołnierzom — przestaje często rozumieć dla jakiej sprawy tam siedzi i ocenia ważność samej sprawy według swego stołka i kwaterymistrzowskiej księgi.

Ale — odwracając to zagadnienie — trzeba znowu po ludzku stwierdzić, że pytanie «po co?», na które nie znajduje się odpowiedzi — jest najcięższym kamieniem u szyi dla człowieka, który musiał zrezygnować z osobistego szczęścia. Nałęczki raz jeszcze stał się kompletnym nędzarzem. Odstawiony twardo od żony i dziecka, nie tylko stracił z oczu cel, dla którego by to służnie zostało zrobione — lecz tracił w sobie samo uczucie realności Polski — dalekiej, nieuchwytej i zmarnowanej. Tak, w ciężkiej chorobie — która jest walką ze śmiercią — człowiek umierający obojętnie w samej miłości życia, która była jego ostatnią i najmocniejszą ochroną.

## 5

Wszystko ma swój kres i Nałęczki wykołatał wreszcie urlop do żony — już z Kairu, gdzie po odejściu Brygady z Egiptu, pętał się przy tamtejszej Komendzie Placu. Dostawszy ów ur-

lop, zagłębił się na cały dzień w dżungłę kairskich bazarów, kupując za każdego piastra, którego zdołał oszczędzić, upominki dla Krysty — by ją nimi po prostu obsypać, by ją rozradować sobą do zachwyty. Przez chwilę brała go chętka przywiezienia czegoś także temu synowi, który czekał od roku, by nareszcie poznać ojca — lecz Nałęczki zdał sobie trzeźwo sprawę, że to jest przecież jeszcze nikt, zwitek ciała i bielizny — drogi, ale chwilowo całkiem bezduszny człowieczek.

Po pracowitym dniu — dworzec kairski i przepelniony urlopnikami pociąg. Noc, napoty tylko przespana, wypelniona na przemian niepokojącymi snami, to półsennym, szczęśliwym marzeniem. I przez cały czas jedna myśl, jedno pytanie pełne nadziei i lęku — wracające jak refren pieśni, jak zakończenie modlitwy: czy będzie jeszcze jak dawniej, czy odzyska Krystę? Oto już raz w życiu utracił był wszystko — i odzyskał więcej. Teraz znowu stracił. Czy odzyska? Stuk kół pociągu towarzyszył tej myśli jak przemykanie się drobnych ziarenek nieskończonego różańca, stacje zatrzymywały ją niby głębokie odetchnięcie. Stacje: El Kantara o północy, Gaza o świcie, Lydda przed południem. W Lyddzie przesiadka do małego jerozolimskiego pociągu. Wreszcie, poprzez wąwozy i góry Judei — Jerozolima.

Opis pobytu w Jerozolimie zamyka powieść. Może dlatego autor zajął się nim i wykończył bardziej od innych części utworu. Korzystam więc z ułatwienia i przepisuję dwa czołowe ustępy tego ostatniego i wykończonego prawie rozdziału — tym bardziej, że jest on ideowym kluczem powieści i nie wiem czy w streszczeniu udałoby mi się uchwycić jego istotę i właściwy nastrój. Wreszcie niechby czytelnik, przynajmniej pod koniec, otrzymał pokazniejszą próbę rodzimego stylu autora.

«Krysta mieszkała w Domu Polskim w starej Jerozolimie. Tam dotarłszy, Nałęczki zadzwonił. Drzwi otworzyła mu siostra w białym kornecie. Od razu zgadła kto przychodzi — widocznie wielokrotnie uprzedzana — i wskazała pokój. Nałęczki wbiegł na schody i oto już miał w swoich ramionach Krystę.

W pewnej chwili Krysta przekreśliła się delikatnie w jego objęciu, uwolniła przyciśniętą do ciała rękę i wskazała poza siebie, ku łóżku.

«Popatrz, śpi».

Istotnie tam spał dzieciak. Jego okrągła, rumiana twarzyczka spoczywała w otoku sutych fałdów skóry. Nałęczki długo stał nad łóżeczkiem — usiłując wyczytać z zamkniętych powiek, z nieistniejących prawie rysów, z tego zalewu beztroskiego ciała, — kto zacz jest ten jego syn. Oto malec się zmarszczył pod błyskiem jakiegoś prościutkiego snu — i Nałęczkiemu na chwilę rozgrzało się serce. Więc taki był ten syn — jego i Krysty — trzeci najbliższy im człowiek.

Malec spał spokojnie dalej. Nie reagował na ojcowskie

rozczerzenie. I Nałęczki trwał znowu w zdziwionej zadumie, że ten mały zagadkowy Budda — jest krwią z ich krwi, duszą w ich duszy. Wyrastał tu sobie tak daleko od niego, Pewnie przestraszył się, gdy zobaczy nieznanego ojca. Nie — Nałęczki nie mógł sobie syna jeszcze przyswoić.

Po obudzeniu Budda od razu zapragnął jeść. Tak przynajmniej pojęła ruchy jego ust Krysta — uczona w tych sprawach. Zaczęła natychmiast malca karmić — nachyliła nad nim, zapatrzona w każdy ruch dziecka — jak gdyby odszedłszy tylko ku niemu od całej rzeczywistości. Tak do niedawna jeszcze karmiła go piersią — że choć teraz dawała mu tylko mleko z flaszki, w uczuciu jej na pewno nic się nie zmieniło. Nałęczki przechadzał się po pokoju, rzucając od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia ku żonie, którą ten mały zdawał się zabierać mu z dziecianną, ślepą zachłannością. Cień żalu położył się na powitalnym wzruszeniu Nałęczkiego. Tak się śpieszył do Krysty — a czy ją teraz całą będzie mieć? Wypierał go z najdroższego miejsca mały człowiek. Żeby przynajmniej człowiek! Czyż to drobne żarłoczne zwierzątko można było nazwać człowiekiem?

Mały najadł się wreszcie i szeroko roześmiał. A gdy Nałęczki, zwabiony tym uśmiechem, zatrzymał się w swoim niecierpliwym pochodzie od ściany do ściany i nachylił się nad synem wespół z Krystą, stało się naraz coś — zdawałoby się małej wagi — co zmieniło zupełnie bieg uczuć Nałęczkiego. Mały poruszył wargami i nieskładnie, z wzruszającym wysiłkiem ułożył jedyne słowo «mama».

Wtedy Krysta wzięła go radośnie na ręce i pokazała ojcu — nareszcie ku mężowi zwrócona, do męża uśmiechnięta, przed nim pyszniąca się synem. Jakiż duży był ten syn! I naprawdę już mówił. Wpierw «mama», potem «tata» i jeszcze «daj» — trudził się małymi usteczkami, składał je wzruszająco i śmiesznie. Przypominały się skrzypeczki, długo i mozolnie sklepane z deseczek, które po raz pierwszy wydają ton.

Coś dziwnego stało się z Nałęczkim. Coś przemieniło się do dna. Nic to, że gaworzenie syna było może tylko paplaniem nauczonej papugi — jemu wydało się, że rozumiał. Cała obcość między nimi zniknęła — rozmówili się raz na zawsze. Teraz już wiedział: ten chłopaczek kształtujący z trudem pierwsze polskie wyrazy — to była jednak krew z krwi i dusza z jego duszy.

Z Krystą bywał Nałęczki przecież nieprawdopodobnie szczęśliwy. Ale to co czuł teraz, wydawało się czymś nowym i doskonalszym. Może przede wszystkim bardziej trwałym, bardziej pewnym. Jakiś niezaznany dotąd w życiu spokój. Cel osiągnięty.

Nastąpiła w nim przez długą chwilę zupełna cisza. Coś się już dokonało; coś miało się jeszcze dokonać.

Bo oto w następnej chwili zrezygnowany, śmiertelnie zmęczony żołnierz bezdomny — doznał fizycznego niemał uczucia, które można było określić tylko w jeden sposób: poczuł, że znowu ma pod stopami Ojczyznę. Cokolwiek się stanie — wróci do Kraju czy nie wróci — czy wolność nadejdzie jutro, czy za sto lat — w tym synu jest Ojczyzna. Wytrącona przemocą z bytu — w nim się oto odradza, w nim zaczyna na nowo. Odradzała się choćby w tym niedołącznym bąkaniu wyrazów, które ten malec kształtował, wydobywał z nicości — podobnie jak czynili pierwsi ojcowie polskiego plemienia w pomroku wieków. Tak, Polska była obok — już nie dało się w nią wątpić.

Nałęczki nie myślał zdaniem. Były to raczej wglądy niż słowa, widzenie — nie myśl. Szło to na niego z dna uczuć, nowe olśniewające, nie do ujęcia w wyrazy, a jednak jaśniejsze od wyrazów. I już te myśli — nie myśli, płynęły dalej — jedna za drugą, jedna z drugiej, jak nieustanne śnienie wieczornego nieba.

— O, to właśnie — w tym synu, była Polska. Tu była — tysiące mil od Jej granic. Polska istotna, Polska najrzeczywistsza.

Ażeby wyrwać, ażeby żyć, człowiek musi mieć jakieś oparcie, musi się czegoś rzeczywistego uchwycić. Teraz już miał. W miejsce Kraju, który pozostał tak daleko, że ztracał się już w pamięci i wysuwał z uczucia — był teraz ten mały synek: dotykalny, żywy i nade wszystko drogi.

Ale cóż — przeskoczyło naraz uczucie Nałęczkiego. Leży sobie oto to małe, małuśkie. A te dzieci, które przebiegają tam obok ulic — biegną po ulicach własnego miasta. Ta palma co rośnie na dziedzińcu — stoi twardo na własnej ziemi. Te mury domu, te sprzęty w pokoju — wszystko powstało tutaj, jest u siebie. Tylko ten chłopaczek jest tu obcy, intruz niepotrzebny i nieoparty naprawdę o nic. Jest jak bocian wędrowny, który przysiadł na chwilę i którego każdy ma prawo zabić kijem.

Żal nagły, gwałtowny i nie do opanowania, wypełnił łzami, wpatrzone w syna, oczy Nałęczkiego. Nie, nie zostawi go tutaj. Da krew i życie, uczyni wszystko — ażeby ten jego dzieciak mógł jak tamta palma rósć kiedyś w własnej ziemi, ażeby mu nikt rósć swobodnie na własnym już nie bronił.

On przecież jest wielki — a ono takie małe. On mocny, zahartowany życiem — ono bezsilne, kłębek miękkiego ciała. Jak tu nie bronić, nie oddać wszystkich sił — żeby było szczęśliwe, bezpieczne — i u siebie. I choćby świat się walił — on przejdzie z tym dzieckiem na rękę — ze swoim dzieckiem.

Swoim... jak to ślicznie brzmi. Myśli odplynęły. Nałęczki zaczął naraz z uporem wypatrywać w tej pulchniutkiej i niewyrazistej twarzyczce — siebie. I biło mu serce, gdy

znalazi coś w zarysie ust, w błysku oka — co wydawało się z niego. Czyżby? Czy się nie ludził? Bo za chwilę twarz była znów inna, nieznaną.

«Jaki on podobny do ciebie», szepnęła Krysta, uśmiechając się wiedząco. Była tuż obok. Wiedziała wszystko — nie potrzebował wcale opowiadać jej, co czuł. Teraz już będą tak zawsze odczuwać jedno, rozumieć się na wskroś — połączeni do dna dusz przez to dziecko. Fala najgłębszego uczucia, narywającej miesiącami tęsknoty — zahamowana zrazu niespodzianką i obcością spotkania — wyzwoliła się w nim. To była przecież jego najdroższa Krysta — matka jego dziecka — przez to, że matka, teraz jeszcze droższa. I jak piękna — pięknem utęsknionym, znanym — a jednak nowym.

Krysta złożyła dzieciaka w łóżeczku ruchem bezsilnym — jak gdyby upuszczając go nagle z mdlejących rąk. Wspierała się ciężko o męża. Nałęcki przyciągnął ją całą, od stóp do głów — na nową własność. Zmierzył ostatniej obawy, że coś mogło się wkraść pomiędzy nich, coś mogłoby ich jednak dzielić — szczęście, niewysłowione szczęście — przepłynęło przez pierś. Więc to było tak, tak o nie inaczej. Jak cudnie».

Czas już pozostawić Nałęckich samych i wrócić do streszczenia. Rozdział ostatni, jakkolwiek wykończony przez autora, zbyt jest długi, by go przytoczyć tu w całości; zresztą środkowa jego część wydaje się mało istotna dla zagadnień powieści.

Ta środkowa część jest okresem raczej sielanki — pomiędzy dwoma wstrząsami duchowymi. Wypełnia ją opis 18 dni wojskowego urlopu, dzieje prostych wzruszeń i żadnych prawie myśli. Po owym pierwszym wybuchu myślowym, jak gdyby nagłym przebicium się prawdy w chwili ujrzenia dziecka, «panowało Nałęckiego zwyczajne łakomstwo szczęścia, chęć prostego i najpełniejszego jego wyżycia — tym bardziej, że z każdym mijającym dniem urlopu, uciekało mu ono z rąk.

Oczywiście myśli musiały się także pojawiać. Zbyt wiele weszło z dzieckiem w życie Nałęckiego, zbyt mocny był wstrząs pierwszego spotkania — by to wszystko nie musiało snuć się dalej w duchu, zadrgało raz po raz, wśród najzwyczajniejszego biegu dnia — zanim dojrzało wreszcie w określony i pełny wyraz podczas pożegnalnego wieczoru. Nachodziły go te myśli zapewne, gdy wychodził z domu po zakupy dla żony, gdy godzinami wpatrywał się w stawiającego pierwsze kroki syna, gdy siadywał wieczorami na płaskim dachu Domu Polskiego, aby wypalić kilka papierosów w obliczu kamiennego zwiudu świętej stolicy.

Autor nie dotyka jednak prawie tej myślowej, uświadomionej strony przeżyć Nałęckiego, przez cały ciąg jego jerozolimskiego urlopu. Ogląda Nałęckiego raczej od zewnątrz — jak przechadza się z żoną po ulicach Starego Miasta, nie odstępując od niej w najciaśniejszych nawet przejściach, jak ich stale w pewnym

momencie ogarnia lęk, że spóźnią się na godzinę żywienia dziecka, jak właściwie najchętniej u boku tego dzieciaka, w szczególnej ciekawości każdego drgnięcia jego budzącej się duszyczki — spędzają godziny i dni. O nocach autor mało już wspomina — nie dla powściągliwości pióra zapewne — ale jak gdyby co innego stało się ważniejsze.

Dorobek myślowy Nałęckiego pozostawił autor w całości na ostatni, pożegnalny wieczór. Dopiero w czasie tego wieczoru ujawnia się wszystko, co dojrzywało w duszy Nałęckiego przez cały ciąg urlopu — wybucha w jednym wewnętrznym monologu. Czy autorowi wydało się takie ujęcie bardziej prawdziwe? Czy artystycznie cenniejsze? Może, skupiając niezdarne myśli Nałęckiego w jeden sugestywny ciąg, chciał nadać im to wewnętrzne życie, tę intensywność, jaką musiały one mieć w rzeczywistości, a którą mogłyby w powieści utracić — rozsiane na obszarze 18 długich dni. Zobaczmy, czy się to pisarzowi w zakończeniu jego powieści udało:

«Nachodził ostatni wieczór. Walizka była już spakowana, chlebak pełny wiktuałów podróżnych, przygotowanych przez Krystę. Formalności wojskowe Nałęcki załatwił był rano. Nie miał już nic do roboty.

Trzeba było pożegnać się z domem, z miastem, z widokiem ogólnym, który przez 18 dni towarzyszył ich szczęściu, Nałęcki ucałował na dobranoc śpiącego syna i wraz z Krystą wyszedł na górny taras domu.

Dzień już zgasł i nad krajobrazem, który tyle razy oglądali w pałacym blasku dnia, leżała teraz łagodna ciemność. Lecz szczęście uczy pamiętać. Nałęcki mógłby na ślepo, poprzez zasłonę mroku, wskazać każdy szczegół w tym krajobrazie i właściwie zdawało mu się, że, żegnając, widzi wszystko. Tam oto, poza granicą miejskich świateł, nieco na prawo i już w samym ośrodku ciemności, znaczyła się wielka, zielona kępa Ogrójca z prześliczną Bazyliką Konania u czoła. Wszędzie znowuż, gdzie Stare Miasto, migające już światełkami, przechodziło półkolistym zarysem w noc — ciągnął się najwyraźniej stary mur obronny Jerozolimy, taki sam dzisiaj, jak w czasie, gdy Gołfryd z Bulionu szturmował go z swej płonącej beluardy. Wszystko zaś ponad murem — ów masyw jednorodnej ciemności, przycniatający miasto — to była oczywiście Góra Oliwna. Ale niebo nad Górą jaśniało jeszcze pobłaskiem dziennego światła, modelując bardzo wyraźnie jej szczytową, spokojną linię, z której wystrzelały tylko, niby skupienia skał — na prawo i dość nisko kopuła meczetu Omara, a w środku, u samego szczytu, iglica kościoła Najświętszej Panny Marii. Tam od tego szczytu — (przypomniła się Nałęckiemu wstrząsająca scena z *Krzyżowców*) — zstępowały niegdyś widmowe wojska biskupa Ademara — by wesprzeć od duchu i zapalić do dalszego

boju, zastępy Rycerzy Krzyża, upadające już od śmiertelnego znużenia, u murów niedobytego miasta.

Właśnie wzeszedł od tamtej strony księżyc, i stanął ogromny nad górą. Stał i zda się patrzył — uważny, milczący, zagadkowy. Czego chciał? Było coś prowokującego w jego błyszczącym milczeniu. Nie dało się odwrócić od niego oczu, ani uspokoić myśli. Czekał tak w głębi nieba jak cierpliwy spowiednik, czy nieugięty prokurator. I jakby ku temu dziwnemu księżycowi zaczęły płynąć myśli Nałęczkiego.

— Oto wyjeżdża na dalszą rozłąkę, na długie niewidzenie się, na los regulowany ślepym rozkazem. Ale jest gotów Gotów jest, jak Krzyżowcy, którzy przed siedmiu wiekami odchodzili z swych domów na Zachodzie, ku nieznanemu Wschodowi, na długie lata — tak jak on odszedł z Polski na lata.

I na to przyrównanie, uczucie naiwnej dumy przepłynęło przez pierś nowoczesnego Krzyżowca, który — wyjechał z Polski automobilem politycznego przyjaciela, na Cyprze żywił się chlebem angielskim, a w Kairze notował przyjazdy i wyjazdy zgłaszających się w Komendzie Placu. Ale uczucie było uczciwe: w tej chwili Nałęczki naprawdę był gotów na wszystko — bo wiedział bez omyłki o co staje: o Ojczyznę dla syna.

— Syn jego musi mieć Ojczyznę — wolną Ojczyznę. Bez tego będzie tylko żdźbłem na wietrze, psem pędzonym od drzwi. Nałęczki przypomniał sobie naraz wszystkie upokorzenia rumuńskie — owego pana w Piatra Neamț, który krzyczał na niego «tu nie Polska» i pokazywał wyjście. Cóż, niepodobna być szczęśliwym, godnym, być sobą — bez ojczyzny.

Nałęczki myślał nieraz, że już nigdy więcej nie wypowie tego słowa. Za dużo nasłuchał się «ojczyźnianych» frazesów — prawdziwie do obrzydzenia. I po cóż to wszystko? Dlaczego tak mało mówi się o rzeczy najprostszej, najbardziej oczywistej. Ojczyzna to jest przecież osobiste dobro i potrzeba każdego człowieka, jego własna sprawa. Trzeba mieć ojczyznę, jak dom, pod którego dachem można bezpiecznie i dla siebie żyć. W obcym domu nieźle jest pomieszkać. Ale tylko z swojego nikt nie ma prawa przegonić, ukrzywdzić, tylko w swoim wszystko ułożone jest w nasz własny, niezastąpiony sposób.

Nałęczkiego z domu wygnał wróg. Tak się już spryskiwały losy. Ale właśnie dlatego, że bezdomności zaznał, zrobi wszystko, nie poskąpi niczego — ażeby syn jego mógł mieć znowu własny dom, własną ojczyznę. To jest teraz sens i zadanie jego życia.

Wśród pętającej go zadumy Nałęczki naraz uświadomił sobie, że Krysta drży przez cały czas obok leciutkim, powstrzymany dreszczem. Pomyślał, że przeziębła.

«Czy nie jest ci chłodno?» zapytał. «Przyniosę okrycie».

«Nie, Stefanie, nie chłodno. Tylko żal».

Cóż można poradzić na żal? Ucisnąć mocno. Nałęczki przygarbnał żonę do siebie.

— Do ojczyzny jeszcze droga daleka, daleka. Ale obok jest Krysta — a tam na dole śpi w łóżeczku Krzyś. Jest ich troje. To już dużo, to jest może najważniejsze. Choć tak daleko do Kraju, do jego chroniących granic — we troje są jak gdyby małą Polską. We troje — nie są już ani samotni, ani bezbronni.

Ale dopiero we troje. Dopiero przez tego dzieciaka zostało zamknięte koło — dopowiedziane ostatnie, konieczne słowo zaklęcia. Póki byli z Krystą we dwoje — coś niepewnego unosiło się, mimo wszystko, nad ich pewnością — coś doraźnego i tymczasowego było w całej trwałości ich szczęścia. I to właśnie odstąpiło się niepokojąco wtedy na Cyprze. Inna rzecz, że nawet we troje są tylko komórką — małą komórką wielkiego ciała. Choćby dali dziecku najgorętszą miłość, najczujniejszą troskę — sami nie wystarczą! Za dzieckiem musi stać naród.

Czyżby jego synek był taki, jaki właśnie jest, jakiego pokochał — gdyby nie było Polski? Wieki życia narodu składały się na to, ażeby ten maleńki był jaki jest — blondynek o śmiałym, przekornym spojrzeniu, jasnym uśmiechu i nieobliczalnej żywości ruchów. Dziesiątki pokoleń, przez dziesiątki lat przyrzucały szczegół po szczególe, rzeźbiły rys za rysem — nim narodziło się to ciało, ta twarz, ten załazek duszy. Jakże go teraz od tego wszystkiego oderwać, zostawić w próżni, kazać układać na nowo, inaczej twarz, mowę, duszę.

Na to jest ojciec — łącznik między narodem a własnym dzieckiem — ażeby tak się nie stało. Jego ojciec wychował go na Polaka — on wychowa Krzysia.

Gdyby był sam — on Nałęczki mógłby ostatecznie być albo i nie być, przetrwać lub nie. Swoje już przeżył — i przeżył w wolnej, dostatniej Polsce. To co dalej z nim się stanie, nie było już takie ważne. Ale ten mały nie zaznał jeszcze niczego, był cały przyszłością; tylko przyszłość miała dla niego znaczenie.

Tak, póki szło tylko o nich dwoje — myślał Nałęczki dalej — mogli skończyć gdziekolwiek, Polska dla nich była mimo wszystko przeszłością. Przyszłość — mój Boże — wydawała się taka nieuchwytna. Z tym człowiekiem daje sobie radę. Teraz jednak zmieniało się wszystko. Jego synek miał żyć w tej przyszłej Polsce — za lat dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt. Jego dzieci i wnuki będą żyć w niej za lat sto i dwieście. Daleka Polska stawała się naraz bliska, dotykalna, konieczna.

A księżyc oddalał się. Uszła zeń już niepokojąco intym-

ność ogromnej, nachylonej nad widnokregiem zjawy. Zdawał się rozmyślać w głębiach nieba.

— Przedtem Nałęcki był niecierpliwym. Potrzebował Polski od razu, dla siebie. Czasem był tak zmęczony, że przyjąłby każdą Polskę, byle ją zobaczyć, byle w niej żyć spokojnie. Teraz potrzebował Polski dla syna. Mógł czekać. Musiał czekać. Musiał umieć czekać.

I myśli Nałęckiego popłynęły ku tej Polsce, w której miał żyć kiedyś jego syn. Popłynęły w głąb lat — nawet nie do ukochanej Warszawy — ale gdzie sam, jako mały chłopczek, całkiem jak teraz Krzys, stawał swe pierwsze kroki, gdzie uczęszczał do wstępnych szkół, gdzie mu się pierwsza podobała dziewczyna. To było we Lwowie. Któż odgadnie, czy synkowi jego będzie dane zbijać swoje pierwsze baki w tym ojcowskim Lwowie? Ale chyba już na pewno w jakiś zimowy śnieżny dzień wymknie się, uczeń niepilny, w godzinach szkoły, by śmigać wesoło na nartach po zboczach Zamkowej Góry. I Nałęcki uśmiechnął się na tę myśl o niezmiennym stosunku do godzin szkolnych, łączącym dwa pokolenia Nałęckich.

Gdzieś z daleka — bodajże spoza murów miejskich — dobiegł uszu chrapliwy poryk wielbłąda. To była jednak Jerozolima... Nocny wiatr nadleciał od Gór Moabickich i zakopotał prześcierałami rozwieszonymi na tarasie. W Starym Mieście gasły jakieś światła, inne się jeszcze zapalały.

Nałęcki uświadomił sobie dziwną rzecz. Naraz sprawa istnienia tej przyszłości, po której krążył myślami w ślad za życiem syna — stała się całkiem jasna, nie ulegająca wątpieniu. Wszystkie egipskie dumania — takie mądre, takie niezbite, zdawały się niebyłe. Na pewno będzie polski Lwów, będzie wszystko jak dawniej. Przyszłość jego dziecka nie mogła być inna.

Rzecz właściwie prosta: ażeby wierzyć, trzeba musieć wierzyć — a oto musiał wierzyć, bo inaczej jego syn nie miałby ojczyzny, nie miałby swego miejsca na świecie.

I Nałęcki myślał, dopalając papierosa: — Cóż? taki jest człowiek; może śmieszny — ale dzięki temu nigdy nie zwyciężony do ostatka. Wierzy zawsze w to, co mu jest do istnienia niezbędne. Wierzy w to, w co nie może nie wierzyć. I tak jest dobrze. Przecież teraz dopiero odzyskał siły — by żyć; teraz nawet powrót do księgi mel-dunków o przyjazdach i wyjazdach z Kairu — miał sens.

I przygarbiając mocno żonę, która milczała obok, idąc śladem jakichś własnych marzeń, Nałęcki szepnął jej w ucałowane usta: «Dziękuję Ci za Krzysia».

Potem Krysta odeszła, ażeby być z dzieckiem i Nałęcki pozostał sam. Światła Starego Miasta wygasły już jedno po drugim. Najgłębsza ciemność splotła się pomiędzy nie, grubymi strugami z Góry Oliwnej.

W tej późnej, północnej już prawie godzinie, Nałęcki domyślał do końca swoje sprawy; i wtedy zrozumiał wszystko, wybaczył losowi wszystko. Boże mocny! Przecież to skończył się zatarg jego życia! Nie było już sprzeczności między jego osobistym prawem do szczęścia a prawem Ojczyzny do niego. Ten synek wiązał wszystko. Dbać o niego, znaczyło właśnie dbać o najdroższe dobro Narodu. Cóż za ulga!

I wówczas Nałęcki pojął także, że cokolwiek się z nim i Krystą działo — potrzebnie się działo. Katastrofa, która rozbiła Polskę — rozbiła zarazem dawny, zakłamanym i bezduszny kształt ich życia, wróciła ich uczuciu i prawdzie. I choć zamknęła ich na razie w tej ślepej i ciasnej miłości — choć zostawiła im tylko tę miłość — to jednak właśnie z miłości wyłoniła się z czasem nowa moc, zasilająca Polskę przepadłą — wykuło się to podstawowe ogniwo Narodu, rodzina — troje związanych na zawsze ludzi. I tak, w życiu narodu, to co zabija — zapładnia na nowo; jedne kształty się rozpadają, by poprzez pozorną śmierć, wyłonić nowe i może właśnie doskonalsze. Tak, jak skorpupa owocowi gnije i pęka, by dać życie nowym zalążkom — tak kobieta splota krwią, by dać początek nowemu życiu.

Księżyce stał o tej porze wysoko nad Jerozolimą, mały, jasny i daleki ludzkim sprawom. Wiedział już wszystko. Odchodził w gwiazdne przestworza.»

Tak kończy się ostatni rozdział historii Nałęckich a zarazem streszczenie całości utworu. Zdawałoby się, że czas najwyższy przejść do właściwej krytyki.

Ale stała się rzecz nieprzewidziana. Nie tylko streszczenie to rozrosło się ponad wszelką spodziewaną miarę — lecz, w ciągu streszczania, dałem się tyle razy wciągnąć do wypowiedzenia się na różne, nasuwane przez akcję, tematy, że w tych uwagach, rzucanych mimochodem, zawarł się już prawie wszystek mój stosunek do utworu. Powtarzałbym się tylko, gdybym w tym zakończeniu chciał się raz jeszcze, w poruszonych sprawach, wypowiedzieć. Nie pora też już, ani ochota, wyłączać dopiero teraz w odrębną część krytyczną to, co rozrzucałem wśród samego tekstu. Niechże więc wszystko zostanie już jak jest. Pozostawiam domyślnemu czytelnikowi by rozróżnił, co w tym skrócie powieści o Nałęckich zostało podyktowane pomysłami autora, a co przesiąknęło weń z opinii krytyka.

Jedno trzeba mi przecież dopowiedzieć, na jedno wskazać, co nie zostało w samej powieści przemysłane do końca. Pamiętamy, że Nałęcki znalazł w swym dziecku ostateczną ostoję i rozwiązanie zatargu szarpiącego jego tułaczą duszę. Autor powieści zdaje się podzielać wiarę w takie rozwiązanie. Na dziecku polskim budują obaj, jak na opość, niemal przyszłość zagrożonego Narodu.

Ale oto dzisiaj wróciłem z polskiego jakoby domu. Tam również były dzieci. I tych dwoje dzieci nie rozmawiało z sobą po polsku; zagadnięte przeze mnie odpowiadały dziwną polszczyzną, pełną obcych wtrąceń i wyrażań. Kiedy zaś zapytałem rodziców, co to ma znaczyć, otrzymałem odpowiedź, że tak nauczyły się w szkole, że tak chyba lepiej, skoro mają żyć w tym kraju. Zresztą rodzice — oboje zatrudnieni — nie mogą odpowiadać za język, jakim rozmawiają ich dzieci.

Więc to tak... Nie mogą odpowiadać... Rodzice — nie mogą... Kiedy patrzyłem na tamte dziecinne usteczka, tak polskie w swojej miękkości, a nie umiające się już inaczej złożyć, jak dla obcego słowa, żal straszliwy mnie przejął — jak gdybym patrzył na duszę sprzedawaną na targu. Bo to jest sprzedaż, sprzedaż dusz niewiedzących i nie mogących jeszcze o sobie decydować — za kawałek chleba, lub po prostu za cenę własnego spokoju i wygodę. To jest czyn haniebniejszy bodaj, niż oddać na handel ciało nieletnie i nie mogące jeszcze o sobie rozstrzygać.

I nie był to wypadek pojedynczy. Przerażające jest, jak łatwo dzieci na tej obczyźnie się wynaradawiają! Przerażające, jak łatwo rodzice rezygnują z walki!

Tak oto może wyglądać sprawa Krzysia Nałęczkiego za lat pięć — od chwili, gdy pożegnaliśmy go w powieści. Krzysia, który miał kiedyś do Polski za ojca powrócić — a który może w ogóle przestanie być Polakiem.

Więc kiedy pomyślę, że Krzys Nałęczki, chłopak prześliczny, w którym skupiły się uroda i serce matki, mocna ambicja ojca i cały bogaty dorobek dziesiątka pokoleń przed nimi, a żeby wydać dojrzały owoc, — że ten Krzys może pewnego dnia oniemić jako Polak, jak gdyby mu wyrwano język — kiedy pomyślę, że go w Narodzie zabraknie w jakiejś najważniejszej chwili — ogarnia mnie głuchy gniew. Protestuję! I kłamię — nie warunki życia, które są nieuniknione, nie obce otoczenie, które kieruje się własnym narodowym interesem — ale kłamię tych nieszczęsnych rodziców, którzy nie potrafili dochować najcenniejszego dobra Narodu. Oni, wyłącznie oni będą winni. Oni, wyłącznie oni odpowiedzą przed Polską. Te dzieci były przecież mandatem powierzonym ich opiece, miłości, sumieniu. Powierzone przez tę Polskę daleką, która im samym dała niegdyś wszystko: wykształcenie, stanowisko, dobytek i która obdarzyła ich najhojniejszym darem wolnych lat dwudziestu: I niczego dziś od nich, synów i córek wyrodných, już nie żąda, jak tylko uczciwego zwrotu długu — głowa za głowę — dziecinnej, nietkniętej duszy, za nich, którzy swe dusze sprzedali.

Uniosłem się. Nie dotrzymałem obyczaju krytycznej obiektywności. Ale dziecko jest ostatnim dobrem człowieka i narodu, obdartego ze wszystkiego. Krzywda, czyniona biednemu — to najbardziej gorzka z krzywd. Niepodobna było milczeć.

*Dixi et salvavi animam meam...* Lecz — zanim skończę — pragnę wrócić raz jeszcze na ścieżki, którymi, przez tyle lat, z lekką duszą chodziłem; chcę poczuć się krytykiem literatury

i niczym więcej. Chcę poddać się — choćby przez chwilę — kojącemu złudzeniu, że nie ma w życiu spraw ważniejszych od celności stylu pisarza, lub jego wnikliwości psychologicznej. Niechby przynajmniej to zakończenie *essay'u*, niby wysoki dziób statku, niosło się beztrzesko nad odmętą spraw tak śmiertelnie ważnych i — tak przemijających.

Wybieram ostatni rozdział powieści o Nałęczkich, jako opracowany w całości przez pisarza, najistotniejszy dla myśli utworu i — niestety, pod pewnym względem, chybiony. Wydaje mi się, że autor pozwolił sobie zbyt wiele uczuć i myśli bohatera podać w wewnętrznym monologu. I nie tylko dlatego mówię o tym, że jest to oczywiście uproszczenie i ułatwienie sobie twórczego procesu, ale że widzę tu przejaw nagminny, rys mody literackiej lat ostatnich. Monolog wewnętrzny, ten bękart psychoanalizy, zalewa teraz literaturę; całe powieści składają się ze stenogramów myśli bohatera. *Noc Huberta* jest nieustającym rozmyślaniami, żona Blooma w głośnym *Ulyssesie* gaworzy z sobą w łóżku przez cały długi rozdział. Czyn, akcja — którą dawni pisarze uważali za najwładniejszy sposób odsłonięcia wnętrza człowieka — schodzi dziś na drugi plan; bohater wypowiada się sam o sobie w sposób aż nadto wymowny.

Nie można oczywiście odmówić tej metodzie analogii z życiem. Człowiek wciąż sobie coś myśli; dlaczegożby nie oddawać tego w sztuce? Inna jednak rzecz, czy to jest już wszystko — czy zawiera całą prawdę o człowieku? A najważniejsze, czy taki sposób przekazywania prawdy o innej duszy jest dostatecznie sugestywny, czy daje czytelnikowi istotne, żywe wyobrażenie o przedstawianych postaciach? Obawiam się, że nie. Możemy posiadać bardzo dokładny protokół myśli jakiegoś człowieka i wcale człowieka tego nie czuć, ani nie widzieć. Czysta myśl jest niewątpliwie najsuchszym, najmniej sugestywnym z elementów sztuki. Cóż za obłąd upierać się przy jej wyłącznym stosowaniu? Obowiązkiem artysty jest wybierać przede wszystkim te elementy rzeczywistości, które narzucają czytelnikowi wizję jej naprawdę żywą i odczuta. Co wizji nie narzuca, jest artystycznie bezwartościowe. *Artystyczna prawda* o życiu musi być zatem inna, niż prawda życia. Nie polega ona wcale na wiernym kopiowaniu jakiegoś przeżycia, lecz na obudzeniu w duszy czytelnika *takiego samego* przeżycia. W sztuce malarskiej rzeczy te od dawna stały się jasne. Żaden malarz nie próbuje narzucić prawdziwego obrazu drzewa przez dokładne odtworzenie liści. Niepojęte, że w sztuce pisarskiej pokutuje dotąd ów przesąd o liściach!

Chyba więc tylko dyktatura mody literackiej mogła przesłonić prawdę, że pisarz zafałszowuje i splaszczcza obraz życia, jeżeli chce całą treść artystyczną dzieła sztuki wyrazić i przelać w duszę czytelnika, jedynie zapomocą przedstawienia wolnego biegu myśli bohaterów — choćby myśli te były najbardziej intymne i sięgały, zda się, w samą głąb podświadomości. Tą drogą nie dociera się mimo pozorów do wnętrza duszy — naj-



wyżej krąży się po jej obwodzie. A skoro pisarz współczesny szuka za wszelką cenę nowych sposobów wypowiedzenia się, wychodzących poza klasyczne formy akcji i obrazu — czy nie byłoby już artystycznie trafniej podawać syntezy zdarzeń, ich zarysu ogólnego — zarysu, który byłby wyciągiem najistotniejszych cech ludzkiego przeżycia i oddawał jego uczuciową atmosferę? Czyż nie dość już błakania się po krętych, szarych ścieżkach ludzkich myśli i myślatek? Urok drzeworytu, czy rysunku piórkiem, obejmującego śmiałą linią niewypełnione płaszczyzny, mówi nam wiele o możliwościach i artystycznej słuszności upraszczania obrazu życia.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Chorujemy dzisiaj na chaos, umieramy zeń niemał. Życie zalewa nas wciąż nową treścią, czy raczej miazgą, której w żaden sposób nie możemy już ogarnąć. Jeżeli sztuka ma być w obecnej chwili, jak powinna, ucieczką i wyzwoleniem dla duszy — nie w świat marzeń jedynie, bo ten nas nie wyzwoli, lecz w świat rozjaśnień i wewnętrznego ładu — musi ona regulować a nie powiększać chaos istnienia. Świat myśli i myślatek człowieka, załączków chaotycznych i niedojrzałych, świat *in statu nascendi*, pozbawiony uchwytnej linii wytycznych i nieprzełamany jeszcze przez pryzmat czynu — to najmniej pożądaną dla współczesnego człowieka temat sztuki. Sztuka ma dalsze cele aniżeli samo przedstawianie życia: wyjaśnia je i porządkuje.

W tym zawiera się moja nadzieja, że ten skrót powieściowy, z konieczności pomijający szczegóły na rzecz sprawy głównej, potrafi jednak związać czytelnika z przeżyciem Natęckich, że nie przejdą oni obok niego, jak mgliste i obojętne cienie.

Wit TARNAWSKI.

## Najnowsza historia Polski

### Kapitulacja Warszawy

Chmury grubą warstwą kłębiły się nisko nad ziemią. Przenikliwy chłód i wilgoć poranka zapowiadały nadejście bezstojnego, jesiennego dnia. Śwąd spalenizny dławił gardło. Po nocnej nawale ognia artylerii i moździerzy nastąpiła cisza. Od godziny 8 do 20 obowiązywało zawieszenie broni, ludność mogła opuszczać miasto. Zaledwie około 8.000 mieszkańców, przeważnie kobiety z małymi dziećmi, wyruszyło dobrowolnie poza barykady. Większość mieszkańców Warszawy zdecydowała dzielić los żołnierzy.

Z trudem przedostawaliśmy się przez rozwalone ulice, idąc do barykady pod Politechniką z budynku Pasty przy ul. Piusa, gdzie mieściła się Komenda Główna AK. Grupy ludzi z tobołkami na plecach dążyły w tym samym kierunku, był to bowiem punkt przejścia dla mieszkańców uchodzących z miasta. Przy studniach ustawiano się w szeregi z wiaderkami po wodę. Dookoła punktów rozdzielczych gromadzono się cierpliwie po garść jęczmienia lub pszenicy, jedynego dostępnego jeszcze wówczas pożywienia.

Miasto rozpoczynało swój dzień. Ale ten dzień był inny niż dni poprzednie. Czekano na coś, co musi nadejść, co jest tuż, tuż. Wyczuwano zbliżający się koniec.

Spotkanie delegacji polskiej z gen. von dem Bach w jego Kwaterze Głównej w Ożarowie było zapowiedziane na godzinę 9.00. Trzeba więc było być wkrótce po godzinie 8.00 na czołowej barykadzie pod Politechniką, gdzie mieliśmy przekroczyć linię bojową.

W składzie delegacji polskiej było nas czterech. Oprócz mnie ppłk. Zyndram, ppłk. Bogusławski i por. Sas\*) jako tłumacz. Poprzedniego wieczoru, dla uzgodnienia stanowiska, byłem u gen. Montera w jego Kwaterze Głównej, przy ul. Złotej w Śródm.

\*) Tego dnia por. Sas został mianowany kapitanem, o czym wyjeżdżając na pertraktacje jeszcze nie wiedzieliśmy.

mieściu-północ. W ciągu nocy opracowaliśmy na tej podstawie i po szeregu odpraw materiał do rozmów z Niemcami. Tekst umowy mieliśmy przygotowany w pełnym brzmieniu, opracowany w ujęciu prawnym przez por. Sasa. W pracy tej przy ustalaniu zasad I-jej części umowy brał również udział p. Konrad z Delegatury Rządu.

Byliśmy okrutnie zmęczeni i niewyspani; ubrania nasze były zmięte i wyniszczone biało-czerwone opaski na rękawach określały naszą przynależność do A.K.

Zgodnie z normalnym procederem przy przekraczaniu linii bojowej przez parlamentarzysty w asyście polskiego dowódcy tego odcinka, doszliśmy ruinami ul. Śniadeckich do barykady niemieckiej przy szpitalu im. Marszałka Piłsudskiego. Oczekiwał nas tam delegat niemiecki mjr. SS Fischer. Powołując się na postanowienia konwencji Haskiej, zapytał przez tłumacza, czy mamy broń. Po wyjaśnieniu, że jej nie posiadamy, odjechaliśmy wraz z nimi samochodami do niemieckiej Kwatery Głównej.

Zupełnie inaczej, jednak nie mniej koszmarnie, wyglądała część miasta zajęta przez Niemców. Dzieje tych dzielnic znał tylko z relacji, ale poznać je łatwo po wstrząsającym ich wyglądem. Nie było tam gruzów ani śladów działania bomb i pocisków, na pozór nietknięte stały szeregi domów-szkieletów. Przez ich wypalone oczodoły okopcone wnętrza ziały pustką i grozą. Dzielnice, przez które przejeżdżaliśmy, wyludnione były całkowicie, nie widać żadnych oznak życia, zniknęły nawet gołębie, wróble i wrony. To już nie Warszawa — to miastowidmo.

Po pół godzinie dojechaliśmy do dworku w Ożarówie, gdzie mieściła się niemiecka Kwatera Główna. W salonie dworku ja i ppłk. Bogusławski wymieniliśmy stopnie wojskowe i nazwiska nawzajem z gen. von dem Bach. Ppłk. Zyndram i por. Sas byli już poprzednio u Bacha przy nawiązywaniu pierwszych rozmów przed dwoma dniami, znali się więc wzajemnie. Bach był typowym pruskim generałem w średnim wieku, szpakowaty, krótko ostrzyżony, wysoki, baryczysty, w okularach w złotej oprawie.

Czy do aktu, już w swej istocie tak dla żołnierza upokarzającego, doda ten o butnej postawie Niemiec jeszcze i od siebie jakies poniżenia? Myśl ta nie opuszczała mnie przez cały czas pertraktacji.

Polska delegacja wraz z gen. von dem Bach i jego tłumaczem zasiadła przy dużym, okrągłym stole, przy sąsiednim biurku zajęli miejsca ppłk. Goltz, szef sztabu Bacha, i mjr. Fischer.

Na wstępie wręczyliśmy pismo gen. Bora-Komorowskiego w języku polskim i niemieckim, upoważniające nas do przeprowadzenia pertraktacji i podpisania umowy o złożeniu broni przez oddziały A.K. walczące w Warszawie.

Po przeczytaniu pisma, Bach widocznie podniecony, wstał i z przejęciem, starając się nadać chwili jak najbardziej uroczysty charakter, rozpoczął przemowę. Jego pierwsze słowa, *meine*

*Herren*, akcent jaki im nadał, miały specjalny wydźwięk. Dał wyraz przeświadczeniu o zdolnościach dowódczych gen. Bora-Komorowskiego, o bitności powstańców, o słuszności decyzji złożenia broni, co uwolni ludność od okropności jakie musiałyby zastosować, gdyby walka miała trwać dłużej.

Gdy usiadł, nie dopuszczając tłumacza do głosu, rozwijał dalej swe myśli, pełne nieukrytego triumfu.

— A jednak ja miałem rację — ciągnął dalej — nikt w moim sztabie ani dowództwie armii, a zwłaszcza w Berlinie nie wierzył, że może dojść do rozmów kapitulacyjnych. Dopiero przed chwilą miałem rozmowę telefoniczną z moimi przełożonymi, którzy nazywają mnie z tego powodu «niepoprawnym optymistą». Ostrzegali mnie, że nawet gdyby gen. Bór przysłał delegatów, będzie to jeszcze jeden podstęp Polaków i gra na zwłokę. Chociaż odosobniony w mej opinii, wierzyłem jednak w wasz zdewotowany rozsądek. Sytuacja wasza, którą znam dobrze — jest beznadziejna — a na pomoc Rokossowskiego nie macie co liczyć. Niemiecki front jest zrekonstruowany i nie da się przełamać, toteż obecna linia frontu osiągnięta przez bolszewików jest kresem ich powodzeń.

Nastąpił potem wywód o strategii Führera, o korzyściach ze skrócenia frontu i możliwościach manewru, jakie stwarza linia Wisły i położenie Prus Wschodnich. Padły aluzje o klęsce bolszewików na tej linii w 1920 r. Było jednak wyraźne, że Bach z pewną troską patrzy w przyszłość i zdaje sobie sprawę z ciężkich chwil, jakie czekają jeszcze III Rzeszę. Niemniej wyraził nadzieję, że naród niemiecki potrafi wykrzesać potrzebne siły do tej ostatecznej rozgrywki, wsparty potężnym potencjałem technicznym. Dawał do zrozumienia, że niezależnie od używanej już na froncie zachodnim strasznej *Neue Waffe* — mają w zapasie jeszcze inne, skuteczniejsze środki.

Po tym wstępnym oświadczeniu, Bach przeprosił za przerwę, ale musi zawiadomić dowódcę armii i Reichsführera Himmlera o wszczęciu pertraktacji. Polecił połączyć się telefonicznie i rozmawiał w naszej obecności.

Wracając do przerwanej tematu oświadczył, że jeszcze raz ostrzeżono go, by przedwcześnie nie przesądzał wyniku pertraktacji, gdyż bowiem bolszewicy rozpoczęli natarcie, Polacy zerwają porozumienie i podejmą walkę. Musi więc uprzedzić nas, że ma rozkaz doprowadzenia do jak najszybszego złożenia broni przez powstańców. Wobec tego wzywa nas, byśmy się zastanowili, jakie koncesje możemy uczynić nałychmiast, by dać dowód dobrej woli, że nie zamierzamy walki prowadzić dłużej.

Wyjaśnił wagę tego zagadnienia dla dowódcy armii. Opór Warszawy jest cierniem we froncie niemieckim, co ogranicza swobodę działania. Komunikacje, biegnące przez miasto a znajdujące się w polskim posiadaniu, są potrzebne dla przegrupowania wojsk i dowozu zaopatrzenia. Artyleria nie ma na tym odcinku dogodnych stanowisk dla wykonania zadań przeciwko celom, położonym na przeciwnym brzegu Wisły. Znaczna

część sił niemieckich jest związana walką z A.K. Toteż dążeniem dowódcy armii jest usunięcie tego ciężnia z frontu niemieckiego jak najszybciej. — Oczekuje więc odpowiedzi na swe propozycje udzielenia koncesji przez stronę polską.

Zbędne było przyznawanie Bachowi, że z punktu widzenia operacyjnego, ma zupełną rację. Nie mogłem też potwierdzać, że w razie uderzenia sowieckiego podejmiemy walkę na pewno, o ile broń będzie jeszcze wówczas w naszym ręku.

Świadomość tragizmu naszego położenia tak silnie ciężącego nad nami, podczas przemówienia Bacha, występowała jeszcze wyraźniej.

Tak, na pewno, gdyby tylko bolszewicy zechcieli nam do-pomóc, podejmiemy znowu walkę. Połączymy się w niej z jed-nym z naszych wrogów obecnie silniejszym, o którym wiemy, że dąży do zawładnięcia Krajem, przeciw drugiemu, którego dni panowania są już policzone.

Ta tragiczna niekonsekwencja miała jednak swą nieubłaganą logikę. Cały Kraj stał niezachwianie na stanowisku walki do końca z Niemcami. Trwając w postawie czynnej od 5-ciu lat, Armia Krajowa przygotowywała się przez cały ten czas do ostatecznego zrywu, mającego własnym wysiłkiem uwolnić kraj od najeźdźców w końcowej fazie wojny. Ta ostateczna walka byłaby podjęta w dogodnej dla nas chwili niezależnie od tego, gdzie wówczas znajdowałyby się armie sowieckie. Zachowaliśmy lojalną postawę wobec sprzymierzonych, również i wobec Rosji, będącej w tym obozie od czerwca 1941 r., pomimo zerwania przez nią stosunków dyplomatycznych z Polską w kwietniu 1943 r. W konsekwencji tej postawy, na całej prze-strzeni kraju, począwszy od wschodnich granic Rzplitej, z chwilą wycofywania się Niemców przed wkraczającymi woj-skami rosyjskimi, Armia Krajowa, wykonując tzw. akcję «Burza», uderzała na Niemców. Gdy armie rosyjskie stanęły u wrót Warszawy, A.K. podjęła walkę o oswobodzenie. Znałem elementy tej decyzji. Wiedziałem, że walka ta była nie do uniknięcia. Powodzenie jej zależało od tego, czy armie rosyjskie przyłączą się do niej. Toczyliśmy ją przez 63 dni do ostatecznego wyczerpania na oczach i w zasięgu lotnictwa i artylerii rosyjskiej — osamotnieni. Siły, znajdujące się po drugiej stronie Wisły, należały do tego samego obozu sprzymierzonych. Cel wojskowy był wspólny, jednak nie on zadecydował o zachowaniu się armii rosyjskich nad Wisłą. Te wrogie nam cele polityczne Rosji skazały Warszawę na żagładę. Własnymi siłami nie byliśmy już w stanie toczyć walki dłużej, a wówczas zbyt wiele znaliśmy elementów, by liczyć na zmianę wrogiej nam postawy Moskwy i przyjsie nam z pomocą.

Rejestrowanie wydarzeń dało nam taki oto obraz: W ciągu czerwcowej i lipcowej ofensywy sowieckiej zostały rozbite cztery armie niemieckie na Białorusi i nad Bugiem. Front niemiecki był w strzępach od Prus Wschodnich do Karpat.

Armie sowieckie, jeszcze nie wyczerpane, po przebyciu od

Bugu, w niespełna dwa tygodnie zaledwie 200 klm, stojące od dwóch miesięcy na kilku przedmościach na zachodnim brzegu Wisły i nad Wisłoką — miały otwartą drogę na zachód.

Już od wielu miesięcy śledziliśmy tę grę szczególnie jaskrawą od chwili wybuchu powstania.

Znaliśmy ataki propagandy sowieckiej na A.K.

W zamkniętej wokół Warszawy otrzymywaliśmy meldunki radiowe o rozbrajaniu oddziałów, o podstępnym aresztowaniu i wywożeniu do Rosji sztabów A.K. z Wilna, ze Lwowa i z Lublina. Następowo to natychmiast po spotkaniu z oddziałami sowieckimi i po wykorzystaniu pomocy taktycznej A.K. na polu walki; rozbrajali też oddziały A.K. spieszące na pomoc Warszawie.

Dostawaliśmy meldunki, że na łachach piaszczystych Rembertowa i Zielonki — Niemcy i bolszewicy, będąc oddaleni od siebie w ciągu kilku tygodni na odległość strzału karabinowego — zażywali w spokoju kąpeli słonecznych. Na froncie nad Wisłą, żołnierze obu stron walczących kapali się w rzecze u swych brzegów, nie czyniąc sobie wzajemnie żadnej krzywdy. Znamienne było zachowanie się lotnictwa sowieckiego, przedtem bardzo czynnego, które od chwili wybuchu powstania aż do połowy września, tj. rozpoczęcia natarcia sowieckiego na Pragę — zniknęło całkowicie znad Warszawy. Mieliśmy przykłady łatwego przekroczenia Wisły przez jeden z batalionów armii Berlinga pod Czerniakowem i innego z armii sowieckiej pod Bielanami.

Cóż więc wstrzymywało bolszewików od ruszenia na zachód lub przynajmniej udzielenia Warszawie taktycznej pomocy? czego tak bardzo obawiał się Bach.

Czy niemiecki generał miał wyczucie położenia i czy rozu-miał że bolszewicy przesadzili los Warszawy? A przecież z bez-czynności nie będą musieli tłumaczyć się przed nikim. Zbyt wielkie byłoby na świecie wrażenie, gdyby rozbrajali i likwidowali powstańców i dowództwo A.K. w Warszawie. Na to można było sobie pozwolić w Wilnie i we Lwowie. Dla likwidacji Warszawy było przecież lepsze wyjście. Stolicę i zamknięte w niej siły A.K. wraz z dowództwem lepiej pozostawić na pastwę Niemców, choćby z chwilową stratą celów operacyjnych, a mogli oczekiwać, że Niemcy uporają się z nią w ciągu kilku dni.

Czy tę grę rozumiał niemiecki generał? Czy wiedział, że jak dotąd najlepszym puklerzem dla frontu niemieckiego nad Wisłą jest opór powstańczej Warszawy? Twierdził jednak, że Warszawa jest ciężniem we froncie niemieckim. Czyż powstanie nie było skuteczniejszym hamulcem dla ruchu sowieckiego na zachód, aniżeli odporność frontu niemieckiego tak przeceniana przez Bacha?

Ale myślami tymi nie mogłem dzielić się z Bachem, gdyż nie był to temat do omawiania z tego rodzaju rozmową. Tymcza-

sem miałem postawione trudne pytanie, na które trzeba było udzielić odpowiedzi.

Poprosiłem Bacha o wyjaśnienie o jakie koncesje chodzi. Odpowiedział, że dowództwo niemieckie zadowolilo się natychmiastowym wydaniem całego posiadanego zapasu amunicji oraz rozebraniem wszystkich barykad, ponadto muszą być zaraz wydani wszyscy jeńcy i osoby przynależności niemieckiej.

Z przeprowadzonych przed chwilą rozmów telefonicznych i z ostatniego żądania Bacha zorientowałem się, że przeciwnik będzie stawiał bardzo krótkie terminy. Miałem zaś zlecenie gen. Montera, że wymarsz może nastąpić najwcześniej 4 października, jest jednak tak wiele czynności likwidacyjnych, że termin złożenia broni trzeba jak najbardziej opóźnić. Znając przeciwnika, było dla mnie oczywiste, że można przyjąć tylko takie warunki, które zapewnią pełną gotowość bojową do ostatniej chwili, a jeszcze nie miałem gwarancji, czy nasze stanowisko będzie uznane przez stronę przeciwną i czy wogóle dojdzie do podpisania umowy.

Gra niemiecka, zmierzająca do natychmiastowego obezwładnienia nas, była wyraźna. Mając przeciwko sobie najrozmaitsze oddziały narodowościowe oraz jednostki rekrutujące się ze zbrodniarzy jak brygada Dürlewangera, można było obawiać się prowokacji, uderzenia niemieckiego i masakry, gdybyśmy dopuścili do jakiegokolwiek choćby częściowego rozbrojenia nas. Oczekiwałem, że na tym tle dojdzie do batalii z Bachem, a nie zdawałem sobie jeszcze sprawy do jakiego stopnia okaże się ustępliwy.

Aby odsunąć pertraktacje na ten wrażliwy temat oświadczyłem, że dopóki nie zostaną uzgodnione podstawowe zasady, nie możemy przyjmować jakiegokolwiek zobowiązań, które wytrącałyby nam broń z ręki. Zasady te z kolei wyłuszczyliśmy i dopiero wówczas, gdy będą one przyjęte przez obie strony, można przystąpić do omawiania szczegółów.

Bach nie upierał się przy swym żądaniu i wyraził zgodę, by wprzód omówić ogólne zasady umowy. Pragnie jednak jeszcze przed wystąpieniem do właściwego tematu wyjaśnić jeden incydent, którym jest zafrapowany, a nie umie go sobie wytłumaczyć. Mianowicie, według jego twierdzenia, poprzedniego wieczoru, dokładnie z wybięciem godz. 20-tej, tj. jednocześnie z wpływem obowiązującego w ciągu dnia zawieszenia broni, miało się rozpocząć natarcie polskie na odcinku ul. Złotej i Żelaznej. Nie rozumie co by to miało znaczyć? Czyżby strona polska liczyła, że w tej właśnie krytycznej chwili uda się jej zaskoczyć Niemców? czy miała to być brawura? jak to pogodzić z faktem, że już przecie o tej porze było zapowiedziane wszczęcie pertraktacji na dzień następny. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak zarządzić koncentrację ognia artylerii na zagrożonym odcinku. Poznaliśmy chyba siłę ognia jaką rozporządza, toteż wiemy, że potrafi tłumić w zarodku wszelkie, podobne polskie

zakusy. Do rozmowy włączali się ppłk. Goltz i mjr. Fischer i każdy z nich dorzucał swe uwagi.

W czasie wspomnianej koncentracji ognia, zresztą o natężeniu nie nołowanym podczas powstania, znajdowałem się w Kwaterze Głównej gen. Montera. Gen. Monter wyjaśnił wówczas z dowódcami odcinków, że artyleria niemiecka otworzyła ogień bez żadnego powodu ze strony polskiej i w czasie całego incydentu, trwającego około jednej godziny, oddziały A.K. nie oddały ani jednego strzału. Ocenialiśmy, że była to ze strony niemieckiej chęć wykazania potęgi ognia i gotowości do działania na Śródmieście, z tym samym chęć skruszenia nas przed rozmowami, jakie miały się rozpocząć następnego dnia.

Zgodnie z tym stanem rzeczy złożyłem Bachowi oświadczenie, że strona polska nie tylko nie przedsięwzięła żadnych kroków zaczepnych, ale nawet nie padł spoza naszych barykad ani jeden strzał. Bach nie podtrzymał już zarzutów, ale na tym tle wywiązała się wymiana zdań, przy tym Bach wyjaśnił, że był zmuszony do wydania rozkazu otwarcia ognia artylerii na skutek żądań piechoty. Starając się złagodzić znaczenie incydentu w sposób dość obrazowy, podawał przykłady jak to czasem piechota, chcąc mieć spokój, nadużywa osłony ognia artylerii.

Rozmowa przeciągała się a temat zasadniczy nie został jeszcze rozpoczęty. Dopiero wezwanie telefoniczne z adiutantury Hitlera przerwało dyskusję. Bach zameldował o trwających pertraktacjach i prowadził bardzo serdeczną rozmowę, jak się później pochwalili, z jednym z oficerów Kwatery Gł. Hitlera — Vegeleinem.

Czy to przynaglony rozmową telefoniczną, czy też po zorientowaniu się, że czas upływa, zaproponował, abyśmy zajęli się pertraktacjami.

Zgodnie z propozycją zadaliśmy kilka kolejnych zapytań przygotowanych przedtem jako podstawowe zasady, których zapewnienia mieliśmy się domagać. Pytania te odczytywał z przywiezionego przez nas tekstu por. Sas.

Pierwsze pytanie brzmiało: w czyim imieniu Bach występuje? Nie rozumiał pytania i prosił o wyjaśnienie. Wyjaśnięm, iż wiemy że jest on generałem SS, organizacji podległej bezpośrednio władzom partyjnym a nie wojskowym. Dlatego chcemy wiedzieć jaka jest władza którą reprezentuje, gdyż uzależnimy od tego nasze stanowisko.

Oświadczenie to wywołało na twarzy Bacha zdziwienie.

Po zastanowieniu się oświadczył, że wiemy chyba, iż jest on na tym odcinku najstarszym generałem dowodzącym wojskami niemieckimi, a nie jest istotne dla omawianej sprawy, jaka jest wewnętrzna struktura dowództw niemieckich. Dla usunięcia jednak naszych wątpliwości nie ukrywa, że ma na tym odcinku specjalne pełnomocnictwa od Himmlera, udzielone mu za wiedzą Hitlera. Odnośnie naszych zastrzeżeń co do SS wdał się w dłuższy wywód na temat tej organizacji, jej przynależność orga-

nizacyjnej, udziału w życiu państwa i na polach bitew. Wyjaśnił nam różnicę pomiędzy SS a Waffen SS.

Po obszernym omówieniu tematu, przeszedł do wyjaśnień jego podległości. Stwierdził, że jego przełożonym jest dowódca armii. Bach występuje w jego imieniu i za umowę Wehrmacht bierze pełną odpowiedzialność. Uznając to wyjaśnienie za wystarczające poleciłem por. Sasowi odczytać następne pytanie. Czy Bach potwierdza, że żołnierze A.K. zostali uznani przez rząd niemiecki za kombatantów i czy będą mieli zapewnione wszelkie prawa zgodnie z konwencją genewską z dnia 27. VIII. 1929 roku?

Bach potwierdził uznanie A.K. za kombatantów i rozwdził się długo nad tym, że uznanie jest jego zasługą. Specjalnie w tym celu udawał się do Kwatery Gł. i osobiście przekonał Hitlera. Możemy być również pewni o los jeńców wziętych do niewoli na Mokotowie i na Żoliborzu, gdyż wszyscy jeńcy z Warszawy będą tak samo traktowani jak inni jeńcy z armii sprzymierzonych.

Wyraziłem opinię, że w moim rozumieniu uznanie A.K. za kombatantów dotyczy wszystkich oddziałów A.K. na terenie całej Polski, a nie tylko walczących w Warszawie. Bach udzielił odpowiedzi wymijającej. Prosiłem powtórnie o wyraźne zajęcie stanowiska, gdyż jego interpretacja jest ważna dla gen. Bora jako dowódcy całej A.K. Wówczas Bach przyznał, że uznanie A.K. za kombatantów dotyczy całej Polski. Zastrzegł się jednak, że umowa którą mamy zawierać nie może precyzować nic takiego, co by wykraczało poza jego zainteresowania jako dowódcy obszaru Warszawy (*Kampfgebiet Warschau*).

Następne z kolei nasze oświadczenie domagało się zapewnienia, że nikt z walczących w Warszawie z podziemnej administracji oraz ludności miasta nie będzie pociągany do odpowiedzialności indywidualnej ani zbiorowej przez władze niemieckie za żadną działalność przeciwko państwu niemieckiemu, przejawioną począwszy od 1. IX. 1939 r. do chwili obecnej.

Bach uznał nasze żądania za możliwe do przyjęcia i zgodził się na umieszczenie w umowie odpowiedniego zapewnienia.

Ostatnim naszym żądaniem było, by ludność była traktowana humanitarnie i by polskie organizacje charytatywne miały pełną swobodę działalności. Prosiłem o udzielenie na to wyraźnych gwarancji, bowiem dotychczasowe postępowanie z ludnością dało tak tragiczne doświadczenie, że mamy poważne obawy, czy podobne wypadki się nie powtórzą.

Bach ożywił się bardzo przy tym temacie, z jego zachowania i gestów, gdyż miał temperament i reagował wyraźnie, widać było, że ma coś ważnego do zakomunikowania. Zastrzegł się przeciwko wprowadzeniu do umowy jakichkolwiek punktów wykraczających poza problemy czysto wojskowe a dotyczące kompetencji władz administracji cywilnej. Niemniej zagadnienie ewakuacji ludności nie jest mu obce i należy do jego zakresu

Stwierdził, że Warszawa musi być ewakuowana, że musi to

nastąpić w teminie szybszym niż pierwotnie przewidywał, gdyż takie jest stanowisko dowództwa armii. Zaproponował, byśmy temat ten potraktowali oddzielnie i nie mieszały z zagadnieniami wojskowymi. Zdaje sobie sprawę jak ciężki jest los ludności, ma w tej sprawie własne propozycje i omówi je w odpowiednim punkcie pertraktacji.

Wstrzymaliśmy się wobec tego z wyluszczeniem naszego stanowiska do czasu omawiania tej sprawy.

To były ogólne zasady, których uznanie chcieliśmy mieć zapewnione przez stronę przeciwną i uzyskaliśmy je z wyjątkiem żądania Delegata Rządu pozostawienia ludności w mieście. Pozostałe postanowienia opracowanej przez nas umowy były już mniejszej wagi, z których można było ustępować zaleźnie od nacisku strony przeciwnej. Oświadczyłem więc, że możemy przystąpić do precyzowania i formułowania poszczególnych punktów. Wówczas Bach, podkreślając do jakiego stopnia był ustępliwy wobec naszych żądań oświadczył, że zanim przystąpimy do dalszej pracy, wymieni swoje warunki. Oczekuje przy tym takiej dobrej woli, jaką on okazał przy uznawaniu naszego stanowiska. Ponawia więc swoje poprzednie żądanie tj.: natychmiastowe wydanie amunicji, rozebranie barykad i wydanie jeńców.

Złożyłem wówczas oświadczenie, że pierwsze dwa warunki są dla nas nie do przyjęcia. Rozpoczęła się wzajemna, zawzięta argumentacja dla ułożenia powyższych warunków. Broniełem się przed przyjęciem dwóch pierwszych, zgodnie z powodami przytoczonymi powyżej. Odnośnie wydania amunicji oświadczyłem, że możemy to zrobić dopiero bezpośrednio przed złożeniem broni. Argumentowałem, że zaciętość obu stron walczących jest napięta do najwyższych granic. Żołnierz A.K. przez 2 miesiące obserwował i przeżywał na własnej skórze najbardziej wyrafinowane okrucieństwa oddziałów narodowościowych walczących po stronie niemieckiej, toteż nie traktuje ich jak żołnierzy lecz jak barbarzyńców. Wzajemna nienawiść nosi już wyraźne cechy zbiorowego urazu. W żadnym wypadku nie będziemy gotowi do wymarszu w ciągu dnia 3-go października. Jeżeli wydanie amunicji miałyby nastąpić natychmiast, to do wymarszu pozostałoby jeszcze około 2 doby. W tym czasie żołnierz A.K. miałby stać bezbronny wobec przeciwnika, o którego zbrodniczych instynktach jest głęboko przeświadczony. Dla żołnierza polskiego wytworzyłaby się sytuacja nie do zniesienia. Pomimo, że dowództwo A.K. bierze pełną odpowiedzialność za dyscyplinę swych oddziałów i wypełnienie przez nie przyjętych przez dowództwo zobowiązań, to jednak w tych warunkach nie może zapewnić, że żołnierz wyda posiadaną amunicję bez reszty. Każdy strzał ze strony polskiej po wydaniu amunicji byłby zerwaniem umowy i mógłby otworzyć stronie niemieckiej drogę do represji, której konsekwencje pomimo naszej najlepszej woli, byłyby nieobliczalne. W mieście poza oddziałami A.K. są i inne organizacje, nie można więc wykluczyć jakiejś prowokacji, za

którą dowództwo A.K. nie byłoby odpowiedzialne. Gdybyśmy więc zgodzili się na ten warunek, to przyjmowalibyśmy świadomie zobowiązanie nadzwyczaj śliskie i niebezpieczne, czego nie wolno nam robić. Możemy bowiem podpisać tylko taką umowę, której wypełnienia w całej rozciągłości będziemy pewni. Żądaniem więc wycofania warunku, gdyż jest nie do przyjęcia.

Bach jednak nie został przekonany. Powrócił do wspomnianego zalecenia, otrzymanego od dowództwa armii. Wyjaśnił, że jakkolwiek nie spodziewają się obecnie uderzenia sowieckiego, niemniej jednak muszą być na nie przygotowani w każdej chwili. Toteż dowódca armii chce mieć pewność, że w tym wypadku strona polska nie będzie już mogła interweniować. Wydanie amunicji byłoby jedyną dostateczną gwarancją i dlatego nie może od tego żądania odstąpić.

Oświadczyłem, że wobec przeciwnika, który chciałby Niemców wyprowadzić w pole, gwarancja ta byłaby problematyczna. Nie chcemy jednak uciekać się do żadnych podstępów i umowę pragniemy zawierać lojalnie. Niemcy nie wiedzą przecież, jakimi запасami amunicji rozporządzamy, musieliby więc zadowolić się każdą wydaną im ilością, a w krytycznym momencie mogłoby się okazać, że coś tam jeszcze pozostało. Zresztą gdyby chodziło o zaopatrzenie mas już nawet po wydaniu amunicji, to zrzuć jej z powietrza przez lotnictwo sowieckie nie przedstawia specjalnych trudności. Uważam więc warunek ten, jak też i gwarancję w nim zawartą za nieistotne dla strony niemieckiej a nie do przyjęcia przez nas. Postawiłem więc żądanie wycofania tego warunku, gdyż nie możemy go przyjąć i pertraktacje musiałyby utknąć na martwym punkcie.

Bach odpowiedział, że nie wyobraża sobie byśmy mieli przy wychodzeniu z miasta przekraczać niemiecką linię bojową z bronią i amunicją. Na takie rozwiązanie nie może się zgodzić a złożenie broni musi się odbyć poza stanowiskami, zajmowanymi obecnie przez A.K.

Wyjaśniliśmy, że amunicja może być złożona w kilku punktach miasta w ostatniej chwili przed wymarszem, po czym będzie wydana władzom niemieckim.

Ostatnie argumenty musiały trafić Bachowi do przekonania, zastanowił się, a po chwili powrócił do tematu, ale już tonem mniej stanowczym. Oświadczył, że nie możemy przecie odmówić mu słuszności, iż chciałby wyeliminować możliwość interwencji polskiej w wypadku natarcia sowieckiego. Jeżeli więc wzbieramy się przed wydaniem amunicji, to może znalazłoby się inne rozwiązanie. Kontynuując, co było już raczej głośnym myśleniem a nie wyraźną propozycją, Bach w sposób dość zawily snuł jakąś niedopowiedzianą myśl. Wynikało z tego, że gdyby gen. Bór zobowiązał się być neutralnym w wypadku uderzenia sowieckiego, to Bach mógłby się tym zadowolić.

Nie chcąc podejmować tak śliskiego tematu, chociaż nasuwała się wyraźnie negatywna odpowiedź, a nie mogąc pozostawić wypowiedzi Bacha bez określenia naszego stanowiska — oświad-

czyłem, że omawianie zagadnienia w tej płaszczyźnie przekracza nasze pełnomocnictwa i nie więcej nie mamy do powiedzenia na ten temat.

— A jednak muszą być zapewnione gwarancje, nakazane przez dowódcę armii — upierał się zawzięcie Bach. Odstępuje od żądania natychmiastowego wydania amunicji, ale zastrzega sobie wyciągnięcie odpowiednich konsekwencji, gdyby przy wymarszu z miasta amunicja została znaleziona w oddziałach lub przy pojedynczych żołnierzach. W zamian za to ustępstwo żąda jednak następujących koncesji: zwolnienia przez oddziały A.K. i obsadzenia przez oddziały niemieckie ul. Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich na całej długości, ponadto rozebrania wszystkich barykad w części miasta zajętej przez powstańców. Uzasadniał to potrzebą łatwiejszej komunikacji dla przerzucania wzdłuż frontu odwodów i artylerii w wypadku natarcia sowieckiego.

Na żaden z tych warunków nie można się było zgodzić. Rozebranie barykad było fizyczną niemożliwością, gdyż wymagałoby kilkudniowej pracy przez całą załogę. Ponadto przy słabości naszego uzbrojenia barykady decydowały o odporności obrony, a było dla nas istotne, by zachować obronność do ostatniej chwili. Rozmieszczenie oddziałów niemieckich wewnątrz naszego ugrupowania, do czego sprowadzono się oddanie Niemcom dwóch najważniejszych arterii — groziło fatalnymi następstwami wobec zaciętości obu stron i obezwładniało by nas całkowicie.

Po dłuższej argumentacji potrafiliśmy w końcu przekonać Bacha, że oba te warunki są nierealne, gdyż usunięcia barykad nie da się skutecznie w czasie a użycie arterii komunikacyjnych jest niemożliwe na skutek zniszczeń i gruzów. Bach stanowczo napierał, by z naszej strony był jakikolwiek natychmiastowy przejaw dobrej woli, że pertraktacje mają widoki na doprowadzenie do zaprzestania walki, gdyż jest to potrzebne dla przekonania dowódcy Armii.

W rezultacie doszliśmy do porozumienia, że rozeberzemy czołową barykadę, najbliższą linii niemieckich na każdym kierunku wyprowadzającym z miasta co miało być aktem symbolicznym a prace miały być rozpoczęte od godz. 8.00 następnego dnia.

Ten warunek można było przyjąć, gdyż na każdym z kierunków było kilka kolejnych barykad a umieszczone głębiej były przeważnie solidniej budowane aniżeli czołowe, toteż obronność nie wiele na tym ucierpi.

Broniąc się przed naciskami Bacha mieliśmy pełną świadomość, że jesteśmy w sytuacji bez wyjścia i że przeciwnik może nam narzucić najbardziej krępujące warunki. Niemniej nie można było dopuścić, byśmy przez rozebranie barykad lub złożenie broni, względnie wydanie amunicji oddawali się na łaskę i niełaskę Niemców, pozostając potem przez jakiś czas w mieście. Gdyby bowiem w międzyczasie nastąpiło uderzenie

sowieckie, znaleźlibyśmy się pomiędzy dwiema walczącymi liniami, które zmiądzłyby nas bez reszty. Motywu tego nie wysuwałem wobec Bacha, ale było to najistotniejszym powodem dla którego nie wolno było dopuścić do przedwczesnego rozbrojenia.

Co do ostatniego warunku Bacha nie było z naszej strony zastrzeżeń i przyjęliśmy zobowiązanie, że do godz. 24,00 dnia 2 października zostaną wydani przez stronę polską wszyscy jeńcy wojenni. Zaznaczyliśmy tylko, że bardzo znaczna ilość Niemców już po dostaniu się w masę ręce, zginęła od bomb i pocisków niemieckich. W samym tylko kinie Hollywood, gdzie był punkt zborny jeńców, zginęło ich około 100 podczas zbombardowania tego domu przez Sztukasy. Bach odparł, że nie może mieć do nas pretensji, zresztą ze zdobytych na Starówce polskich rozkazów wie, iż nakazywały one traktowanie Niemców zgodnie z postanowieniami umów międzynarodowych. Dodał przy tym, że fakt ten był brany pod uwagę przez czynniki niemieckie przy pobieraniu decyzji przyznania A.K. praw kombatanckich.

Z kolei Bach wniósł na porządek dzienny sprawę terminu złożenia broń i zażądał, by to nastąpiło w godzinach rannych dnia 3-go października. Wobec zleceń gen. Montera terminu tego nie można było przyjąć. Tłumaczyłem, że jest on nie realny a przeprowadzona kalkulacja potwierdziła to. Gdy omawialiśmy to zagadnienie było już po godzinie 11-ej. Uzasadniałem, że zanim tekst umowy zostanie sformułowany i przepisany upływie jeszcze kilka godzin, tak więc wcześniej niż późnym wieczorem nie dojedziemy do Warszawy. Przy stanie środków łączności jakimi rozporządza polskie dowództwo i wobec trudności komunikacyjnych w mieście — rozkazodawstwo wymaga kilku godzin — tak, że nie wiadomo, czy rozkazy doszłyby na czas na odcinki bojowe. Są zresztą takie jeszcze czynności jak rozebranie czołowych barykad. Uwzględniając to wszystko nawet wymarsz 4-go października dla całości sił jest nie do przyjęcia. Zaproponowałem więc termin 5-go października, lub najwcześniej godziny wieczorne dnia 4 października.

Bach w żaden sposób nie chciał przystać na to a możliwość wymarszu w godzinach wieczornych odrzucił zdecydowanie. Jeszcze raz powołał się na wiążące go żądanie dowódcy armii i dzień 4 października uznał za ostateczną datę możliwą do przyjęcia.

My ze swej strony motywując wychodzeniem z miasta ludności cywilnej co blokuje ruch na ulicach będących jednym rumowiskiem, trudnościami rozkazodawczymi oraz faktem, że dysponujemy żołnierzem powstańczym, nie reprezentującym tej wartości co regularny — przekonaliśmy Bacha i doszliśmy do porozumienia, że wymarsz nastąpi w dwóch etapach. Dnia 4 października w godzinach rannych opuści miasto jeden pułk,

względnie trzy baony z różnych pułków, a w godzinach rannych 5 października wyruszy reszta sił.

W ten sposób obroniliśmy postulat gen. Montera i główne zręby umowy zostały ustalone, co z kolei należało sformułować.

Zaproponowałem, byśmy sformułowanie oparli o tekst przywieziony przez nas. Bach wyraził zdziwienie, że poza omawianymi, ogólnymi zasadami mamy bardziej szczegółowy materiał, nie sprzeciwił się jednak postępowaniu naszym tekstem wobec oczywistego zysku na czasie, jaki zapowiadała ta technika pracy. Dla nas miała ona praktyczne znaczenie, gdyż w ten sposób można było narzucić stronie przeciwnej całą masę nasyższych postulatów i sformułowań wcześniej przemyślanych i przepracowanych. Przyjęliśmy następującą technikę: por. Sas czytał w języku polskim poszczególne postanowienia, a tłumacz Bacha tłumaczył je na język niemiecki, po czym dyskutowaliśmy każde z nich.

Zaraz przy pierwszym punkcie Bach wniósł zgoda nie oczekiwany problem. Stał na stanowisku, że w jego rozumieniu gen. Bór, będąc dowódcą Polskich Sił Zbrojnych w Kraju i układając się z nim występuje w imieniu całej A. K. Wobec tego zaprzestanie walki dotyczy całego Kraju a nie tylko Warszawy i to zapatrywanie starał się nam narzucić. Używał najrozmaitszych argumentów, zresztą nie przekonujących, m. i. wysuwał nawet takie, które poprzednio sam nie bardzo uznawał jak przyznanie praw kombatanckich dla całej A. K. itp.

Ale pojawiła się też i zgoda inna nuta; snuł jak i poprzednio bardzo rozległe rozważania. Przyznał się, że jakkolwiek jest generałem, ale polityka zawsze go pasjonowała. Zresztą wojna nie jest przecież prowadzona sama dla siebie, jest tylko narzędziem polityki a na jego szczeblu trzeba myśleć i działać politycznie. Toteż zarówno problem Powstania Warszawskiego jak i obecne stosunki polsko-niemieckie trzeba rozpatrywać na szerszej platformie. Co do Warszawy chciał od samego początku rozwiązać konflikt na innej drobce. Robił wiele wysiłków, starał się parokrotnie o nawiązanie kontaktu z dowództwem powstania i uzyskanie porozumienia. Niestety używał do tego swych podkomendnych o wojskowym, zbyt sztywnym ujmowaniu zagadnienia co nie mogło dać rezultatu. Był bardzo niezadowolony ze sposobu jaki stosował gen. Röhr, gdy na jego zlecenie z początkiem września zainicjował z dowództwem polskim rozmowy o zaprzestanie walk. Bach, nauczony doświadczeniem, postanowił inaczej podejść do tego problemu i wziął w swe ręce kierownictwo porozumienia. Obecne stadium rozmów wskazuje mu, że w jednym z ognisk walki dojdzie do jej zaprzestania. Ale to jeszcze nie rozwiązuje całości problemu, walka pomiędzy siłami polskimi i niemieckimi toczy się na terenie całego kraju. Konflikt ten nie ma sensu. Nie neguje, że polityka niemiecka w stosunku do Polski była fałszywa od początku wojny. Polska ma też pod tym względem

pewne grzechy, ale nigdy nie jest za późno dla naprawienia błędów. Niemcy próbowali parokrotnie w poprzednich latach porozumienia z polskim ruchem podziemnym, ale dowództwo A. K. było zawsze nieprzejednane. W międzyczasie jednak położenie na arenie międzynarodowej gruntownie się zmieniło, więc i Polska dzisiaj wobec bezpośredniego niebezpieczeństwa sowieckiego powinna zrewidować swoje stanowisko. Zresztą jest przekonany, że i Anglosasi już się orientują, jak groźnego konia trojańskiego wprowadzają do swego przymierza. Ciągąca od wschodu zaraza może być katastrofą dla całego świata i dla jego kultury. Nikt tego niebezpieczeństwa nie rozumie tak dobrze jak Polska i Niemcy. Jest tragicznym nieporozumieniem, że jeden z reprezentujących tę kulturę narodów, stojący na jej straży, jest atakowany przez koalicję, w której skład wchodzi największy wróg tej kultury. Ten układ sił uważa on za przejściowy i wierzy, że zbliża się już chwila, kiedy świat zachodni zrozumie swój błąd i przeciwstawi się zalewowi idącemu od wschodu. Jest zaś oczywiste, że tylko w oparciu o Niemcy możliwe jest jakiegokolwiek działanie przeciw Rosji. Ma głęboką wiarę, że wkrótce już znajdziemy się ramię w ramię na polu walki przeciwko wspólnemu wrogowi. Nie widzi więc powodów byśmy mieli dłużej toczyć walkę, i tak, jak zaprzestajemy jej w Warszawie powinniśmy ją zakończyć w całej Polsce.

Nie miałem zamiaru wdawania się w dyskusję z Bachem i podejmowania tematu. Według jego twierdzenia czuł się miarodajnym do stawiania problemu na platformie politycznej, ja jednak nie miałem do tego upoważnienia, ani przygotowania.

Słuchając jego wywodów grupowałem sobie tylko w myśli argumenty za i przeciw dla skontrolowania naszego postępowania.

Oferta Bacha spóźniona była co najmniej o kilka lat. Wobec zaś doświadczeń wieloletniego sąsiedztwa a szczególnie polityki niemieckiej w stosunku do Polski podczas ostatniej wojny — brzmiała zarówno obłudnie i fałszywie jak i mało przekonująco.

Było jasne, jakie skutki mogło pociągnąć za sobą przyjęcie propozycji. Jakżeż chętnie widzieliby bolszewicy nasze przejście do obozu hitlerowskiego a przecież nad wepchnięciem nas do niego pracowali usilnie wszelkimi możliwymi sposobami. Jakżeż szalałaby propaganda sowiecka na cały świat mając tak oczywisty żer. Bolszewicy mieliby dopiero wówczas uzasadnienie dla swych eksterminacyjnych planów, które pomimo naszej przynależności do obozu sprzymierzonych, realizowali bez skrępowań. Cały wkład w wojnę i wszystkie nasze ofiary byłyby wobec sprzymierzonych przekreślone za jednym zamachem. Polityczne konsekwencje takiego kroku byłyby nieobliczalne.

Obecny przykład kuszenia nas przez Bacha nasuwał przy-

puszczenie, że nastąpią dalsze wysiłki, by wciągnąć nas w tę pułapkę. Znając nastawienie całego niemal społeczeństwa, władz naczelnych w Londynie i w Kraju było jasne, że ani kunszt dyplomatyczny Bacha ani żadne inne zabiegi postawy tej nie zmieniają. Rzeczywistość tak silnie przemawiała przeciwko tej koncepcji, że propozycja nie była groźna, niemniej nie było potrzeby tłumaczenia Bachowi, że wysiłki jego są bez żadnych widoków.

Aby przeciąć rozmowę na ten temat i nie dać się wciągnąć w dyskusję, oświadczyłem, że czytałem przecież masze pełnomocnictwa w przywiezionym przez nas piśmie od gen. Bora. Zakres naszego pełnomocnictwa jest tam wyraźnie określony, toteż nie podejmiemy wymiany zdań odbiegających od niego. Ponieważ jest nim umowa o zaprzestanie walk w Warszawie więc możemy omawiać tylko ten temat, a co do zakończenia działań w innych częściach Kraju nie jesteśmy upoważnieni do zabierania głosu.

Bach przyznał zupełną rację i prostował, że porusza to zagadnienie nie dlatego, byśmy mieli włączyć je do naszych pertraktacji, przecież rozumie się to samo przez się. Uważa jednak, że tak ważnego aktu jakiego mamy dokonać — zakończenia wstrząsającej tragedii stolicy — nie można traktować w oderwaniu od rzeczywistości. Polscy delegaci są niewątpliwie starszymi oficerami sztabu A. K. skoro gen. Bór zlecił im tak odpowiedzialne zadanie, muszą więc podobnie jak on myśleć politycznie. Wprawdzie decyzje w tej płaszczyźnie nie zależą zarówno od niego, gdy chodzi o stronę niemiecką jak i od nas, gdy chodzi o stronę polską, ale przecież przed decyzją zbiera się elementy. Od tego są sztaby by je przygotować, będzie więc pożyteczne, gdy poznamy jego opinię. Nie jest to zresztą tylko jego opinia, reprezentuje on bowiem pewien kierunek w niemieckiej polityce wschodniej, gdyż i temu zagadnieniu poświęcał się od lat. Będzie z korzyścią gdy poznamy jakie są prądy w pewnych kierowniczych ośrodkach niemieckich.

Odpartem, że dobrze jest znać jak najwięcej elementów, niestety nie mogę odwzajemnić się ze swej strony żadną miarodajną polską opinią, nie mam bowiem do jej wypowiedzania żadnego tytułu.

Po tym incydencie przeszliśmy do dalszego formułowania umowy.

Punkty 1, 2 i 3 I-ej części umowy, wynikające z poprzedniej dyskusji nie budziły poważniejszej wątpliwości i zostały przyjęte w brzmieniu przez nas proponowanym. Pewne tylko fragmenty wywołały nieco dłuższą wymianę zdań. Mianowicie przy ustaleniu godziny początkowej zawieszenia działań, Bach zaproponował godzinę 16.00 lub 17.00. Było jednak widoczne, że do tej pory nie zdążyliśmy wykonać wszystkich czynności związanych ze sporządzeniem umowy. Tłumaczyliśmy więc, że trzeba ustalić godzinę późniejszą, gdyż umowa nie może obo-



wiązywać przed jej podpisaniem. Bach upierał się przy godzinie wcześniejszej, dopiero ppłk. Goltz przeważył szalę meldując mu, że jego aparat kancelaryjny nie będzie w stanie zdążyć na tę porę. Nie mają maszyny z czcionkami polskimi i są dopiero robione starania wyszukania jej. Zresztą i tak do godziny 20.00 obowiązuje zawieszenie broni, więc ta godzina będzie najodpowiedniejsza, jako początkowa dla zawieranej umowy. W rezultacie przyjęliśmy godzinę 21.00 czasu polskiego tj. 20.00 czasu niemieckiego.

Ponadto ustapiliśmy Bachowi zmieniając przygotowane przez nas sformułowanie. Mianowicie słowo Warszawa było w każdym wypadku poprzedzane określeniem «stołeczne miasto». Nalegał na nas, byśmy opuścili określenie «stołeczne miasto», gdyż trudne jest do przetłumaczenia na język niemiecki. Obstawaliśmy jednak by wobec tego pozostało ono w tekście polskim. Przyznał się wówczas, że są inne względy, które nim kierują. Starając się rozbroić nasz upór i apelując do naszej dobrej woli przekonywał nas, że jest to przecież sprawa mała dla nas istotna. Miałby zaś z tego powodu nieprzyjemności z administracją cywilną. Gubernator Frank jest bardzo czuły na tym punkcie, uważa on, że obecnie Kraków jest siedzibą władz. Bach miałby z nim na pewno ostrą przeprawę na ten temat a i tak ma wiele kłopotów z administracją cywilną w związku z ewakuacją ludności. Wzywa nas więc byśmy zrezygnowali z tego określenia na korzyść innych ważniejszych względów, jak właśnie los ludności. Mając ustępstwa Bacha w innych zasadniczych naszych żądaniach ustapiliśmy mu w tym punkcie.

Ustalając brzmienie punktu 1-go wyjaśniliśmy, że sformułowanie nasze:

*«za oddziały wojskowe uważa się wszystkie polskie formacje podległe taktycznie d-cy A. K. w okresie walk od 1. 8. 1944 r. do dnia podpisania układu»*

rozumiemy, iż umowa obejmuje również walczące oddziały NSZ, PAL i AL.

Na wspomnienie AL i PAL Bach zrobił grymas. Wyraził coś w rodzaju zdziwienia, że zajmujemy się zagadnieniem, które powinno znaleźć zgoła inne rozwiązanie. Dokonał próby, czy nie zrezygnowalibyśmy z tego punktu, ale wobec naszego zdecydowania uznał to żądanie i pomimo wyraźnych oporów wewnętrznych, zgodził się na umieszczenie w umowie punktu przyznającego przez stronę niemiecką praw kombatanckich dla wszystkich organizacji walczących w Warszawie.

Treść następnych punktów do 9-go włącznie była ogólnie uzgodniona poprzednio więc i sformułowanie przygotowane przez nas nie nastroczało rozbieżności i zostało przyjęte. Dopiero punkt 10-ty spowodował bardzo ożywioną, długotrwałą wymianę zdań.

Z poprzedniego oświadczenia Bacha dowiedzieliśmy się, że Niemcy obstają przy ewakuacji ludności. Liczyliśmy się bardzo poważnie z podobną decyzją, gdyż mieliśmy już taką zapowiedź, toteż podczas narad w dowództwie A. K. Delegat Rządu polecił przeciwdziałać temu wszelkimi środkami. Zgodnie z tym, gdy los ludności wszedł na porządek dzienny obrad, nalegaliśmy, by ewakuacja dotyczyła tylko tych mieszkańców, który dobrowolnie zechcą miasto opuścić a reszta by mogła pozostać.

Ppłk. Bogustawski i por Sas wnieśli się do rozmowy i przytaczali wiele przykładów okrucieństw wobec ludności przez oddziały narodowościowe. Żądaliśmy poprawienia warunków w obozie przejściowym w Pruszkowie.

Bach nie negował wypadków okrucieństw oświadczył jednak, że nie może uwzględnić żądania pozostawienia ludności gdyż ma kategoryczny rozkaz usunięcia wszystkich mieszkańców i że decyzja nie jest od niego zależna. Warszawa leży przecież w pierwszej linii bojowej, nieprzyjaciół jest na odległość strzału karabinowego. We wszystkich podobnych wypadkach Niemcy stosują tę zasadę, toteż nasze wysiłki nie są w stanie zmienić decyzji.

Zrobił przy tym wycieczkę pod adresem władz polskich, że przez podjęcie walki w mieście narażono ludność a teraz żąda się od przeciwników humanitarnego jej traktowania. W warunkach walki nie jest to przecież łatwe a teraz troska ta spada na jego barki. Pragnie nas zapewnić, że przykładą wielką wagę do właściwego traktowania ludności. Aparat administracyjny Rzeszy w związku z nasileniem bombardowań alianckich ma już sporo doświadczeń w tej dziedzinie. Bach korzysta z nich, gdyż kazał sobie nadesłać odpowiednie materiały. Wprowadzić na taką skalę nie było to jeszcze nigdy praktykowane, ale na przykładzie Warszawy pragnie opracować najodpowiedniejszą metodę. Będzie to wzór jak należy organizować podobne przedsięwzięcia, co może się przydać na przyszłość. Wymienił władze, które powołał do współpracy, jak administrację cywilną, koleje, transport samochodowy i konny, służbę zdrowia itp. Rozwodził się długo nad tym, jakie opracował sposoby funkcjonowania tego rozległego aparatu, co jednak nie może być przedmiotem umowy.

Nie chce się chwalić, ale już wiele dokonał by ulżyć losowi ludności. Za okrucieństwa wobec mieszkańców oddał pod sąd gen. Kamińskiego, dowódcę brygady własowców, został on skazany na śmierć a brygada rozwiązana. Najistotniejszym dla losu ludności było zmodyfikowanie planu zdobycia Warszawy, który był przygotowany przed objęciem dowództwa przez Bacha. Plan ten przewidywał spalenie miasta przez masowe użycie bomb zapalających. Na przykładzie spalenia Hamburga i innych miast niemieckich, podczas nalotów lotnictwa sprzymierzonych zostało dowiedzione, że w mieście nie można się oprzeć żywiołowi ognia. Przy zastosowaniu tego środka

cała ludność Warszawy wraz z wojskiem byłaby wykurzona jak lisy z jamy.

Replikowaliśmy, że przecież podczas walk w Warszawie ogień był stosowany w niespotykanej skali pod najrozmaitszymi postaciami, jak właśnie lotnicze bomby zapalające, pociski zapalające ze wszystkich rodzajów broni palnej i wszystkie inne możliwe środki używane przez oddziały podpalaczy. Jeżeli więc Niemcy zarzucili taktykę palenia to chyba dlatego, że miasto jest jedną ruiną i nie ma już nic co by się nadawało do podpalenia.

Doszło znowu do wymiany ocen na ten temat, jednak żadna ze stron nie została przekonana. Było przy tym widoczne, że Bachowi zależało by zmienić naszą opinię. Utrzymywał, że jeżeli tak jest jak my twierdzimy, to w każdym razie nie on jest za to odpowiedzialny, gdyż palenie miało miejsce w pierwszych dniach powstania a on objął dowództwo 8 sierpnia (1). Na tym tle spotkała go nawet bardzo dotkliwa krzywda i ma pretensje do polskiej służby informacyjnej. Oto w komunikacie BBC został ogłoszony na czołowym miejscu listy zbrodniarzy wojennych jako jeden z podpalaczy Warszawy. A przecież strona polska powinna mieć dane o jego osobie. W jego żyłach płynie też i krew słowiańska, gdyż wywodzi się po kądzieli z rodziny polskiej. Zawsze był ustosobiony bardzo przychylnie do Polaków, toteż trudno mu się pogodzić z krzywdą, jaka go spotkała.

W usprawiedliwieniu Bacha znaleźliśmy potwierdzenie, że zestawienie przez nas i ogłoszenie przez BBC listy zbrodniarzy wojennych winnych spalenia Warszawy odniosło właściwy skutek.

Próbowaliśmy jeszcze przekonać Bacha by ludność mogła w mieście pozostać, nie dało się jednak uzyskać jego zgody. Widać było zresztą, że przekracza to jego kompetencje. Zgodził się tylko, by został wprowadzony do umowy ogólny punkt odnośnie traktowania ludności. Ponieważ jednak umowa ma mieć charakter ściśle wojskowy, więc szczegóły miały być przez niego oddzielnie ustalone z PCK. Wymogliśmy ponadto na nim, że do przedstawicielstwa PCK będzie wydelegowany oficer z dowództwa A. K., który odejdzie do obozu jeńców dopiero po skończeniu ewakuacji. Będzie on łącznikiem do wojskowych władz niemieckich i dopilnuje odnośnego punktu umowy.

Ponadto Bach wniósł dodatkową własną propozycję. Motywował, że do czasu zakończenia ewakuacji ludności pragnąłby

(1) To oświadczenie Bacha złożone wówczas wobec polskiej delegacji jest zgodnie potwierdzone przez autora relacji i kpt. Sasa. Jest ono sprzeczne z zeznaniami Bacha złożonymi w Norymberdze przed Trybunałem Międzynarodowym. Przed Trybunałem zeznawał on że przybył pod Warszawę około 15.8. Jednak i b. gubernator Fischer zeznając przed sądem polskim w Warszawie oświadczył, że będąc dn. 8.8. w pałacu Blanka w Warszawie rozmawiał telefonicznie z gen. v. d. Bachem, który tego dnia objął dowództwo wojsk niemieckich walczących w Warszawie. (Patrz książka: «Zburzenie Warszawy» oraz sprawozdanie z procesu gub. Fischera).

zabezpieczyć spokój i bezpieczeństwo w mieście, toteż uważa za wskazane pozostawienie w Warszawie drobnego polskiego oddziału. Miałby on pełnić coś w rodzaju służby policyjnej i w tym celu zatrzymałby broń do chwili odejścia do obozu jeńców.

Propozycja ta zaskoczyła nas. Można było mieć obawy czy nie kryje ona jakichś innych zamiarów, zwłaszcza po ostatnich politycznych wynurzeniach Bacha. Było możliwe, że Niemcy zechcą wywierać na ten oddział podobny nacisk, jakiego przedsmak mieliśmy przed chwilą. Było to o tyle niepożądane, że pozostawiony sam bez kierownictwa starszych oficerów, mógłby dać się wplątać w sprytnie prowadzoną grę. Z drugiej jednak strony posiadanie nawet drobnego zbrojnego oddziału w mieście do czasu zakończenia ewakuacji dawało zapewnienie, że Niemcy nie dopuszczą się zbyt gwałtownych ekscesów wobec ludności. Przez odpowiedni zaś dobór żołnierzy w oddziale można było ustrzec się przed niebezpieczeństwem użycia go do jakiejś niepożądanej gry.

Oceniwszy argumenty za i przeciw zgodziłem się na tę propozycję zastrzegając, że dowódcą oddziału będzie starszy oficer sztabowy i oddział ten nie będzie starszy od batalionu. Uważałem, że baon jest minimalną jednostką jaką w tych warunkach można pozostawić do tak eksponowanego zadania. Żądanie nasze zostało przyjęte jako obowiązujące obie strony, chociaż nie zostało umieszczone w tekście.

Brzmienie punktu 10-go przygotowanego przez nas uległo dodatkowej modyfikacji. Między innymi punkt ten przewidywał, że Niemcy będą miasto oszczędzać. Bach zastrzegł się, że jest to żądanie nie do przyjęcia. Motywował, że nie może tego zapewnić, gdyż miasto leży w zasięgu artylerii sowieckiej. Gdyby przyjął to zobowiązanie to musiałby za nie odpowiadać, a kto zaręczy czy artyleria sowiecka nie dokona dalszych zniszczeń. Trudno jest rozróżnić czy pocisk, niemiecki czy też sowiecki uczynił daną szkodę. Zobowiązanie takie krepowałoby dowódcę niemieckiego odpowiedzialnego za odcinek a rozumiemy, że w czasie walki względy oszczędzania dóbr odgrywają rolę drugorzędną.

Nie chciał ustąpić przed naszymi kontrargumentami, wreszcie zgodził się tylko na pozostawienie zobowiązania ułatwienia ewakuacji dóbr kościelnych i kulturalnych co zostało wniesione do umowy.

Ponadto na żądanie Bacha został wprowadzony punkt dodatkowy, przez nas nie przewidziany. Chodziło mu o to, by przez pozostawienie trzech oficerów łącznikowych ułatwić regulowanie spraw wynikających z umowy jak ewakuacja ludności, dóbr kulturalnych itp.

Twierdził, że nie uznaje polskich podziemnych władz administracyjnych i dlatego nawet przy załatwieniu spraw poza wojskowych woli posługiwać się oficerami. Było nam to na rękę i chętnie przyjęliśmy jego propozycję.

W ten sposób wyczerpalimy przygotowaną przez nas 1-szą część umowy, zawierającą najistotniejsze dla nas postanowienia (1).

W międzyczasie Bach wzywany był do telefonu przez gen. Köllnera, dowódcę dywizji panc. SS Viking, biorącej udział w natarciu na Żolibórz, oraz przez dowództwo armii dokąd meldował o przebiegu pertraktacji.

Wymieniając ważniejsze, uzgodnione postanowienia umowy, zobowiązanie nasze rozbierania czołowych barykad od godz. 8-ej następnego dnia podkreślił jako jedno z pozytywniejszych i dających dostateczną gwarancję osiągnięć. Dwukrotnie wychodził do sąsiednich pokojów wzywany w pilnej sprawie przez oficera sztabu oraz sam zamawiał rozmowę telefoniczną z instancją nazywaną kryptonimem, którego nie znaleźmy. Rozmowę tę przeprowadzał z telefonu znajdującego się w innym pokoju.

W miarę posuwania się pertraktacji stawał się coraz rozmowniejszy i upajał się własną swadą. Kazał podać kanapki i kawę, zachwalał że jest prawdziwa i że pochodzi ze zrzutów amerykańskich, które wpadły w ręce niemieckie, pojawił się na stole i jakiś alkohol.

Wyrażał całą masę komplementów pod adresem oddziałów A. K. i ich dowódców zarówno Żoliborza jak i Mokotowa, ich postawy, zachowania oraz bitności. Pewny siebie reagował bardzo żywo i miał bardzo charakterystyczną mimikę, dzięki czemu można było rozpoznać jego nastawienie do poszczególnych zagadnień.

Ze sposobu stawiania sprawy zorientowałem się, że Bachowi względnie Niemcom zależy na tym, by nie doprowadzić do zerwania pertraktacji i na tej drodze uzyskać zakończenie walki. Można więc było naciągać strunę przy stawianiu żądań a naciski niemieckie parować.

Pod koniec, z zachowania się Bacha i z łatwego ustępstwa odnośnie terminu złożenia broni, co stawał początkowo bardzo stanowczo, poznałem, że rozmowy przeprowadzone w międzyczasie na boku wniosły mowy jakiś problem, którym jest on poruszony i że ustępstwo to zrobił na rzecz nowych jakichś okoliczności. Widać było, że coś nieoczekiwanego ma jeszcze w zanadru. Wobec przyjętych zobowiązań rozbrania barykad i wydania jeńców w dość krótkim terminie oraz wyczerpania i uzgodnienia najistotniejszych postanowień, chciałem wcześniej o tym uprzedzić gen. Bora i zameldować o stanie pertraktacji. Zawiadomiłem więc Bacha, że zamierzam wysłać do Warszawy ppłk. Zyndrama i prosiłem o środki lokomocji. Powstała wątpliwość czy ppłk. Zyndram ma zabrać ze sobą ogólnie ustalone zasady sformułowane jako umowa wstępna, której postanowienia miałyby być już obowiązujące. Doszliśmy

(1) Kolejność tematów omawianych podczas pertraktacji nie została zachowana wiernie przy ostatecznym formułowaniu umowy i zostały one ugrupowane w tekście umowy tak, jak logicznie wiązały się ze sobą.

jednak do wniosku, że formułowanie trwałoby zbyt długo wobec czego ma tylko złożyć gen. Borowi ustny meldunek a umowa zostanie sporządzona później jako jedna całość. Bach wydał mjr. Fischerowi odpowiednie zlecenie i polecił mu towarzyszyć w drodze do linii bojowej. Wyraził zadowolenie, że będzie mógł przez ppłk. Zyndrama przesłać wcześniej gen. Borowi pewne propozycje.

Ze zwykłą mu swadą, jakby czekając na tę okazję, podjął rozmowę na temat gen. Bora. Nie szczędząc mu uznania wyrażał podziw, że mógł tak długo działać z ukrycia i że tak wspólnie przygotował swą armię podziemną. Wspomnił, że gen. Köllner, d-ca dyw. panc. S S Viking oraz oficer sztabu Kwatery Głównej Hitlera Vegelein znają gen. Bora, z międzynarodowych konkursów hippicznych oraz z 1-ej wojny światowej z armii austriackiej i dużo mu o nim opowiadali. Bach bardzo pragnie poznać generała. Ubolewał, że generał znosi te ciężkie warunki oblężenia. Wie, że odczuwamy dotkliwy brak żywności, chciałby wobec tego ulżyć mu i proponuje, aby generał jaknajszybciej, skoro tylko wyda niezbędne rozkazy, jeszcze dzisiaj przybył do jego Kwatery Głównej. Bach przygotowuje obok wygodną willę i odda ją do dyspozycji generała, by mógł wypocząć po trudach walki.

Zwrócił się do nas, że jako podkomendni musimy być dumni z wyróżnienia generała i spoglądając na nas badawczo starał się uzyskać nasze oświadczenie. Nawiązywał oczywiście do ogłoszonej ostatnio przez BBC nominacji gen. Bora na Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych. Używał różnych sposobów by nas sprowokować na wyznanie, zapewne chciał wy badać, czy już o tym wiemy. Znaleźmy tę wiadomość już przedtem z depe sz szyfrowych z Londynu, udawaliśmy jednak, że nie wiemy o co chodzi.

Nie mogąc uzyskać naszego przyznania się, a łącząc z tym faktem jakieś zamiary, przeszedł już otwarcie do omawiania tego wydarzenia. Przyznał się przy tym, że dopiero przed chwilą zakomunikowano mu tę wiadomość. Starał się ocenić znaczenie nominacji i tak, jak czynił to już poprzednio, rozwijał głośno swe myśli. Pytania, jakie w to wplatał starając się dojść powodów i sedna rzeczy, pozostawały z naszej strony bez odpowiedzi. Ciekawiło go jaki jest cel nominacji, przecież generał nie będzie miał możliwości dowodzenia. Co może się kryć poza nią, jeśli została nadana w takich okolicznościach w przeddzień kapitulacji. Wysiadał jakieś mało prawdopodobne przypuszczenia co do dymisji gen. Sosnkowskiego.

W rozważaniach jego wyczuwać się dawała obawa, czy akt ten nie skłoni gen. Bora do podjęcia wysiłków celem uniknięcia niewoli, by objąć dowództwo.

Był już czas dla ppłk. Zyndrama by udać się w drogę a Bach snuł dalej swe rozważania; zabiło mu to widać tegoż klina.

Wyjaśniły mi się wówczas gorączkowe poprzednie telefony,

wezwanie w pilnej sprawie przez oficera sztabu i poruszenie Bacha. Zapewne wobec obaw jakie go nurtowały, wolałby, aby gen. Bór był w willi obok pod dobrą jego strażą, aniżeli pośród swego wojska w Warszawie. A nie wiadomo, może gen. Bór korzystając z opuszczenia miasta przez ludność, jest już poza zasięgiem władzy Bacha, w drodze do Londynu.

Fakt niepokoju Bacha ułatwił nam w znacznym stopniu końcowe pertraktacje, a niewątpliwie szanse A. K. znacznie wzrosły w jego oczach.

Nie obciążony żadnymi wątpliwościami, bo znałem już stanowisko gen. Bora w tej sprawie, mogłem spokojnie poświęcić się aktualnemu zadaniu, toteż przypomniałem Bachowi, że chciałbym by ppłk. Zyndram odjechał. — Bach jeszcze raz powtórzył gorące zaproszenie dla gen. Bora i ppłk. Zyndram po otrzymaniu ode mnie wskazówek, odjechał w towarzystwie mjr. Fischera.

Powróciliśmy do pertraktacji. W części II-giej umowy, na propozycję Bacha, zostały wprowadzone sankcje w punkcie 3-cim na wypadek gdyby nie został wypełniony przez stronę polską warunek rozebrania w terminie czołowych barykad.

Pozostałe punkty były zgodnie przyjmowane z pewnymi poprawkami, odbiegającymi nieznacznie od brzmienia przez nas przygotowanego. Dopiero przy punkcie 10-tym doszło do podniecającego starcia.

Tekst przez nas opracowany zawierał zastrzeżenie, że strona niemiecka zapewni, iż przy składaniu broni oraz z udziału w eskortowaniu i ochronie żołnierzy, A. K. będą wykluczone niemieckie oddziały SS i narodowościowe. Tę powtórna naszą wycieczkę pod adresem SS i brakiem zaufania do tej organizacji Bach, przynależny do niej, poczuł się boleśnie dotknięty. Wyraził gorycz i żal, nie ukrywał oburzenia, że na jednej płaszczyźnie stawiamy oddziały SS i narodowościowe. Dał do zrozumienia, że jest to nietakt w stosunku do jego osoby, gdyż nosi on przecież mundur tej organizacji. Ironizował, że może sami wybierzemy sobie innego generała niemieckiego, z którym chcielibyśmy prowadzić pertraktacje. Z początku przeciwstawiał się stanowczo, później jednak zaczął wycofywać się zwolna pozostawiając nam inicjatywę wyrzeczenia się żądania. Byłem skłonny wyrzec się zastrzeżeń odnośnie SS a obstawać przy wykluczeniu oddziałów narodowościowych. Trzeba było jednak wpięrować uzasadnić nasze żądania, a przez zrezygnowanie z niego zdobyć atut ustępliwości. Bach bowiem robił stale aluzje na temat jego dobrej woli a naszej nieustępliwości. Do rozmowy wmieszali się jednak ppłk. Bogusławski i por. Sas przytaczając Bachowi całą masę argumentów uzasadniających nasze żądania. Doszło do wymiany zdań, przy tym Bach, wobec argumentów nie do odparcia, był w wyraźnej defensywie. Gdy nasza racja została wykazana bezspornie a pozostała tylko urażona godność Bacha — wmieszalem się do rozmowy i oświadczyłem, że rezygnujemy z naszego żądania odnośnie wykluczenia

czenia S S, natomiast chcemy, by pozostało zastrzeżenie co do oddziałów narodowościowych. Ale i na tę propozycję Bach się nie zgadzał, gdyż urażałoby to godność tych oddziałów. Zaproponował, by nie wymieniać ani oddziałów SS ani narodowościowych lecz ująć ten punkt w ten sposób, że eskortę i ochronę mają pełnić jednostki Wehrmachtu. Dając Bachowi do zrozumienia, że oddziały narodowościowe nie zasługują na stawianie w obronie ich żołnierskiej godności obstawaliśmy przy naszym żądaniu. Bach nie znajdując dostatecznie przekonujących argumentów uległ i zgodził się na umieszczenie w umowie zastrzeżenia wykluczającego oddziały narodowościowe z ochrony i eskortowania żołnierzy A. K.

Dobrze już po godzinie 14-ej, a więc po sześciu godzinach pracy zostało zakończone ustalanie zasad i formułowanie umowy. Bach wyraził pogląd, że jesteśmy chyba zadowoleni z jej brzmienia, gdyż więcej dobrej woli i ustępliwości nie mógłby okazać.

Spożyliśmy w sali jadalnej posiłek składający się z jednego dania «Eintopfgericht», biszkoptów i czarnej kawy, po czym przystąpiono do dalszej pracy uzgodnienia tekstów polskiego i niemieckiego oraz przepisania na czysto. Umówiliśmy się, że wezmą w tym udział ze strony niemieckiej ppłk. Goltz i tłumacz Bacha, a ze strony polskiej ppłk. Bogusławski i por. Sas. Por. Sas zaproponował jeszcze tekst wstępu przedtem nie uzgodnionego tak jak jest on ujęty w umowie. Po wyrażeniu pewnych wątpliwości i po ociąganiu się, Bach wyraził zgodę na nasze sformułowanie.

Przeznaceni do dalszej pracy powrócili do jadalni, Bach i ja pozostaliśmy w saloniku i podjęliśmy rozmowę.

Język niemiecki znałem na tyle, że rozumiałem dobrze, nie mówiłem jednak płynnie, rozmówcą więc był właściwie tylko Bach. Mówił dużo, bez przerwy i widać było, że bardzo lubi, gdy go ktoś słucha. Od czasu do czasu ppłk. Goltz i ppłk. Bogusławski przerywali nam, prosząc o wyjaśnienie wątpliwych lub spornych sformułowań.

Gama tematów poruszanych przez Bacha była nadzwyczaj rozległa, wojskowe, polityczne, osobiste, fragmenty z powstania itp. Wszystkich nie sposób spamiętać, nie wszystkie jednakowo interesujące ale naświetlały i charakteryzowały sylwetkę rozmówcy bardzo wyraźnie.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć niektóre tematy, gdyż Bach był głównym aktorem jednej z największych tragedii Kraju z ostatniej wojny. Może więc dobrze będzie utrwalić je według jego własnych wynurzeń. Żywość umysłu i temperament Bacha powodowały, że zmieniał on często temat rozmowy, wracając do niego po chwili. Dlatego też zarówno przy pertraktacjach jak i w rozmowie te same tematy bywały po kilkakroć na porządku dziennym.

Odtwarzając bieg wydarzeń po upływie lat nie można pomimo postęgiwania się notatkami z tych czasów odtworzyć ściśle

kolejności wypowiedzi Bacha. Chociaż są one ugrupowane tematami niezależnie od tego, w jakiej porze dnia i w jakich okolicznościach były wypowiedzane, niemniej oddają możliwie najwierniej zapatrywania Bacha na różne zagadnienia.

Bach urodził się na wsi pod Tczewem. Matka jego była Polką. Osierocony we wczesnym dzieciństwie nie pamięta rodziców. Wychowany był przez księdza Polaka, proboszcza jednej z wiejskich parafii, pobliskiej jego miejsca urodzenia. Okres ten wspomina z głębokim wzruszeniem, pamięta jeszcze z tego czasu kilka polskich słów i pieśni kościelnych, które zacytował. W jego interpretacji brzmiało to niezupełnie po polsku, ale zrozumiale: «Niek bendzie pokwalony Jezas Krystas» i strofka jednej z pieśni niesporowych. Wdzięczność do wychowawcy zaszczepiła w nim, trwający do dnia dzisiejszego, głęboki szacunek dla stanu duchownego. Chcąc spłacić zaciągnięty dług, starał się na każdym kroku pomagać księżom. Miał wiele okazji po temu w czasie ostatniej wojny, toteż wyratował od śmierci wielu księży polskich, w tym jednego w Kowlu z narażeniem własnego życia, gdy jako dowódca załogi był tam otoczony przez bolszewików w ciągu kilku tygodni.

Jako młody chłopiec wstąpił do Korpusu Kadetów. Chrząst ogniowy przeszedł w pierwszej wojnie światowej na froncie wschodnim na ziemiach polskich. Wkrótce potem przeniesiony na front zachodni pozostał tam do końca wojny. Jego pocztowym osobistym był Polak, nazywał się Stępień, pochodził z Krotoszyna, znacznie starszy wiekiem od Bacha. Przez długi czas dzielili wspólnie dolę żołnierską. Stępień był bardzo troskliwy i uważał się za opiekuna swego młodego porucznika. To następne, bliskie współżycie z Polakiem pozostawiło u Bacha również bardzo miłe wspomnienie. Zadzierżnęli bardzo serdeczne więzy, objaw zrozumiały na tle wspólnych przeżyć wojennych. Bach twierdził, że pozwoliło mu to poznać psychologię Polaków.

Po przegranej niemieckiej w 1918 r., Bach wstąpił do ochotniczych oddziałów niemieckich, walczących w poznańskim przeciwko odrodzonej Armii Polskiej. Dziwnym zbiegiem okoliczności przydzielono mu odcinek na kierunku Krotoszyna. Po paru dniach dowiedział się od jeńców, że dowódcą oddziałów polskich walczących po przeciwnej stronie jest jego dawny pocztowy Stępień, z którym został się zaledwie przed kilku tygodniami. Bach postanowił porozumieć się z nim i na międzypolu na tyłce umieścić kartkę odpowiednio zaadresowaną, zawiadamiając o swej obecności. Bach nie otrzymał odpowiedzi, ale jak się później dowiedział, jego dawny współtowarzysz frontowy opuścił stanowisko na własną prośbę i przeniósł się na inny odcinek. Odchodząc miał wyznać kolegom, że wobec przeżyć jakie go łączyły z Bachem nie może walczyć przeciwko niemu.

Bach brał również udział w obu powstaniach Górnośląskich, walcząc w składzie ochotniczych oddziałów niemieckich. Z

tego czasu pamięta zetknięcie się z Hallerczykami. Nie cenili ich jednak tak wysoko jak powstanców Śląskich i Wielkopolskich. Był wówczas młody i lubił kawały, zakładał się z kolegami, że dostarczy karabin francuski, w które uzbrojone były oddziały polskie. Parokrotnie udało mu się wygrać zakład przez podcożganie się i bądź wykradzenie lub rozbrojenie znieznaka polskich wartowników.

W tym okresie poznał dobrze problem wschodni i poświęcał mu później wiele zainteresowań, tym więcej, że osiedlił się na wschodzie Rzeszy. On też był pierwszym dowódcą policji i S S na Górnym Śląsku po zajęciu tych terenów przez Niemców 1939 r.

Stosunki polskie studiował i wydaje mu się, że zna je dobrze.

Wogóle polityką zajmował się więcej niż wojskiem. Przez ostatnich kilka lat przed wojną był posłem do Parlamentu Rzeszy. W ruchu narodowo-socjalistycznym brał udział od jego zarania. Wówczas to poznał życie konspiracyjne. Przed 1933 r. partia była tępiona, szczególnie czynniejsi jej członkowie. Bach należał do tej kategorii i był przez długi czas poszukiwany przez policję i musiał się ukrywać. Dzięki tym przeżyciom rozumie dobrze psychikę uczestników polskiego ruchu podziemnego. On też musiał pokryjomu skradać się w nocy do własnego domu, by co jakiś czas zobaczyć żonę i dzieci. Wreszcie został pochwycony, zasądzony na dwa lata więzienia i tylko dzięki amnestii uniknął odsiadki całej kary.

Sprawnością organizacyjną, powszechnością i siłą polskiego ruchu podziemnego jest zaskoczony. Nigdy nie przypuszczał, że można stworzyć w konspiracji podobnie działający mechanizm. Potacy mają tę zdolność we krwi a okoliczności zabarów jeszcze je pogłębiły. Czego jednak nie może zrozumieć, to możliwości wyszkolenia w konspiracji dobrego żołnierza, a jednak A. K. dokonała tego. Żołnierz powstańczy w niczym nie ustępuje na polu walki najlepszemu żołnierzowi regularnemu. Jest zdumiony celnością polskich strzelców wyborowych, ich strzały są niezawodne, toteż byli oni postrachem oddziałów niemieckich, a sztuka strzelania to jeden z najtrudniejszych przedmiotów szkolenia.

Osiągnięcia polskiego ruchu podziemnego wystawiają dosadne świadectwo dla sprawności Gestapo, według niego organizacji przereklamowanej.

Szczególnie interesującym dla Bacha był udział kobiet w ruchu podziemnym, toteż postanowił zgłębić ten problem. W tym celu wydał rozkaz by każda wzięta do niewoli kobieta-żołnierz była mu przedstawiona. Przesłuchał ich osobiście kilkadziesiąt. Chciał poznać zagadnienie od strony psychologicznej i zbadać, jakie skutki pozostawiają te przeżycia w psychice kobiety.

Wyraził zdziwienie, że władze polskie godziły się na bezpośredni udział kobiet w walce. Starał się zbadać jakiego

rodzaju typ kobiety skłonny jest do takiego rodzaju roli, to też wzięte do niewoli z bronią w rękę przesłuchiwał szczególnie troskliwie. Wydaje mu się, że okropności towarzyszące nowoczesnej walce paczą psychikę kobiety. Jest zdania, że doktryna narodowo-socjalistyczna rozwiązała to zagadnienie dobrze i że rola kobiety w życiu narodu i państwa została w Niemczech właściwie określona. Jeżeli zaś chodzi o udział kobiet w walce, to dalej jak poza służbę pomocniczą nie należy się posuwać. Spotykał jeńców kobiety walczące w szeregach armii sowieckiej, budziły w nim odrazę, zatracaly kobiecość całkowicie a zdziczenie ich przewyższało te cechy u żołnierzy sowieckich. Podobne masowe przeżycia kobiet, gdy później przejdą do roli matki, nie mogą pozostać bez wpływu na kształtowanie się psychiki przyszłego pokolenia. Pomimo że w zasadzie jest przeciwny udziałowi kobiet w walce, jednak kobiety żołnierze A. K. budziły w nim podziw. Ich patriotyzm, postawa i odwaga są godne najwyższego uznania.

Wiele zjawisk jakie dawniej obserwowat w Polsce zrozumiał dopiero podczas walk w Warszawie. To, czego jest świadkiem, jak zaciętość obrony, zjednoczenie całego społeczeństwa, zdolność wytrwania przez tak długi okres z prymitywnym sprzętem uzbrojenia i zadziwiająca pogarda śmierci to — poza innymi czynnikami — jest w pewnej mierze wynikiem warunków okupacji. Te same czynniki kształtowały i postawę kobiety, ale bez zadatków i wrodzonych wartości nigdy nie zdobyłyby sobie tej pozycji. Sprawność ruchu podziemnego i obecna zaciętość walk, to wynik szarmonizowanego wysiłku, a byłby on trudny do osiągnięcia bez udziału kobiet. — Obserwacje te i wnioski były dla Bacha tak frapujące, że meldował je i miał na ten temat specjalny, osobisty referat u Hitlera.

Szczególne wrażenie zrobiła na Bachu jedna łączniczka-żołnierz A. K. Została wzięta do niewoli w nocy podczas przebijania się do Śródmieścia załogi jednego z otoczonych płatów miasta. Idąc dla nawiązania łączności we dwoje z oficerem A. K. zostali zaskoczeni przez patrol niemiecki. Po krótkiej walce oficer zginął, łączniczka broniła się do ostatniego naboju. Przedstawiona Bachowi do przesłuchania, zaimponowała mu postawą i odwagą. Gdy zapytał ją czy ma jakieś życzenia lub prośby, odparła, że ma tylko jedną: wydobyć się ma wolność, wrócić do Warszawy by móc dalej walczyć przeciwko Niemcom. Śmiałość jej wobec Bacha była zadziwiająca. Przesłuchwanie madzwyczaj interesujące wobec jej inteligentnych odpowiedzi trwało kilka godzin, nie zdradziła jednak żadnej, najmniejszej wiadomości wojskowej. Bach przyznaje, że pod tym względem kobiety wykazały znacznie większą odporność i powściągliwość aniżeli mężczyźni, nie poddawały się strachowi a i sprytem nie zawsze można było wydobyć wiadomości.

W tym czasie Bach zamierzał porozumieć się z dowództwem

powstania celem zaprzestania walki: Uważał, że przez parlamentarizmy niemieckich nie da się tego uzyskać, raczej ktoś spośród jeńców, żołnierzy A. K. nadawałby się do tej misji. Wydawało mu się, że łączniczka ta będzie odpowiednią, wobec jej inteligencji i patriotyzmu. Zaproponował jej, że wobec tego iż tak pragnie walczyć przeciwko Niemcom — on jej to ułatwi, może więc wrócić do Warszawy z listem do dowództwa A. K. Błysk w oczach dziewczyny wskazał mu, że propozycja spodobała jej się ale zastanowiła się i zapytała co jest treścią listu. Chcąc dalej eksperymentować, Bach odmówił jej wyjaśnienia wobec czego nie chciała się podjąć pośrednictwa. Pomimo nalegań i kuszenia jej, że przez odmowę zamyka sobie drogę powrotu do Warszawy i możliwości dalszej walki, kategorycznie odmówiła. Nie mogąc jej nakłonić, Bach wyjaśnił, że list zawiera propozycję porozumienia się i zaprzestania walki. Wywołało to oburzenie łączniczki, że chciał użyć ją do zadania tak poniżającego godność żołnierza. Nie pomogły tłumaczenia Bacha, że czyni to w najlepszej myśli, gdyż jest przekonany, że Warszawa i tak padnie wcześniej czy później a przez zaprzestanie walki zmniejszą się straty i cierpienia ludności. Żadne jednak argumenty nie pomogły i stanowczo oświadczyła, że za żadną cenę nie zrobi nic, co mogłoby osłabić wolę i odporność obrońców.

W rezultacie projekt spełził na niczym.

Bach nie znajdował słów uznania dla zachowania się łączniczki. Incydent poruszył go tym więcej, że fizycznie przedstawiała typ nadzwyczaj ujmujący, pełen kobiecości i była bardzo podobna do jednej z jego córek, przy tym opisał dokładnie sylwetki i wygląd obu dziewcząt. W tym miejscu Bach przejęty i podniecony opowiadaniem wyraził życzenie, że pragnąłby bardzo, by i z charakteru obie te dziewczęta były podobne do siebie. Jest dumny ze swej córki ale czy w podobnie skomplikowanych okolicznościach zachowałaby tak wysoką godność i czy potrafiłaby znaleźć wyjście z trudnej sytuacji z takim charakterem jak polska łączniczka?

Na wspomnienie rodziny wyjął z portfela fotografie żony i córek i z rozrzewnieniem pokazywał mi je, wymieniając imiona i podając szczegóły nie uwydatnione na zdjęciu.

Pod wieczór wrócił z Warszawy ppłk. Zyndram.

Bach z zainteresowaniem zapytywał, jak gen. Bór przyjął jego zaproszenie. Ppłk. Zyndram oświadczył, że gen. Bór dziękuje za nie. Nie skorzysta jednak, gdyż ma wiele czynności służbowych, nie chce opuścić żołnierzy, toteż wyruszy z Warszawy dopiero z nimi i podzieli ich los.

Bach wyraził żal, gdyż niezależnie od chęci stworzenia gen. Borowi wygodniejszych warunków, zamierzał poruszyć z nim wiele spraw dotyczących losu ludności. Toteż nie rezygnuje z zobaczenia gen. Bora jeszcze przed ostatecznym opuszczeniem Warszawy. Prosi więc, by po naszym przybyciu do dowództwa A. K. poprosić gen. Bora o przybycie do jego Kwatery Głównej

choć na kilka godzin dla omówienia spraw związanych z ewakuacją.

Bach przeprosił, że ma do załatwienia pilne sprawy i pozostawił nas samych. — Ppłk. Zyndram poinformował mnie, że gen. Bór nie ma żadnych zastrzeżeń do postanowień umowy i aprobuję je całkowicie. Poleca natomiast zażądać od Bacha wyjaśnienia w następującej sprawie.

Oto w porannym oficjalnym komentarzu do radiowego komunikatu niemieckiego Sztabu Generalnego była wzmianka o walkach stoczonych przez Niemców z «bandami A. K.» pod Żyrardowem. Jak więc pogodzić to skwalifikowanie A. K. z uznaniem jej za kombatantów.

Informacje ppłk. Zyndrama o przygnębiającym nastroju, jaki już w Warszawie wywołała wiadomość o toczących się pertraktacjach kapitulacyjnych, nie była zaskoczeniem. Pomimo beznadziejności dalszej walki — tego rodzaju reakcja — była do przewidzenia. Powtórzył mi też treść ostatnio otrzymanych depesz z Londynu od Prezydenta RP, Rządu RP i gen. Sosnkowskiego. W zamian zorientowałem ppłk. Zyndrama w przebiegu pertraktacji, odbytych pod jego nieobecność.

Po powrocie Bacha zażądałem, by wyjaśnił znaczenie radiowego komentarza niemieckiego. Wyraził obawę, że jest to jakieś nieporozumienie, okazałem mu wówczas nasłuch radiowy przywieziony przez ppłk. Zyndrama.

Bach oburzył się i zaczął pomstować i ciskać gromy na cały urząd propagandy. Pobiegł do telefonu znajdującego się na sąsiednim biurku i zamówił rozmowę z dowództwem armii, z wydziałem propagandy Sztabu Gen. i z Kwaterą Gł. Himmlera. Czekaając na połączenie usprawiedliwiał ten incydent zbyt luźną współpracą poszczególnych urzędów. Oskarżał propagandę, że to już nie pierwszy raz robi polityce niemieckiej taką niedźwiedzią przysługę. Polecił przeprosić gen. Bora i wyrazić ubolewanie oraz zapewnić, że więcej się to nie powtórzy, zresztą usłyszymy za chwilę, jaką awanturę zrobi z tego nieporozumienia. W samej rzeczy, w miarę otrzymywania kolejnych połączeń, zależnie od rozmówcy, Bach wyjaśnił incydent z wrodzonym mu temperamentem a rozmówcę z wydziału propagandy sztabu gen. zbeształ i zagroził surowymi konsekwencjami w wypadku powtórzenia się czegoś podobnego.

W międzyczasie teksty przetłumaczonej i wystylizowanej umowy zostały sporządzone. Oba teksty niemiecki i polski zostały odczytane i zaaprobowane przez Bacha i polską delegację. Ppłk. Bogusławski zdążył mi szepnąć, że pertraktacje z Bachem w porównaniu z przejściami jakie miał z ppłk. Goltzem w uzgadnianiu stylizowania były dziecinną zabawką. Usiłował on nadawać ustalonym poprzednio postanowieniom takie sformułowanie, że dopuszczało interpretowanie ich na naszą niekorzyść. Toteż z wielkim trudem udało mu się wespół z por. Sasem zachować umowę w brzmieniu poprzednio uzgodnionym, dlatego też czynności te trwały tak długo. Ppłk. Goltz,

por. Sas i tłumacz Bacha powrócili do jadalni dla dokonania drobnych poprawek, zaś grono w salonie powiększyło się o ppłk. Bogusławskiego i mjr. Fischera.

Obecność kolegów była mi bardzo na rękę, gdyż uwolnił mnie od konieczności skupiania uwagi przy rozmowie z Bachem i ciężar ten spadł obecnie na nich. Pomimo to, trudno było skupić myśli wobec natłoku wrażeń, jakie nagromadziły się w ostatnim czasie, zwłaszcza po całodziennym wyczerpującym wysiłku umysłowym, tym więcej, że nasz rozmówca dorzucał bezustannie jakieś nowe opowiadania.

W miarę rozwijania przed nami wspomnień, Bach stawał się coraz bardziej uprzejmy. Powściągliwość, jaką staraliśmy się zachować nie hamowała jego wylewności i usiłował utrzymać jaknajcieplejszą atmosferę. Czy chciał osłodzić nam chwilę, jakie przeżywaliśmy? Czy atmosfera ta odpowiadała uczuciom jakie wzajemnie do siebie żywiłmy? Temperatura porannych rozmów była chyba wierniejszym ich odbiciem.

Co jakiś czas dochodził huk dział. Można było rozróżnić wystrzały stojących opodal baterii niemieckich i wybuchy pocisków artylerii sowieckiej, które padały całymi, gęstymi seriami. Po każdej z nich, w chwilę potem dźwięczał dzwonek telefonu i meldowano Bachowi punkty terenowe, które były celem danej nawały sowieckiej. Bach powtarzał nam je, stąd wiedziliśmy, że tego dnia artyleria sowiecka uwzięła się na Okęcie i Cytadelę.

W opowiadaniach Bacha powróciła na porządek dzienny groźba komunizmu i wywód, że tylko Niemcy i Polska są w stanie uratować Europę od zagłady. Rozwijał czarne horoscopy jakie oczekują Kraj, gdy polityka polska nie zejdzie z dotychczasowej drogi. Zachodni sprzymierzeńcy są daleko, Niemcy sąsiadują z Polską i tego geograficznego układu nic nie zmieni a Niemcy nie znikną z karty Europy. To jest realne a obecne stosunki z zachodem są koniunkturalne. Stawiał zarzuty, że nie tylko dopuszczamy do istnienia takich stworów jak PAL i AL ale jeszcze obwarowujemy ich bezpieczeństwem paragrafami umowy. Konsekwencje tego postępowania jeszcze odczujemy na własnej skórze.

Uznanie dla A. K. jej postawy i bitności oraz fragmenty tego co sam obserwował lub znał z meldunków, przegradzały każdy z kolei temat. Żołnierze niemieccy z dyw. panc. S S Viking orzekli, że chociaż już wiele walk chwalebnych mają zapisanych na swoim koncie, tak zażartego przeciwnika jak na Żoliborzu nie notują w swych kronikach.

Bach miał na ogół dobre i wyczerpujące wiadomości z terenu walk, ale zdradzał znajomość warunków i z tamtej, polskiej strony barykad. Wobec naszego zdziwienia wyjaśnił, że to wywiad jego działa tak sprawnie. Przyznał się, że biorąc przykład z polskiego pomysłu, wykorzystał kanały dla przerzucenia do miasta konfidentów, przeważnie Volksdeutschów lub Ukraińców. Wracali oni na stronę niemiecką najczęściej zmie-

szani z uchodzącą ludnością. Miał jednak duże trudności w doborze odpowiednich amatorów na tego rodzaju wycieczki, gdyż nie bardzo chętnie udawali się do miasta. Wielu z nich nie wracało likwidowanych przez A. K., inni nie docierali na miejsce, lecz znając ogólne warunki obrońców przynosili informacje komponowane przez nich samych. Dla sprawdzenia czy docierali do celu, dał zlecenie, by jako dowodem legitymowali się znaczkami powstańczej poczty polowej. Gdy jednak i to nie pomagało, gdyż znaczki te nabywali na peryferiach od ludności opuszczającej miasto, zlecił, że znaczki mają mieć datę stempla poczty powstańczej z Warszawy z danego dnia. To zarządzenie już zupełnie ograniczyło liczbę amatorów.

Bach nie przywiązywał początkowo znaczenia do przydatności kanałów. Otrzymywane na ten temat meldunki zlecił zaopiniować specjalistom i nakazał przeprowadzić własnym oddziałom praktyczne próby. Na podstawie tych opinii był przekonany, że wiadomości o masowym użyciu kanałów dla ruchu pomiędzy poszczególnymi «kociami» miasta są przesadzone. Dopiero zniknięcie załogi Starówki i potwierdzenie wiadomości, że przeszła kanałami do Śródmieścia wysunęło ten problem jako istotny. Napotkano też na polską sieć telefoniczną budowaną w kanałach. Od tej pory powstał kompleks «kanałowy» we wszystkich sztabach i jednostkach niemieckich. Zawszą spotykał się z obawą, że powstańcy mogą nieoczekiwanie wyłonić się z kanałów w każdym punkcie miasta i wysuwano związaną z tym możliwość uderzenia ich na tyły niemieckie. Stwierdzono jednocześnie, że wobec tego izolacja miasta jest nieszczęlna. Kosztowało wiele trudu, aby przedsięwziąć skuteczne środki zaradcze. Zdaje sobie sprawę, że jakkolwiek spowodował tym zwiększenie trudności dla obrony, nie był jednak w stanie dorównać ludziom z podziemia w pomysłowości. Niższosc niemiecką w walce «kanałowej» musi też złożyć na karb niechęci jego żołnierzy do tego rodzaju działań. Niestety pomimo najróżnorodniejszych sposobów, udogodnień, surowych rozkazów, udzielania nagród itp. żołnierz jego nie miał serca do walki w tych warunkach. Musiał więc ograniczyć się tylko do izolowania kanałów, tak więc to rzeczywiście podziemie pozostało aż do końca walk strefą wpływów powstańców.

Z tego przykładu i wielu innych przeżytych w walkach warszawskich zdobył wiele doświadczeń wojennych, które zawdzięcza pomysłowości obrońców, czego będąc starym żołnierzem nie oczekiwał. Ten zaś charakter walki zna dobrze, gdyż już niejednokrotnie był przez długi czas otoczony w podobnych kociach.

Dużo wysiłku włożył wywiad niemiecki dla zdobycia wiadomości by ustalić m. p. Kwatery Gł. A. K. Wreszcie udało się stwierdzić niezbitcie, że mieści się ona w gmachu PKO. Bach sądził, że gdyby udało mu się zniszczyć sztab, wówczas zadanie

stłumienia powstania byłoby znacznie ułatwione. Po zbombardowaniu i zburzeniu gmachu PKO nalotami Sztukasów, utrzymywała się pogłoska, że cel został osiągnięty, ale później wyjaśniło się, że gen. Bór, gen. Monter i ich sztaby działają nadal. Po opuszczeniu gmachu PKO przez polski sztab nie udało się już ustalić jego m. p. — Bach zaznaczając, że teraz nie jest to już tajemnicą zapytał tak, na wszelki wypadek, gdzie obecnie mieści się sztab A. K. My zaś również na wszelki wypadek nie określiliśmy dokładnie jego miejsca postoju, podając że jest na pewno w Warszawie.

Bach zwrócił się do nas byśmy mu wybaczyli, że z taką zaciętością dybał na nasze życie, ale jest to przecie zrozumiałe. Niewątpliwie i my, gdybyśmy rozporządzali sprzętem ciężkim, artylerią i lotnictwem zrobilibyśmy na pewno to samo w stosunku do jego Kwatery Gł. Po odbytych rozmowach znając już jego m. p. moglibyśmy w porozumieniu z bolszewikami rozporządzającymi odpowiednimi środkami dokonać tego przy ich pomocy, gdyż wie, że mamy z czerwoną armią łączność radiową i są u nas sowieccy obserwatorzy artylerii. Pomimo to, że sztab doradzał mu zmianę m. p. jednak pozostał w Ożarowie.

O utrzymywaniu łączności radiowej pomiędzy A. K. a bolszewikami Bach wiedział z niemieckiego podsłuchu radiowego. Specjaliści meldowali mu, że stwierdzają oczywiste trudności w jej prawidłowym funkcjonowaniu. Te same depeche powtarzane były po kilkakroć razy w tempie tak wolnym, że amatorzy krótkofalowcy czynią to o wiele sprawniej. Używano też czasem normalnych międzynarodowych kodów technicznych a pojawiły się też i otwarte znaki i skróty. Dowodziło to skandalicznie niskiego poziomu radiotelegrafistów sowieckich w prowadzeniu tej korespondencji. Na podstawie dotychczasowej praktyki, Niemcy poznali sprawność polskich radiotelegrafistów, znają też ogólny poziom korespondencji sowieckiej i nie był on nigdy aż tak zły. Przy stanie dzisiejszej techniki eter nie jest już strefą ukrytą a spostrzeżenie uczynione w niej mogą nasuwać bardzo ciekawe wnioski, jak np. w tym wypadku.

Specjaliści niemieccy oceniali, że chodziło chyba o zerwanie łączności a nie o jej utrzymanie. Aby nas przekonać jak dokładne ma informacje na ten temat, polecił podać sobie wszystkie dotyczące dokumenty i chciał nam je okazać. Nie zdradziliśmy jednak zainteresowania, gdyż znaleźmy ten problem z pierwszej ręki z własnego doświadczenia. Nie było zaś potrzeby potwierdzania wobec przeciwnika perfidii sprzymierzeńca naszych aliantów.

Około godz. 20.00 ppłk. Goltz wszedł i zameldował, że czystopisy umowy zostały ukończone. Bach wydał mu drobniagowe wskazówki w jaki sposób odbędzie się akt podpisania umowy.

W sali jadalnej należy stół nakryć zielonym sukniem, na stole ustawić dwie świece, przybory do pisania oraz ułożyć umowy po dwa egzemplarze w tekście polskim i niemieckim.



Bach zajmie miejsce w środku za stołem, na prawo od niego przewodniczący polskiej delegacji, na lewo zaś ten spośród jej członków, który ma podpisać umowę jako drugi. Pozostali członkowie polskiej delegacji na najbliższych z kolei miejscach. Sztab Bacha ma być zebrany za swoim dowódcą. Po przeciwległej stronie ustawia się po lewej przedstawiciele prasy, po prawej fotografowie i kinooperatorzy. Cały przebieg ma być filmowany. Pluton honorowy i orkiestra mają być gotowe dla oddania honorów przy odjeździe do Warszawy polskiej delegacji. Przygotować reflektory przed domem dla sfotografowania tej sceny. Mjr. Fischer odwiezie delegację polską do linii bojowej a na każdy samochód wyznaczyć dla bezpieczeństwa po jednym oficerze, by w ciemności nie doszło w drodze do jakiegoś incydentu. Należy wystawić w tym celu odpowiednie dokumenty względnie przepustki.

Ppłk. Goltz w milczeniu wysłuchał wskazówek, na twarzy nie drgnął mu ani jeden muskuł ani nie można było wyczytać na niej zdziwienia. Czy zgadzał się ze swym generałem we wszystkich szczegółach? czy ceremonia ten miał mieć jakieś znaczenie w planach generała, względnie władz wyższych? czyżby rozpoczynała się nowa era w stosunkach polsko-niemieckich? — Ppłk. Goltz nie brał udziału w rozmowach popołudniowych, ale atmosfera porannych pertraktacji nie zapowiadała takiego finału. A przecież nie dalej jak poprzedniego dnia, jako szef sztabu redagował zapewne osobiście komunikaty bojowe o walkach z «bandami A. K.», a może słyszał dzisiejszy komunikat radiowy o walkach pod Żyrardowem? — Co to wszystko miało znaczyć? na kogo zastawiona była ta pułapka? czyżby dla zwabienia gen. Bora?

Podczas przygotowań w sali jadalnej do aktu podpisania umowy, skontrolowaliśmy jej tekst.

Zbliżał się końcowy akt złożenia podpisów na dokumencie kapitulacji. Ostatni akt wydarzenia, które przeżyliśmy od jego genezy i zarania aż po tę chwilę. Zbyt zawily towarzyszył mu splot okoliczności i imponderabilii, by móc je wszystkie zsumować i w onej chwili trafnie ocenić ich znaczenie i wagę.

Krzężałina wokół ceremoniału zarządzanego przez zwycięskiego nieprzyjaciela i jego triumf, chociaż dyskretny, ale nie mniej wyzierający z drobnych powiedzeń i pociągnięć miał dla nas gorzką wymowę.

Czy zdołaliśmy zachować w tych warunkach spokój i opanowanie wobec otoczenia? A co działo się w naszych sercach? Czy maska jaka staraliśmy się przyjąć dla naszych myśli i przeżyć dostatecznie to pokrywała? czy nawet najsilniej wyrobione poczucie godności żołnierskiej, wystawionej na tak ciężką próbę, potrafił pokryć ten stopień zgnębienia psychicznego, dla ugruntowania którego nie zabrakło najróżnorodniejszych okoliczności? Lepiej naprawdę przeżyć najgroźniejsze i najmniej-bezpieczniejsze przedsięwzięcie, aniżeli podobną próbę wytrzymałości nerwów.

Pomimo napięcia nerwów, czy też dzięki niemu wszystko co działo się wokół rysowało się w świadomości z dziwną wyrazistością. Dochodzące z sąsiednich pokojów odgłosy, tupot żołnierskich butów, przy wchodzeniu zamówionego audytorium, wydawane przez ppłk. Goltza zlecenia — wskazywały, że przygotowania trwają. Bach parokrotnie wychodził z salonu i dorzucał jakieś swoje uwagi.

Ppłk. Zyndram zdażył mi jeszcze powiedzieć, że wobec ceremoniału jaki Bach zamyśla nie zabraknie jego końcowego triumfalnego słowa. Jeżeli więc uznam, że godzi mi się dać odpowiedź, bym nie zapomniał powiedzieć mu, iż wobec zmienności losów wojny i jego może spotkać podobne przeżycie.

Bach powrócił do salonu, ruch w sąsiednich pokojach ustał i wreszcie ppłk. Goltz wszedł i zameldował, że wszystko gotowe.

Przy wejściu do sali jadalnej ppłk. Goltz po komendzie «baczność» zameldował Bachowi stan obecnych. Nasze cywilne ubrania odbijały wyraźnie od przytłaczającego nas otoczenia «Feldgrau». Dziesiątki spojrzeń przeszywało nasze sylwetki ilustrując nas z wyrazem zaciekawienia. Ustawieni w dalszych szeregach wychylali głowy, by nie uronić jakiegoś szczegółu. Jak na komendę poszły w ruch notesy i ołówki korespondentów wojennych. Ustawiczne trzaskanie sprężyn aparatów fotograficznych, grzechot aparatów filmowych, błyski sztucznych światł fotografów, blask reflektorów nadawały odbywającemu się aktowi pozory niesamowitego widowiska.

Gdy usiedliśmy za stołem, przedstawiciele prasy zależnie od ich zainteresowań przegrupowali się dla jaknajlepszego wykonywania czynności, fotografowie podbiegali ze wszystkich stron, by uchwycić wszystkie możliwe szczegóły.

Bach wykonywał wszystkie czynności z powagą i w tempie zwolnionym, nieodpowiadającym jego temperamentowi, ale dawało to możliwość uchwycenia licznym obiektywom każdego jego poruszenia.

Były to chwile tylko ale wydawały się długie nieskończenie. Po złożeniu podpisów Bach zalecił skupienie uwagi. Powstałiśmy z miejsc wraz z nim a zebrani przyjęli postawę «baczność». Bach w krótkich słowach wezwał obecnych do uczenia minutą ciszy pamięci poległych obu stron walczących.

Po upływie tego czasu, Bach zwracając się do mnie wygłosił przemówienie, którego spodziewaliśmy się. Wyraził uznanie dla postawy i bitności A. K. Tak długa wytrzymałość obrony i zwyciężalność niedostatecznie uzbrojonej armii powstańczej wobec doświadczonej i zaprawionej w bojach armii niemieckiej jest przykładem jedynym w historii wojen. Fakt ten stawia bitność A. K. w rzędzie najlepszych armii świata. Uznając te żołnierskie walory Niemcy przyznali A. K. prawa kombatancie. Zanim do tego aktu doszło miały miejsce z obu stron wzajemne, pożałowania godne wystąpienia. Bach starał się im przeciwdziałać wszelkimi możliwymi

środkami. Od dawna uznał, że dalsza walka nie ma dla żadnej strony realnego celu i stwarza dla ludności miasta katastrofalne warunki, toteż starał się dać parokrotnie wyraz swemu przekonaniu i użyć doli ludności przez wyciągnięcie ręki do zgody. Do porozumienia mogło jednak dojść dopiero wówczas, gdy strona polska nabrała przekonania, że jej prawa kombatancie będą respektowane. Przebieg rozmów i dobra wola Bacha dowiodły chyba, że prawa te będą zapewnione. Niewątpliwie decydującym czynnikiem, który doprowadził do złożenia broni była beznadziejność położenia obrońców. To zawiedzione nadzieje na pomoc z zewnątrz i daremne oczekiwanie na nią doprowadziły do tego stanu. Konsekwencją tego są ruiny Warszawy, jednej z najpiękniejszych stolic Europy i gehenna jej ludności. Może przykład ten podziała na resztę kraju i wskaże mu właściwą drogę postępowania w tej końcowej fazie wojny. Kończąc Bach podziękował delegacji polskiej za jej stanowisko w czasie trwania rozmów, które jakkolwiek były zawzięte jak i ubiegłe walki, nie mniej wytworzyła się atmosfera zaufania, dzięki czemu można było to trudne zadanie rozwiązać tak, jak wymagała tego sytuacja i słuszne postulaty obu stron.

Odpowiadając Bachowi potwierdziłem jego opinię, że decyzja złożenia broni została powzięta wobec beznadziejności położenia obrońców. Nie tylko obrońców lecz i ludności cywilnej, gdyż znaczna jej część nie chciała opuścić miasta i pragnęła podzielić do końca los wojska. Gdy dalsze ofiary okazały się bezcelowe — zaoszczędzenie życia mieszkańców musiało przeważyć szalę decyzji. Propozycja kapitulacji możliwa była do przyjęcia tylko na warunkach praw kombatancie, a stanowisko niemieckiego generała dowodzącego w czasie trwania pertraktacji wykazało, że prawa te dla wszystkich walczących zostaną zapewnione. Tylko pod tym warunkiem można było osiągnąć uzgodnienie stanowisk stron obu. Akt jaki się tutaj dokonał przed chwilą jest wynikiem nieubłaganych praw wojny, które często wczorajszego zwycięzcę sławiają jutro w roli pokonanego. Bezwzględność wojenna może przy tym pozbawić pokonanego przywileju strony, mogącej układać się o warunki. Myśmy ten przywilej uzyskali, według oświadczenia niemieckiego generała dowodzącego, przy udziale jego starań. Doceniamy te okoliczności. Ale znamy zmienność szczęścia wojennego, które armię pana generała może postawić w zmienionych warunkach. Toteż oby los oszczędził mu tych bezwzględnych ewentualności narzuconych przez zwycięzcę, których myśmy uniknęli.

Podczas przemówienia, stojąc naprzeciw sobie o krok patrzyliśmy sobie z Bachem prosto w oczy. Otoczenie «Feldgrau» wyprężone w postawie na baczność słuchało w bezruchu z zapartym oddechem.

Wyraz twarzy Bacha początkowo swobodny zwolna coraz to poważniał a charakterystyczne jego mruganie okiem i oddech

stawały się przyspieszone. — W sali natłoczonej i dobrze ogrzanej było duszno.

Słowa ostatniego zdania, przedzielone przez tłumacza na kilka części wypowiedziane zwolna i dobitnie musiały chyba rysować w wyobraźni Bacha wizję jakiejś przyszłej sceny. Oczy nabrały dziwnego wyrazu, ale spojrzenie to nie miało już surowości znanej nam z porannych pertraktacji. Malowało się w nich jakieś dziwne przeżycie wewnętrzne. Czy miały to być strach? Czy zrozumiał aluzję w moim przemówieniu do alianckiej zapowiedzi o bezwarunkowej kapitulacji Niemiec? Czy uświadamiał sobie konsekwencję, jaką mogła ściągnąć na jego głowę odwrócona rola? konsekwencję faktu, że zajmuje czołowe miejsce na liście zbrodniarzy wojennych, podpalaczy Warszawy? Głowę przechylił w tył jakby uchylał się od niewidocznych ciosów a występujące zwolna krople potu po chwili zaczęły spływać z czoła strumykiem.

Gdy padły ostatnie słowa skłoniliśmy się sobie wzajem i przechodząc wzdłuż wyprężonych szeregów, udaliśmy się milcząc do salonu. — Po wejściu ppłk. Goltza, Bach polecił zbadać czy wszystko jest gotowe do naszego odjazdu. Okazało się jednak, że nie ma jeszcze orkiestry a i dla przybycia plutonu honorowego potrzeba nieco czasu. Wobec tego Bach zaproponował, byśmy spożyli kolację, gdyż i tak pora jest spóźniona a do swych kwater przyjedziemy jeszcze nie prędko.

Po kolacji okazało się, że orkiestra jeszcze nie przybyła i Bach zaproponował byśmy na nią poczekali. Cały ten ceremoniał był aż nadto denerwujący, toteż oświadczyłem, że pragniemy odjechać zaraz.

Gdy wyszliśmy z domu pluton honorowy ustawiony na dziedzińcu sprezentował broń, sztab Bacha zatrzymał się na werandzie. Bach odebrał raport po czym delegacja polska przeszła wraz z nim przed frontem oddziału. Po wzajemnym oddaniu ukłonów odjechaliśmy samochodami w asyście oficerów niemieckich. W chwili odjazdu pluton sprezentował broń. Fotografowie przy blasku reflektorów dokonywali zdjęć każdej sceny.

Wkrótce po wyruszeniu odezwały się działa niemieckie z najrozmaitszych stanowisk, pobliskich, odległych, niektóre z bezpośredniego sąsiedztwa. Jechaliśmy przy blasku ognia wyłotowego, wśród świstu pocisków, pomruku najrozmaitszych odcieni zależnie od kalibru a pociski kierowane były daleko na przeciwległy, prawy brzeg Wisły. Czyżby i ta kanonada miała być jednym z fragmentów reżyserii?

Gdy zbliżaliśmy się do Warszawy tonęła ona w mroku, gdyż tej nocy wygasły już ponad nią łuny pożarów.

## UMOWA KAPITULACYJNA

Podpisana umowa miała następujące brzmienie:

«W dniu 2. X. 1944 został zawarty w Ożarówie układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie. Upelnomocnionym kontrahentem ze strony niemieckiej jest dowodzący w obszarze Warszawy SS-Obergruppenfuehrer u. Leutn. Gen. der Polizei von dem Bach. Upelnomocnionymi kontrahentami ze strony AK. są upoważnieni na podstawie pisemnego pełnomocnictwa dcy AK Gen. dyw. Komorowskiego (Bora) 1) płk. dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki (Jarecki), 2) ppłk. dypl. Zygmunt Dobrowolski (Zyndram).

Układ brzmi — I.

1. W dniu 2. X. 1944 o godz. 20-ej czasu niem. (21 czasu polskiego) ustają działania wojenne między polskimi oddziałami wojskowymi, walczącymi na obszarze miasta Warszawy, a oddziałami niemieckimi. Za polskie oddziały wojskowe uważa się wszystkie polskie formacje podległe taktycznie Dcy AK w okresie walk od I. VIII. 1944 do dnia podpisania układu. Oddziały te zwane będą później «Oddz. AK.».

2. Żołnierze powyższych polskich oddziałów składają broń w terminie ustalonym w rozdziale drugim niniejszego układu i udają się zwartymi formacjami ze swymi dowódcami na punkty zborne. Miejsca składania broni i punktów zbornych zostaną określone w szczegółach dodatkowo. Oficerowie mają prawo zachować białą broń boczną.

3. Równocześnie AK wydaje władzom wojskowym niemieckim wziętych do niewoli niemieckich żołnierzy i internowanych przez polskie władze osoby narodowości niemieckiej.

4. Dla zapewnienia ładu i bezpieczeństwa na terenie miasta Warszawy zostaną wyznaczone przez dtwo AK specjalne jednostki. Jednostki te zostają zwolnione od obowiązku natychmiastowego złożenia broni i pozostaną w mieście aż do czasu zakończenia swych zadań. Dtwo niemieckie mają prawo kontroli stanu liczebnego tych jednostek.

5. Z chwilą złożenia broni żołnierze AK korzystają z wszystkich praw konwencji genewskiej z dnia 27. VII. 1929 dotyczącej traktowania jeńców wojennych. Z takich samych uprawnień korzystają żołnierze AK, którzy dostali się do niewoli na terenie miasta Warszawy w toku walk od 1. VIII. 1944.

6. Prawa jeńców wojennych przysługują też osobom nie walczącym, towarzyszącym AK w rozumieniu art. 81 konwencji genewskiej o traktowaniu jeńców wojennych bez różnicy płci. W szczególności dotyczy to pracowniczek sztabów i łączn., zaopatrzenia i pomocy żołn., służby inf., prasowej, koresp. woj. itp.

7. Przy stosowaniu postanowień konwencji genewskiej o traktowaniu jeńców wojennych miarodajne będą stopnie oficerskie uznane przez Dtwo AK. Legitymacje opiewające na pseudonimy są wystarczającym dowodem przynależności do AK. Prawdziwe

nazwiska będą podane do wiadomości niem. władz wojsk. — Członkowie AK, którym zaginęły legitymacje będą identyfikowani przez komisje AK, które zostaną ustanowione. Komisje takie powoływane będą w miarę potrzeby przez k-dę AK. Postanowienie niniejszego artykułu stosuje się też do osób wymienionych w art. 6.

8. Osoby, będące w myśl poprzednich artykułów jeńcami wojennymi, nie będą ścigane za swoją działalność wojenną ani polityczną tak w czasie walk w Warszawie jak i w okresie poprzednim, nawet w wypadku zwolnienia ich z obozu jeńców. Nie będą ścigane przekroczenia niem. przepisów prawnych w szczególności nierejestrowanie się oficerów, uprzednia ucieczka z obozu jeńców, nielegalne przybycie do Polski itp.

9. W stosunku do ludności cywilnej, znajdującej się w okresie walk w mieście Warszawie nie będzie stosowana odpowiedzialność zbiorowa. Żadna z osób, znajdująca się w okresie walki w Warszawie nie będzie ścigana za wykonywanie w czasie walk działalności w organizacji władz admin., sprawiedliwości, służby bezp., opieki publ. instyt. społecz. i charytatywnych, ani za współudział w walkach i propagandzie. Członkowie wyżej wymienionych władz i organizacji nie będą ścigani też za działalność polityczną przed Powstaniem.

10. Żądana przez dtwo niemieckie ewakuacja miasta Warszawy z ludności cywilnej zostanie przeprowadzona w czasie i w sposób oszczędzający ludności zbędnych cierpień. Umożliwi się ewakuację przedmiotów, posiadających wartość artystyczną, kulturalną i kościelną. Dtwo niem. dołoży starań, by zabezpieczyć pozostałe w mieście mienie publiczne i prywatne. Szczegóły ewakuacji uregulowane będą osobnym porozumieniem.

Układ — II.

1. Dtwo AK zobowiązuje się w dniu 3. X. 1944 począwszy od godz. 7 czasu niemieckiego (godz. 8 czasu polskiego) usuwać barykady leżące przede wszystkim najbliższej linii niemieckich.

2. Dtwo AK wyda jeszcze w dniu 2. X. 44 najpóźniej o godz. 24 czasu niem. (1.0 — 3. X. czasu polskiego) na liniach niemieckich wszystkich jeńców niemieckich jak również według możliwości niem. internowane osoby cywilne przedstawicielom niemieckich sił zbrojnych.

3. Gdyby usuwanie barykad nie zostało rozpoczęte na czas, niemieckie dtwo zastrzega sobie prawo wypowiedzenia niniejszego układu w dniu 3. X. 44 począwszy od godz. 12 czasu niemieckiego (13 czasu polskiego) przy czym wypowiedź staje się skuteczna w dwie godziny od chwili doręczenia pisma wypowiedającego układ na liniach polskich.

4. Dtwo AK zobowiązuje się wyprowadzić z Warszawy dla złożenia broni w dniu 4. X. 44, 1 pułk wzgl. 3 baony z różnych pułków. Przekroczenie linii niemieckich przez czoła tych oddziałów musi nastąpić 4. X. 44 o godz. 9 czasu niemieckiego (godz. 10 czasu polskiego).

5. Pozostałe oddziały AK z wyjątkiem jednostek wymienionych

w rozdziale I p. 4 niniejszego układu, opuszczają Warszawę dla złożenia broni w dniu 5. X. 44.

6. Oddziały AK wychodzą poza polską linię z bronią, ale bez amunicji następującymi trasami —

a. ze Śródmieścia pldn. — 72 p. piech. ulicami: Śniadeckich, 6-go Sierpnia (Szuch str.), Sucha, Filtrowa.

b. ze Śródmieścia płnc. — aa) 36 p. p. Plac Napoleona — Al. Sikorskiego (Reich str.) — Grójecka (Radomer str.), bb) 15 p.p. ulicami: Grzybowską, — Chłodną (Eizgruben str.) — Wolską (Litzmannstadtstr.).

7. W mieście pozostaną następujące siły AK:

a) dla czynności porządkowych 3 komp. piech. uzbrojone w pistolety, pist. maszyn. i karabiny ręczne.

b) dla ochrony i przekazania trzech magazynów pułkowych z amunicją i sprzętem 30 ludzi uzbrojonych jak wyżej.

c) jednostek sanitarnych dla opieki i transportu rannych i ewakuacji szpitala — nieuzbrojeni.

8. Ewakuację rannych i chorych żołnierzy AK, jak też materiału sanitarnego ustali szef sanit. wojsk. niem. z szefem sanit. AK. W ten sam sposób nastąpi ewakuowanie rodzin personelu sanit.

9. Żołnierzy AK poznaje się po biało-czerwonej opasce naramiennej lub proporczykach wzgl. orzełku polskim niezależnie od tego, czy noszą jakiegokolwiek mundury lub też ubranie cywilne.

10. Układające się strony stwierdzają, że transport, pomieszczenie, straż i opieka nad jeńcami wojennymi pozostaje wyłącznie w kompetencji niemieckich sił zbrojnych (Der Deutsche Wehrmacht).

Strona niemiecka zapewnia, że zadania te w stosunku do żołnierzy AK nie będą powierzone formacjom obcych narodowości.

11. Kobiety, które w rozumieniu rozdziału 1 art. 6 są jeńcami wojennymi, będą umieszczone w obozach odpowiadających oflagom wzgl. stalagom. Za kobiece stopnie oficerskie uważa się młodszą komendantkę, komendantkę, starszą komendantkę, inspektorę.

Kobiety-jeńcy wojenni mogą na własne życzenie być praktykowane jak pozostała ludność Warszawy.

12. Władze wojskowe niemieckie powiadomią bezzwłocznie Auswaertige Gefangenenhilfe der YMCA w m. Sagan o miejscu i ilości umieszczonych w obozach żołnierzy AK i osób towarzyszących.

13. Dla pomocy technicznej w wykonaniu niniejszego układu dysponuje SS-Obergruppenfuehrer u. gen. d. Polizei von dem Bach trzema polskimi oficerami.

III. Przy wykroczeniach przeciw postanowieniom niniejszego układu pociągani będą do odpowiedzialności ci sprawcy, którym wykazano winę.

Podpisy:

von dem Bach.  
Iranek Kazimierz płk.  
Dobrowolski ppłk.

## Jeszcze o „Komitecie siedmiu”

P. Władysław Pobóg-Malinowski w trzecim rozdziale swojej pracy pt. **Na rumuńskim rozdrożu** (Fragmenty wspomnień), ogłoszonej w paryskiej **Kulturze** (Nr. 9-10, 1948), wydał o mnie opinię, w jego mniemaniu, niepochebną. Napisał mianowicie, że jako attaché wojskowy w Belgradzie, miałem po klęsce wrześniowej 1939 r. «w lot i gorliwie» podchwycić «zwierzenie» finansowe jednego z jego politycznych przyjaciół i wyzyskać je «jako nadarzającą się okazję do wykazania swojej czujności i gorliwości przed nowymi przełożonymi w Paryżu (str. 152).

«Niepotrzebne» to zwierzenie było (i pozostanie w mojej ocenie) niczym innym tylko po prostu zuchwałą próbą podejścia członka poselstwa R. P. w Belgradzie, celem uzyskania przez człowieka prywatnego gotówki, będącej własnością rządową.

Ścisłe dnia 30 października 1939 r. (w miesiąc po rezygnacji prez. Mościckiego, dymisji rządu gen. Składkowskiego i utworzeniu rządu gen. Sikorskiego w Paryżu — 30 września 1939 r.) — zjawił się u mnie w Belgradzie p. Jan Barański, do niedawna dyrektor jednego z departamentów M. S. Zagr., z prośbą o pomoc poselstwa w zrealizowaniu czeków, opiewających na sumę kilku tysięcy dolarów (6.000 dol., jak przypomina p. Malinowski). Powiedział mi, że przybywa z Rumunii z polecenia ministra Becka i zgłasza się z tą sprawą do mnie, jako do znajomego.

P. Barańskiego zapytałem, czyją własnością są czeki, dodając, że jeśli są własnością rządową, to po prostu powinien je co prędzej wpłacić kasjerowi poselstwa. Gdy nie dał mi jasnej odpowiedzi, oświadczyłem mu, że przypuszczam, iż rozporządza się nieprawnie mieniem państwowym i że o tym przypuszczeniu niezwłocznie zamelduję posłowi oraz moim przełożonym w Paryżu. Wyraziłem przy tym zdziwienie, że stawia się on na jednym poziomie z licznymi moimi ówczesnymi klientami, których musiałem powstrzymywać z licznymi moimi ówczesnymi klientami, których musiałem powstrzymywać z groźbą i perswazją od handlu samochodami skarbowymi, maszynami do pisania i innym mieniem państwa. P. Barański, zaskoczony moim stanowiskiem, opuścił gabinet bez pożegnania się.

Oczywiście, jeszcze tego samego dnia wysłałem meldunek do Paryża i opowiedziałem sprawę posłowi R. Dębickiemu. W następstwie nigdy o niej nie słyszałem, toteż z ciekawością czytałem teraz o jej podłożu i dalszym przebiegu. Z przykrością, choć i z pewną satysfakcją, stwierdziłem, że moje przypuszczenia belgradzkie o nieprawidłowości usiłowań p. Barańskiego w upłynieniu czeków — były zupełnie uzasadnione.

Mianowicie proszę postuchać, jak się przedstawiała całość sprawy, streszczona przez mnie według tekstu p. Malinowskiego.

W okresie opuszczania Polski przez rząd R. P., min. Beck powziął koncepcję utworzenia ekspozytury M. S. Zagr. na Balkany i Bliski Wschód z siedzibą w Bukareszcie lub Budapeszcie. Ekspozytura miałaby pod szefostwem p. T. Schaezla z zastępcą p. Drymmerem, a pod kierownictwem centrali w Paryżu, koordynować pracę placówek M. S. Zagr. na tamtych obszarach oraz nawiązać ścisły kontakt z Polską dla skupienia sił (bez względu

na przynależność partyjną) do walki z okupantami. Do wykonania tej drugiej części zadania, ekspozytura miała oprzeć się na organizacji konspiracyjnej p. n. «Komitet Siedmiu», założonej przez Oddział II Sztabu Gł. jeszcze w lecie 1938 r. w Polsce, a mającej za zadanie przygotowania pod kierownictwem p. Drymmera sieci polityczno-wojskowej w krajach ościennych na wypadek wojny.

Ta forma koncepcji upadła 30 września 1939 z chwilą dymisji rządu, którego min. Beck był członkiem. Ostała się natomiast druga jej część, która odnosiła się do organizacji działania w Polsce. Tę drugą część postanowiono wprowadzić w życie pod kierunkiem pp. Schaetzla i Drymmera i ściśle zakonspirować. Rozwinięto szeroką działalność w imię, jak powiada p. Malinowski, ideałów «ogólno-narodowych». P. Malinowski objął w niej dział informacyjno-prasowy. Przecierano szlaki do kraju, wysyłało emisariuszy, prowadzono kursy, m. in. «kurs konspiracyjno-bojowy» itp.

Aprobata rządu w Paryżu organizacja ta zaczęła szukać dopiero po 16 października 1939 u ministra do spraw krajowych, gen. Sosnkowskiego, tj. dopiero po dniu jego wejścia do gabinetu. Minister aprobata nie dał.

Od tej chwili organizacja, powiedziawszy jak najogólniej, działała już bez kontaktu z rządem, choć posługiwała się zatrzymanymi do swej dyspozycji funduszami państwowymi. Część z nich starał się właśnie w tym okresie (30 października 1939) upłynnić za moim pośrednictwem wysłannik organizacji p. Barański, któremu nie powiodło się to zadanie w Bukareszcie.

P. Schaetzel, wraz ze swoim «K 7», podporządkował się kierownictwu rządowemu dopiero w połowie listopada za pośrednictwem komendanta bazy pracy krajowej w Bukareszcie, płk. dypl. Rostworowskiego, i miał wówczas, jak pisze p. Malinowski, rozliczyć się przed nim z posiadanych pieniędzy oraz złożyć szczegółowe sprawozdanie finansowe. Nieco dalej p. Malinowski pisał, że w parę dni potem, 20 listopada 1939, przy spisywaniu protokołu w sprawie czeków na 6.000 dolarów przed komisją, utworzoną na skutek mojego meldunku, w składzie pp. H. Stebelskiego, delegata ministra skarbu (A. Koca) i amb. R. Raczyńskiego — p. Schaetzel oparł się wskazaniu w czym rękę znajdują się czeki, zastaniając się konspiracyjnym charakterem pracy i jej finansowania. Mimo to wynik dochodzeń tej komisji został uznany przez rząd za wyczerpujący sprawę.

Rad jestem pójść z tymi wyjaśnieniami p. Malinowskiego i wierzyć, że zarzut nadużyć finansowych, stawiany organizacji «K 7» został, w ostatecznym rachunku, usunięty.

Ale przy wyżej opisanym stanie rzeczy właściwsze byłoby raczej, jeśli nie milczenie, to przyznanie się do początkowego błędu rozwijania działalności politycznej partyjnej (bo przecież nie «ogólno-narodowej», skoro nie dał na nią zgody min. gen. Sosnkowski) za pieniądze rządowe. Przed wrześniem 1939 zakwalifikowałaby ją grupa polityczna p. Malinowskiego na pewno jako «antypaństwową».

P. Malinowski wybrał jednak zupełnie inną drogę obrony. Odwrócił sytuację i właśnie działalność rządu R. P. w Paryżu przedstawił jako «antypaństwową», a natomiast akcję własną i swojej grupy politycznej, jako «ogólno-narodową»; pierwszą jako z gruntu amoralną, drugą jako zgodną z zasadami etyki. Doszedł nawet do takiej konkluzji (w jego mniemaniu wymierzonej przeciw rządowi w Paryżu):

«Nigdy dotąd i nigdzie zmiana sytuacji politycznej i wyrosła stąd zmiana poglądów i ocen nie pociągała za sobą tak głębokiego załamania się i tak gwałtownego kruszenia się podstaw moralnej i etyki — nigdy i nigdzie nie pchała ludzi z taką siłą do tak jaskrawej deprawacji» (str. 139).

Nie można powiedzieć, aby p. Malinowski był odpowiedzialnym pisarzem historycznym.

Tadeusz WASILEWSKI, płk. dypl.,  
były attaché wojskowy w Belgradzie.

## SPROSTOWANIE

*Do wspomnień p. St. Korbońskiego, drukowanych w poprzednim numerze Kultury wkładły się dwa przykre błędy korektorskie, zniekształcające zasadniczo sens zdań. Mianowicie na str. 92 w 32 wierszu, zamiast słowa „postanowity” winno być „postawiły”, a na str. 96 w 4-tym wierszu od dołu zamiast słowa „postanowilem” winno być „postanowiono”.*

## W NASTĘPNYCH NUMERACH:

- Adam Uziembło: SEJM W WILNIE.
- Aleksander Bregman: GDYBY W 1933 USŁUCHANO PIŁSUDSKIEGO.
- Zygmunt Nagórski jr.: LONDYŃSKIE LATA.

# “Kronika”

niezależny tygodnik demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

**Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg, US Zone, Germany.**

PRZEDSTAWICIELSTWA :

**BELGIA:** Jadwiga Jurkszus, 23, rue Felix Delhasse, Bruxelles-St. Gilles. Wpłata prenumeraty: kwartalnie 24 fr., półrocznie 48 fr. na: CCP 7556 89  
Jadwiga Jurkszus, Bruxelles.

**HOLANDIA:** Ks. Leon Romala, Utrecht, Nieuwe Gracht 92. Prenumerata 1,20 Fl. miesięcznie, 3,00 Fl. kwartalnie, wpłacać przekazem pocztowym, podając cel wpłaty.

**FRANCJA:** Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV<sup>e</sup> (Metro: Sully Morland). Prenumerata roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena pojedynczego egz. 10 frs.

Prenumerata zagranicę wpłacana w markach na terenie

Niemiec kosztuje rocznie 52 DM.

## Archiwum polityczne

### Sytuacja międzynarodowa z perspektywy paryskiej

#### ANI POKÓJ ANI WOJNA

Sytuacja międzynarodowa znajduje się na niebezpiecznym wirażu. Zerwanie wielotygodniowych rokowań w Moskwie, bezkrwawa — na razie — wojna w Berlinie, napięcie między Jugosławią a jej sąsiadami, którymi kieruje mściwa ręka Kremla, wojna domowa w Grecji, chaos palestyński, niekończąca się anarchia w Chinach, rewolta kolonialna na Półwyspie Indochińskim — żeby ograniczyć się do głównych terenów konfliktu — miejsce zapalnych, jak widzimy, nie braknie.

Takim miejscem zapalnym — potencjalnie jest każde z państw w którym partia komunistyczna jest na tyle silna, by móc pokusić się o próbę rewolucji czy choćby poważniejszą ruchawkę. Wypadki w Bogocie pouczają, że kraje takie znajdują się nie tylko w Europie Zachodniej. Najbardziej klasycznymi spośród nich są Francja i Włochy, gdzie P.K. nie tylko zbiera niemal 30% wyborców, ale rozporządza świetnie zorganizowaną i obficie wyposażoną organizacją bojowo-sabotażową.

Geografia rozmieszczenia wpływów P.K. potęguje jeszcze niebezpieczeństwo dywersji komunistycznej we Francji. Układ głównego nasilenia organizacji komórek komunistycznych przypomina odwróconą literę «T», przy czym podstawa zaczyna się w północno-francuskim zagłębiu węglowo-przemysłowym (departament Nord), kieruje się na południe przez Paryż-Lyon — do Marsylii. Podstawą jest linia Nicea-Marsylia-Tulon-Perpignan aż do granicy hiszpańskiej. Litera «T» przepoławia Francję, a na wybrzeżu śródziemnomorskim łączy penetrowania przez komunizm Piemont z ewentualną rewolucją antyfrankistowską w Hiszpanii. We Włoszech, mimo ostatnich porażek wyborczych

komunistów, całe prowincje jak Emilia czy Romania dają jeszcze Frontom Ludowym masywną, bezwzględna przewagę głosów.

Obok potencjalnych ognisk przyszłego starcia zbrojnego czy wojen domowych niemała część globu objęta jest przez działania wojenne na wielką niekiedy skalę. Największe z tych ognisk — Chiny, jedenasty rok miszczone są przez wojny zewnętrzne i walki domowe. Czerwona plama państwa komunistycznego zdobywa coraz nowe terytoria, obejmując już prowincje zaludnione przez przeszło 100.000.000 ludzi. Zapalne ogniska w Indochinach, na Malajach, Palestynie i w Grecji «ujawniają» niektóre tereny przyszłego konfliktu i potęgują ogólne napięcie sytuacji, które dawno już weszło w stan określony najlepiej definicją Trockiego: «ani pokój ani wojna». Wszędzie tam, gdzie istniały jakies pozory współpracy pomiędzy Rosją a państwami zachodnimi, rywalizacja zaostrza się, niedaleko już od stanu otwartej walki. Demonstracje i starcia w Berlinie znalazły się dosłownie na granicy stwarzania faktów dokonanych.

Można z dużą pewnością ryzykować twierdzenie, iż wojna w chwili obecnej nie jest możliwa, ale cały układ stosunków politycznych, rozmiar potęgujących się obustronnie przygotowań, niepowstrzymany techniczny wyścig zbrojeń, wzajemna obawa agresji przeciwnika w momencie, który będzie dla niego dogodny, wszystko to zdaje się przybliżać nieuchronnie — moment przyszłej rozgrywki.

Wojna obecnie jest nieprawdopodobna, bo żaden z partnerów nie może jeszcze jej rozpocząć. USA pochłonięte są całkowicie listopadowymi wyborami Prezydenta. Rządząca obecnie partia demokratyczna idzie do wyborów z przeświadczeniem nieuchronnej klęski; jej polityka zagraniczna, przekreślając katastrofalne i lekkomyślne złudzenia Roosevelta, oparte o wiarę w dobrą wolę Rosji i możliwość współistnienia obu systemów, nie decyduje się na wybór nowej drogi. Daleko posunięta demobilizacja, nieobecność wojsk amerykańskich lub też minimalne siły wojskowe w najważniejszych punktach strategicznych świata, wreszcie świadomość rychłego końca swych rządów, uniemożliwiają obecnej administracji «demokratycznej» próbę jakiegś nowej, konstruktywnej polityki wobec wciąż agresywnej i zawsze konsekwentnej polityki zagranicznej ZSSR.

Tym mniej można się spodziewać aktywnej polityki zagranicznej ze strony dwóch pozostałych głównych partnerów Ameryki, tj. Anglii i Francji.

Możliwości brytyjskie pozostają funkcją rozpaczliwego dziedzictwa wojny, stanu finansów, trudności wewnętrznych Imperium. Pomiędzy 1-ym stycznia 1939 roku a 31 marca 1947 r. wydatki Wielkiej Brytanii wyniosły sumę niemal 50-krotną wydatków rocznych budżetu z 1938 r. W zestawieniu z zadłużeniem państwowym z r. 1913, które wynosiło 650 milionów funtów szterlingów, na początku 1948 r. sięga ono zawrotnej sumy 27 miliardów. Cały wspaniały system ekonomiczny, na

którym Anglia XIX i początku XX wieku zbudowała swoje bogactwo: eksport do nieuprzemysłowionych Dominów, ekspansja przemysłu z łatwością pokrywająca import surowców i środków żywności, zyski z oprocentowania kapitałów lokowanych we wszystkich częściach świata i dochody z usług najpotężniejszej w tym okresie floty handlowej świata, wszystko to uległo olbrzymiej redukcji, stawiając nierozwiązalny niemal problem wyżywienia przeludnionej i całkowicie niesamowystarczalnej wyspy.

Położenie gospodarki francuskiej zdawałoby się, wnioskując z danych ekonomicznych nieporównanie lepsze, dzięki groźnemu kryzysowi politycznemu w praktyce jest w większym jeszcze impasie i niemożności znalezienia dróg naprawy aniżeli sytuacja Wielkiej Brytanii. Pełne nieustabilizowanie rządów, rozkład systemu partyjnego, definitywne zachwianie się równowagi politycznej w Parlamencie, którego przedterminowe rozwiązanie jest bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe, istnienie na wewnątrz odśrodkowej siły komunizmu, działającego na komendę Moskwy, stawia Francję prędzej czy później, wobec perspektyw wojny domowej. Dalsze trwanie obecnego stanu rzeczy, w którym wszelka naprawa finansów jest niemożliwa, z konieczności redukując i tak mało efektywny budżet wojskowy, osłabiać będzie w dalszym ciągu pozycję międzynarodową Francji. Przyjście gen. de Gaulle'a może poprawić ten stan rzeczy, spowoduje jednak jednocześnie groźny kryzys wewnętrzny, który nie da się zbyt szybko przezwyciężyć. I ekonomicznie i politycznie Francja jest jeszcze mniej przygotowana do starcia wojennego, niż oba mocarstwa anglosaskie.

W obecnych formach postępu technicznego broni niszczącej i koncentracji sił militarnych w rękach największych potęg, inne kraje zrujnowanej Europy Zachodniej, jako siły militarne, nie mogą wchodzić poważnie w rachubę. Największe z nich, Włochy, słabe wojskowo nawet w okresie szczytowych wysiłków zbrojeniowych Mussoliniego, obecnie rozbrojone, posiadają nadto rozgałęzioną i zawsze gotową do sabotażu organizację komunistyczną na wewnątrz. Turcja, z jej doskonałą, ale materialnie zupełnie niedostatecznie uzbrojoną armią, ważna jest jako pozycja strategiczna czy ewentualna baza ataku na punkty newralgiczne Rosji Sowieckiej — z natury rzeczy jednak nie przedstawia sama poważnej siły.

#### DYLEMAT POLITYKI Z.S.R.R.

Świat zachodni czy, posługując się terminologią komunistyczną, okrażenie kapitalistyczne nie jest więc ani politycznie ani wojskowo, ani przede wszystkim psychicznie zdolne i przygotowane do ataku. Polityce wahań i tendencji rządów państw zachodnich uniknięcia konfliktu za wszelką cenę, Rosja Sowiecka przeciwstawia działanie świadome celów i realizowane z żelazną konsekwencją. Mimo postępów w tworzeniu tzw.

Bloku Zachodniego, kraje Zachodu są dalekie od stopnia doskonałej instrumentacji «Bloku Mołotowa», gdzie jedynie Jugosławia, dzięki specjalnym okolicznościom, stanowi izolowany wyjątek.

Ten stan rzeczy teoretycznie przemawiałby za prawdopodobieństwem możliwie bliskiej agresji sowieckiej. Doskonała, centralna pozycja geograficzna ZSRR, posiadanie przez nią potężnej armii lądowej, brak jakiegokolwiek poważniejszej przeciwwagi zbrojnej na zachód od linii Lubeka—Triest, dobrze zorganizowane w szeregu krajach siły dywersyjne, umożliwiałyby wojskom sowieckim opanowanie w ciągu niewielu tygodni całej niemal Europy Zachodniej. Warunki komunikacyjne i trudności terenowe, bardziej niż siła militarna broniłyby znacznie dłużej Turcję i kraje Bliskiego Wschodu w razie, gdyby nastąpiła tam agresja sowiecka.

Mimo to istnieją wszelkie szanse, iż napaść ta na razie nie może nastąpić. Polityka dyktatora kremliańskiego w niczym nie przypomina nieprzemysłanej, niecierplivej i ryzykanckiej strategii Hitlera. Fakt sukcesów inicjalnych, które Rosja Sowiecka odnosiłaby w pierwszych tygodniach, czy pierwszych miesiącach wojny, nie przesądzałyby jeszcze ostatecznego wyniku. Jeśli bowiem Ameryka politycznie, wojskowo, organizacyjnie i psychicznie jest do wojny nieprzygotowana, to posiadanie przez nią nie tylko bezwzględnej przewagi na morzu, ale i monopolu broni atomowej, nie tylko czyni ją niedostępną dla niezliczonych dywizji armii sowieckiej i jej satelitów, lecz także, już w chwili obecnej zmniejszałyby do minimum szanse końcowego zwycięstwa sowieckiego.

Gdybyśmy się pokusili o odtworzenie dialogu między kierownikami polityki sowieckiej, to argumentem zwolenników przyspieszenia wojny byłaby teza, iż zdobycie zbrojne Europy Zachodniej i możliwość szybkiej sowietyzacji tych krajów, z punktu widzenia doktryny rewolucji światowej, byłaby zyskiem opłacającym ryzyko rozpoczęcia trzeciej Wojny Światowej. Rachuba bardzo jednak zawodna. Obecnie niedozbrojone jeszcze Stany Zjednoczone posiadają jednak nieocenione doświadczenia mobilizacji i metod przedstawiania na produkcję wojenną przemysłu wojennego z lat 1941—1945. Reakcja amerykańska byłaby tym razem nierównie szybsza, niż okres pięciu nieomal lat, który upłynął między atakiem na Polskę o świcie 1-go września 1939 r., a pierwszymi desantami wojsk angloamerykańskich na północy Francji w czerwcu 1944 r.

Istnieje wprawdzie jeszcze drugi poważny motyw, który powinienby skłaniać Rosję Sowiecką do możliwego przyspieszenia agresji. Teoretycy i ekonomiści moskiewscy, już pod koniec działań wojennych, ustalili sobie terminy nieuchronnego, ich zdaniem, kryzysu gospodarki kapitalistycznej w Stanach Zjednoczonych na wzór poprzedniego wielkiego kryzysu powojennego z 1929 r., w 10 lat mniej więcej po zakończeniu wojny. Ekonomiści ci sądzili, iż tym razem w terminie krótszym, bo

gódzieś około 1952 r. potężniejsze jeszcze przesilenie podważy podstawy systemu politycznego i gospodarczego Ameryki Północnej. Moment ten wydawałby się najodpowiedniejszy do zaatakowania osłabionego kryzysem i nieuchronnymi wstrząsami socjalnymi przeciwnika.

Polityka Stanów Zjednoczonych nie poszła jednak drogami wytkniętymi przez administrację republikańską w latach 1920—1932. Wydatna pomoc dla Europy, obecnie usystematyzowana przez tzw. Plan Marshalla, mniej protekcjonistyczna polityka celna — uchroniły, jak dotąd, Stany Zjednoczone przed nadprodukcją i kryzysem zbytu jej produkcji. Ostatnio coraz silniejsze ponowne przestawianie pracy części przemysłu USA na cele wojskowe oddziaływać będzie silnie na korzystną koniunkturę i odsuwać widmo oczekiwanego przez ekonomistów sowieckich kryzysu. Coraz bardziej zaczęli oni zdawać sobie sprawę z zawodności rachub na rychłe załamanie się gospodarcze Ameryki. Podjęte ostatnio zbrojenia działają w kierunku przywrócenia równowagi sił, stojących do dyspozycji Bloku Zachodniego wobec Rosji i jej państw wasalnych. Pomoc z tytułu Planu Marshalla i kredyty amerykańskie nie poprawią trwale sytuacji w Anglii, Francji i Włoszech, mogą jednak tę poprawę zapoczątkować i łagodzić raczej wrzenie socjalne w takich państwach jak Francja i Włochy. W tej chwili więc odkładanie rozgrywki wojennej pracowałoby przeciw interesom Rosji Sowieckiej i tu jest drugi argument, aby wojnę sprowokować możliwie szybko.

Ale istnieje dalszy jeszcze motyw odkładania śmiertelnego ryzyka wojny przez dyktatora i doradców z moskiewskiego Politbiura. W wyścigu produkcji broni atomowej Rosja pozostaje w tyle i podjęta z nadludzkim wysiłkiem realizacja kolejnego planu pięcioletniego nie dała spodziewanych rezultatów. Awiacja sowiecka, która bynajmniej nie błyszczała sukcesami w czasie Drugiej Wojny Światowej — zdaniem ekspertów — również nie może konkurować z inwencją i rozmachem przemysłu lotniczego Stanów Zjednoczonych. Bezwzględna przewaga morską Stanów Zjednoczonych, łącznie z innymi krajami zachodnimi, nie ulega dyskusji.

Także jednak i sytuacja wewnętrzna Rosji zdaje się nie zachęcać do ryzyka wojennego. Nastrój głuchego oporu przeciw bezlitosnemu naciskowi maszyny administracyjnej, potęgowany *ad infinitum* wyzysk późniewolniczej pracy całego społeczeństwa, brak jakiegokolwiek dyskusji wewnętrznie-partyjnej — nie da się łatwo usunąć. Opór ten, raczej wzrósł, pobudzony wypadkami wojennymi, pobytom milionowych armii w krajach Europy Zachodniej, zmniejszając sprawność i «stan dyspozycyjności» zgłęszaltowanego aparatu państwowego i partyjnego. Kongres partyjny, który według statutu winien być zwoływany raz na dwa lata, nie obradował już od marca 1939 roku, od lat niemal dziesięciu. Zapowiedziano zwołanie go w roku bieżą-

cym, ale — jak słychać — przygotowania odbywają się wśród największych trudności.

Kłopoty z państwami satelickimi okazały się też poważniejsze, niż początkowo przypuszczano. «Usamodzielnienie się» Jugosławii z jej niedostatecznie wprawdzie uzbrojona ale bitną i dość liczną armią, jest nową zupełnie pozycją, stwarzającą dla polityki sowieckiej trudności na tak ważnym, ze strategicznego punktu widzenia, terenie.

Obie strony mają więc wszelkie powody do odłożenia decyzji zdając sobie zresztą doskonale sprawę, że nie jest to rozwiązaniem na przyszłość i że starcie wojenne im bardziej odkładane, będzie tym bardziej niszczące i tym bardziej dla obu stron w konflikcie ryzykowne i niebezpieczne.

Odłożenie decyzji, której zresztą pacyfistyczny Zachód chciałby za wszelką cenę uniknąć, może mu przynieść na krótkim odcinku czasu niemałe korzyści. Nie tylko Stany Zjednoczone ale i Anglia zapowiedziały i częściowo realizują nawrót do polityki zbrojeń. Data objęcia przez nowego prezydenta Stanów jego funkcji — 1 styczeń 1949 — przyspieszy zapewne te zbrojenia i umożliwi Ameryce ostateczną organizację Bloku Zachodniego. Koniecznym narzędziem tej polityki będzie udzielenie, niezależnie od Planu Marshalla, pożyczek na uzbrojenie przede wszystkim dla Francji, która o tego rodzaju kredyty podjęła już od dawna staranie.

Rosja Sowiecka, dla której zysk na czasie daje mniej uchwytnie korzyści, zmuszona jest przy ostatecznym rozrachunku również zdecydować się na zwłokę.

Polityka sowiecka liczy nie tylko na siłę swych zbrojeń, ale — mimo niepokojących doświadczeń — na dalsze rewolucjonizowanie czy anarchizowanie krajów zachodnich przez dywersję polityczną, robotę rozkładową, strajki i sabotaże w krajach Europy Zachodniej. Spadek liczebności Partii Komunistycznych i ich wpływów wyborczych na terenie największej penetracji jej wpływów — we Francji i Włoszech — nie zmniejsza możliwości dywersji. Polityka Rosji coraz mniej liczy się z popularnością Partii Komunistycznej i nastrojami społeczeństw zachodnio-europejskich, a coraz większy nacisk kładzie na organizację i siły bojowe.

Drugim celem będzie przyspieszenie sowietyzacji krajów okupowanych, możliwe już w najbliższym czasie przy pomocy sięgnięcia najgłębszego w ich strukturę gospodarczą i społeczną, tj. niszczenia siły chłopów i narzucenia tam krajom ustroju kolektywnów rolnych. Nie trzeba dodawać, iż będzie to przewrót nierównie głębszy jeszcze, niż narzucona rewolucja, jaka w tych krajach odbywała się w ciągu ostatnich czterech lat.

Manewry, jakich jesteśmy świadkami w polityce międzynarodowej, tegoroczna sesja ONU, dramatyczna walka o Berlin, polemiki i propagandowe wystąpienia mężów stanu, są dalszą «zastoną dymną» polityki odraczania konfliktu zbrojnego, przygotowań wojennych, a — jeśli chodzi o Zachód — niewyżytych



jeszcze całkiem złudzeń i nadziei pacyfistycznych na możliwość przedłużenia współistnienia obu systemów: sowieckiego i kapitalistycznego.

#### FRANCJA WOBEC KONIECZNOŚCI DONIOSŁYCH DECYZJI. NIEBEZPIECZNE WIRAZE POLITYKI FRANCUSKIEJ

Sytuacja wewnętrzna we Francji, zdawałoby się, staje się coraz bardziej funkcją rozwoju sytuacji międzynarodowej. Tym bardziej, że jak to uzasadnialiśmy mniej więcej przed rokiem na łamach *Kultury*, zależność gospodarcza Francji od Stanów Zjednoczonych, niezdolność kolejnych rządów do zrównoważenia budżetu, konieczność nieustannego uciekania się do kredytów amerykańskich, coraz bardziej krępować musi jej swobodę ruchów i orientować na politykę Washingtonu. Jednocześnie Partia Komunistyczna, zwłaszcza po utworzeniu Kominformu w październiku r. ub. traci resztki swej samodzielności i działa częstokroć wbrew własnym interesom partyjnym, ściśle według instrukcji Moskwy. Można by więc powiedzieć, że gdy wzmaga się zależność polityki rządów od Washingtonu i w pewnej mierze, Londynu, to rozwój sytuacji społecznej kraju, strajki i niepokoje społeczne wynikają w dużym stopniu nie z ewolucji polityki wewnętrznej, a z bezpośrednich rachub taktyki i strategii Kremla.

Mimo tych prawd oczywistych istnieje i drugi element sytuacji — układ sił w Parlamencie. Zachwianie się równowagi w Izbie wybranej w listopadzie 1946 r., niemożność wytworzenia większości, z całą jaskrawością ujawniającą się od obalenia pierwszego gabinetu Schumana w końcu lipca br., stawia kraj przed groźnym i długotrwałym przesileniem w chwili gdy położenie międzynarodowe wymagałoby powstania silnego i ustabilizowanego rządu.

Jest już niemal tradycją we Francji, iż w momencie groźnych przesileni międzynarodowych uwaga opinii publicznej i rozgrywka między partiami koncentrują się niemal wyłącznie dookoła spraw wewnętrznych. Gdy w Sarajewie padł od kuli arcyksiążę Ferdynand, gabinet Ribot w Paryżu wyrzucił się tak jak Schuman przy pierwszym zetknięciu z Parlamentem, a wywołane tym upadkiem przesilenie rządowe było szczególnie przewlekłe. Groźbę wojny przesłaniał sensacyjny, pochłaniający powszechną uwagę proces pani Caillaux o morderstwo redaktora *Figaro* Cabrette'a. Gdy Hitler wkroczył do Nadrenii, w dn. 7 marca 1936, Francja u szczytu gorączki wyborczej nie mogła zdobyć się na reakcję a jeden z najsłabszych rządów Trzeciej Republiki, gabinet Sarraut-Flandin ograniczył się do groźnych oświadczeń, iż «nie będzie tolerować armat niemieckich, skierowanych z drugiego brzegu Renu na Strassburg». W dniu wkroczenia wojsk niemieckich do Austrii obalony został w Paryżu krótkotrwały gabinet p. Chautemps.

Historia zdaje się powtarzać. Tym jednak razem przesilenie

parlamentarne przechodzi w prawdziwy kryzys ustroju, skomplikowany ciężką sytuacją gospodarczą i perspektywą strajków i niepokojów społecznych. Oceniając najoptimistyczniej, nie widać szans, aby kryzys ten zakończyć się mógł szybko.

Konstytucja Czwartej Republiki z 26 września 1946 r. umożliwia, dzięki swym skomplikowanym przepisom, rozwiązanie Parlamentu. Art. 6 Konstytucji wprowadzie pozwala Parlamentowi absolutną większością głosów (tj. 311 głosami na 620 posłów izby Niższej) dowolne skrócenie własnej kadencji. Art. 50 i 51 przewidują możliwość rozwiązania Parlamentu przez prezydenta o ile po 18 miesiącach istnienia Izby, rząd zostanie dwukrotnie obalony przez odmówienie mu zaufania przy głosowaniu nad porządkiem dziennym. Oba te artykuły jednak nie znalazły dotąd zastosowania, mimo iż rozwiązanie Izby wydaje się jedynym wyjściem z istniejącej sytuacji.

Zaden Parlament nie ma ochoty do popełnienia harakiri i na próżno by oczekiwać zebrania kwalifikowanej większości 311 głosów dla skrócenia czteroletniego żywota. Ale nawet art. 50 i 51 nie mogą wejść dotąd praktycznie w grę. Dzięki wybiegom proceduralnym żadne z przesileni, (a było ich po upływie 18-miesięcznego okresu trzy z kolei) nie odpowiada formalnemu przepisowi dymisji rządu «na skutek odmówienia zaufania».

Od ostatnich wyborów, tj. od listopada 1946 r. kombinacja większości partyjnej w Izbie zmieniała się trzykrotnie. Od wyborów do maja 1947 r. istniała jeszcze utworzona w okresie Libération większość trójpartyjna, tj. komuniści, SFIO i MRP przy słabej opozycji skrajnej prawicy i tolerancji ze strony grup radykalnych. Gdy w maju Premier Ramadier energicznie zdymisjonował ministrów i podsekretarzy komunistycznych z rządu, większość trójpartyjna przestała istnieć. Komuniści przeszli do opozycji, rząd zaś opierał się o słabą liczebnie większość SFIO, MRP, Radykałów i skoalizowanej z Radykałami UDSR, przy chwiejnej tolerancji skrajnej prawicy, życzliwie ustosunkowanej do oczyszczenia rządu z komunistycznych uczestników koalicji.

Dopóki rządy, zmieniające się po Libération, rozwiązywały problem deficytu budżetowego przez druk banknotów i podwyższanie płac robotniczych wobec postępującej zwyczajnie cen i nie naciskały zbytnio śruby podatkowej, dopóty przeciwnieństwa w łonie nowej większości nie zaznaczały się jaskrawo. Dopiero próby Ministra Skarbu Mayera, którego program zmusić chciał wszystkie warstwy społeczne do ponoszenia uciążliwych stosunkowo ofiar, wytworzył pierwsze głębsze rysy. Gabinet Schuman-Mayer upadł na tle zupełnie niepotrzebnego i incydentalnego sporu o skreślenie dodatkowych 4 miliardów z budżetu wojskowego, co stanowiło znikomą sumę 0,04% ogółu wydatków w budżecie państwa. Wniosek w tej sprawie wysunięty przez posłów socjalistycznych był jednak jednym z symptomów głębokiego niezadowolenia klienteli wyborczej SFIO —

tj. głównie urzędników, elementu nauczycielskiego i tej części robotników, która skupiała pozostała pod wpływami socjalistycznymi zawodówka CGT Force Ouvrière.

Upadek gabinetu Schumana w końcu lipca br. zapoczątkował istną kaskadę przesileń. Po 30 dniach trwania upadł gabinet Marie, następnie po 48-godzinym istnieniu drugi gabinet Schumana. Następnie wiaź próba radykalnego uzdrowienia finansów, perspektywa 200-miliardowego deficytu na drugie półroczcie br., a niemal 700 miliardów franków niedoboru na rok 1949, zmuszały rząd do przedsięwzięcia środków heroiczych. Polegać by one winny na: 1) podniesieniu podatków bezpośrednich, 2) wzroście wszystkich podatków pośrednich, w szczególności taryf za usługi państwowe (koleje, komunikacje miejskie, poczta, telefony, etc., etc.), 3) zmniejszeniu, a częściowo zlikwidowaniu subwencji państwowych, wypłacanych dla utrzymania sztucznie niskiego poziomu cen na artykuły pierwszej potrzeby (przede wszystkim węgiel, chleb i mleko), 4) przeprowadzeniu radykalnych oszczędności, między innymi przez zredukowanie urzędników państwowych i administracji w przedsiębiorstwach wyodrębnionych i w znacjonalizowanych gałęziach przemysłu. Utworzony ostatnio rząd p. Queuille, jednego z przywódców partii radykalnej, usiłuje wśród niekończących się sporów pomiędzy partiami, wzrastającego nacisku Związków Zawodowych i nastrojów powszechnego niepokoju i niezadowolenia wypośredkować program, który by zastosował jednocześnie wszystkie te cztery zasadnicze linie działania. Rząd ten opiera się o koalicję idącą od skrajnej prawicy (PRL), a kończąc na socjalistach (SFIO). Uzgodnienie jednak programu naprawy wydaje się być prawdziwą kwadraturą koła.

Punkt pierwszy, tj. podniesienie podatków bezpośrednich, z których rząd chciałby dodatkowo uzyskać około 50 miliardów za krótki okres trzech miesięcy, które pozostają do końca roku budżetowego, wywołuje zdecydowany opór w klasach średnich, kupiectwie, przemyśle i w tzw. sferach gospodarczych.

Punkt drugi, wzrost taryf, podniesienie podatków pośrednich, punkt trzeci — zmniejszenie subwencji, powodujące z konieczności hauszę cen na artykuły pierwszej potrzeby, a wreszcie punkt czwarty — redukcje urzędnicze — wywołują gwałtowniejszą jeszcze opozycję klienteli partii «masowych» jak MRP i SFIO.

Wątko o każdą kolejną decyzję, o stopę wyżki płac robotniczych i urzędniczych, o wysokość liczych i skomplikowanych buchałteryjnie dodatków otrzymywanych przez ogół pracowników, o wysokość subwencji na utrzymanie niskich cen na artykuły pierwszej potrzeby, o każdą próbę redukcji etatów jest tak ostra, iż w warunkach chwiejnej większości w Izbie trudno jest rokować wysiłkom p. Queuille poważniejsze rezultaty.

Zagadnienia finansowe są, oczywiście, nie jedynym problemem, który Francja musiałaby jak najszybciej rozwiązać.

Reżim Trzeciej Siły stoi przed podwójną, wciąż rosnącą opo-

zycją, kierowaną przez de Gaulle'a, od prawicy, na lewicy zaś przez Partię Komunistyczną. Można by doszukać się tutaj analogii z sytuacją Rzeszy Weimarskiej z r. 1932, zagrożonej jednocześnie przez NSDAP i komunistów niemieckich. W istniejącym układzie rzeczy, rząd nie tylko musi zażądać niepopularnych ofiar od całego społeczeństwa, ale nie może jednocześnie liczyć na szybkie i uchwytne dla społeczeństwa sukcesy.

Co gorsze, istnienie tego rządu zagrożone jest w Parlamencie w każdej chwili wobec płynności układu partyjnego i konfliktów, rozzdzierających każdą niemal frakcję Izby tak, że z wyjątkiem komunistów żadne niemal stronnictwo nie głosiuje jednolite w najważniejszych sprawach państwowych. Odłożenie wyborów do Rad Kantonalnych do marca 1949 r., odsuwa sondaż opinii publicznej na okres 6 miesięcy. Zima najbliższa przynieść może zatem dalsze, głębokie pogorszenie się sytuacji gospodarczej i zaostrzyć jeszcze grożące krajowi konflikty społeczne.

Nie jest więc niespodzianką, iż nazwisko gen. de Gaulle'a coraz częściej powraca przy poszukiwaniu wyjścia z wytworzonego impasu; przy wszystkich ryzykach, które zawiera jego dojście do władzy, wydaje się, iż byłoby ono lepsze niż kontynuacja obecnego chaosu.

## „POD PRĄD”

*Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii  
(wychodzi 3 razy w miesiącu)*

**ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:  
FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.**

**DO NABYCIA:**

**FRANCJA:** «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV<sup>e</sup>.  
(cena 25 fr.).

**W. BRYTANIA:** Pokrzywy Londyńskie, 49, Mill Hill Grove,  
London W.3.

**BELGIA:** Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles  
(cena 7 fr.).

**WŁOCHY:** Jan Grochowski, via della Croce 81, Roma.

## Kronika kulturalna

### 75-letnia rocznica

### Polskiej Akademii Umiejętności

Rok rocznie w czerwcu Kraków przeżywał święto nauki polskiej, kiedy to po walnym zgromadzeniu Akademii Umiejętności odbywało się uroczyste posiedzenie publiczne z udziałem władz, poświęcone sprawozdaniu z jej czynności. Posiedzenie to, na którym ogłaszano również przyznanie nagród za prace naukowe i artystyczne, było — rzecz prosta — szeroko omawiane w prasie. Rezultat tych artykułów był jednak zupełnie nieoczekiwany. Rok rocznie mianowicie rektor S. Kutrzeba, długoletni Sekretarz Generalny Akademii dostawał listy od rozmaitych osób, które wyrażały chęć «zapisania się» na członków Akademii Umiejętności i deklarowały gotowość regularnego płacenia składki członkowskiej dla dopomożenia instytucji, o której ciężkim położeniu, jak również o zasługach dla nauki właśnie doniosła prasa. Śmiało się wszyscy serdecznie, kiedy nam to opowiadał w kawiarni Sekretarz Generalny, przyznam się jednak, że jednocześnie byłem tymi listami wzruszony. Oczywiście było to naprawdę komiczne, że ktoś chciał «zapisac się» na członka Akademii, której członkostwo uważane było za jedno z najwyższych odznaczeń naukowych. Z drugiej jednak strony fakt, że ktoś tak nieobeznany z tymi rzeczami, tak daleko stojący od życia naukowego, sam dobrowolnie zgłaszał gotowość płacenia składki na rzecz nauki polskiej, był istotnie wzruszający, zwłaszcza jeśli zważyć, że działo się to w kraju, w którym 99 % obywateli ledwo wiązało koniec z końcem.

Spółceństwo polskie ceniło Akademię Umiejętności i było z niej dumne. Trudno sądzić ile było w tym dumy czy próżności narodowej i chęci dorównania innym, a ile zrozumienia jej celów oraz przeświadczenia, że naród nie jest narodem w

pełnym tego słowa znaczeniu jeśli nie bierze czynnego udziału w budowaniu ogólnobudzkiego gmachu nauki i jeśli nie jest w stanie głębiej, naukowo pomyśleć nad sobą samym, swoją historią, językiem i kulturą. Jakkolwiek to jednak było, rezultat był dodatni, a było nim moralne i materialne poparcie Akademii i tych, którzy ją zapoczątkowali, budowali i rozwijali. Bez tego zaplecza nie podobna zrozumieć rozwoju Akademii, której majątek powstał prawie wyłącznie z prywatnych darów.

W krótkim szkicu o Akademii Umiejętności, wydanym w roku 1938, Stanisław Kutrzeba wyprowadza jej początki z pierwszych lat XIX wieku. Mianowicie Statut nadany Uniwersytetowi Jagiellońskiemu przez ks. Józefa Poniatowskiego w 1809 roku przewidywał utworzenie przy Uniwersytecie «Instytutu Akademickiego Krakowskiego», którego celem miało być popieranie rozwoju nauki. Wprawdzie ten projekt nie został zrealizowany, ale w roku 1815 po utworzeniu na Kongresie Wiedeńskim Wolnego Miasta Krakowa powstało «Towarzystwo Naukowe» z zadaniem krzewienia wiadomości z zakresu wszystkich nauk i sztuk, a przede wszystkim pielęgnowania zabytków historii i piśmiennictwa ojczyzstego. Towarzystwo to początkowo złączone było z Uniwersytetem Jagiellońskim (tak jak przewidywał projekt ks. Józefa), później jednak usamodzielniało się i przechodziło różne zmiany, aż do roku 1872, kiedy to przekształciło się w «Akademię Umiejętności w Krakowie», jak brzmiał jej oficjalny tytuł.

Początkowo Akademia składała się z trzech Wydziałów, a to: 1) filologicznego, 2) historyczno-filozoficznego i 3) matematyczno-przyrodniczego.

Zarówno moment powstania Akademii, jak i jej początkowy ustrój posiadają swoją wymowę i należy im poświęcić nieco uwagi.

W roku 1872 w Austrii zaledwo pięć lat upłynęło od przekształcenia państwa w monarchię konstytucyjną. Rozpoczęła się era liberalizmu ekonomicznego i politycznego, która miała trwać aż do wybuchu pierwszej wojny światowej i — upadku monarchii. Nie niemieckie narodowości Austrii skwapliwie skorzystały z tej zmiany, starając się nadrobić stracony czas i rozwijając swe życie narodowe i kulturalne.

Szczególnie silny i żywy był ten ruch w Galicji, gdyż tam w społeczeństwie polskim działały jeszcze inne, dodatkowe względy. Galicja, a zwłaszcza Kraków myślały i działały w dziedzinie kultury nie tylko za siebie, ale do pewnego stopnia za całą Polskę, za wszystkie trzy zabory, gdyż tutaj były największe możliwości, największa swoboda, tutaj wreszcie były jedyne dwa polskie Uniwersytety. Dlatego w Krakowie ruch ten miał charakter i zacięcie nie lokalne czy dzielnicowe, ale narodowe. Akademia oficjalnie nazywała się Akademią Umiejętności w Krakowie, od samego jednak początku uważała się i była uważana przez całe społeczeństwo polskie

za Polską Akademię Umiejętności, chociaż oficjalnie przybrała tę nazwę dopiero w roku 1919. Można powiedzieć, że energia, która wyrzuciła na powierzchnię życia polskiego Akademię, była energią ogólnopolską. Trzeba przy tym pamiętać, że energia polska w owym czasie najchętniej wyładowywała się w tym typie działania, w pracy organicznej. W roku 1872 jeszcze 10 lat nie minęło od ostatniego powstania polskiego w XIX wieku i wielkiego wstrząsu politycznego, jakie przeżyło społeczeństwo polskie. Był to okres radykalnej rewizji dotychczasowych poglądów i hasła, odwrót od romantyzmu politycznego, a zwrot do realizmu, pozytywizmu, do pracy organicznej. Założenie Akademii Umiejętności było m. in. wyrazem tej właśnie tendencji, a jeden z pierwszych jej prezesów, Tarnowski, był nieustrudzony w głoszeniu hasła pracy organicznej i w gaszeniu zapalów patriotycznych, które by groziły przerodzeniem się w pożar. Trzeba jednak powiedzieć, że ten realizm i pozytywizm miały specyficznie polski charakter. Tylko w Polsce realizm i pozytywizm mógł kazać Barczewskiemu fundować nagrodę za pracę historyczną, Jasińskiemu za «rycinę lub utwór muzyczny», a Jerzmanowskiemu za «prace naukowe, literackie lub działalność filantropijną». W każdym chyba innym kraju na kuli ziemskiej realizm wyraziłby się w popieraniu przemysłu, rzemiosła czy rolnictwa — Polska Akademia Umiejętności dopiero w latach dwudziestych 20-go stulecia utrzymała zapis Fedorowicza na prace z zakresu rolnictwa i Tyszkowskiego na badania lekarskie.

Wymowę posiada również zasadniczy ustrój Akademii. Z trzech jej pierwotnych wydziałów, dwa — to wydziały humanistyczne. Z tego wydział pierwszy — to wydział filologiczny, poświęcony zagadnieniom językoznawstwa, w pierwszym oczywiście rzędzie językowi polskiemu. Wydział natomiast drugi grupował nauki prawne, polityczne, ekonomiczne, społeczne, historyczne i filozoficzne.

Otóż jakkolwiek nie ma podstawy do twierdzenia, że podział Akademii na wydziały był przeprowadzany pod kątem widzenia politycznym i potrzeb narodowych, to jednak trzeba stwierdzić, że tym potrzebom znakomicie odpowiadał. Zbędne jest przypominać, że w czasie zaborów główną ostoją i bastionem polskości był język, i że przeciw niemu przede wszystkim był skierowany atak zaborców, zwłaszcza w zaborach rosyjskim i pruskim. Trzeba przy tym zaznaczyć, że niebezpieczeństwo, na jakie marazony był język polski, było podwójne. Jedno — to niebezpieczeństwo eksterminacji, ale poza tym nawet gdyby język oparł się zwycięsko próbom eksterminacji, groziło mu zawsze drugie niebezpieczeństwo — zaśmiecenia obcymi naleciałościami i zepchnięcia do poziomu gwary. Z chwilą jednak powstania Akademii Umiejętności, w jej wydziale pierwszym została stworzona instytucja, która była szczególnie powołana, by nad językiem rozłoczyć najwyższą opiekę.

Początki tych badań językowych były skromne i miały właściwie charakter inwentaryzacji materiałów. A więc były to opisy dialektów z różnych stron Polski przez Malinowskiego i jego uczniów jak Bystronia i Zawilińskiego, był *Słownik języka pomorskiego czyli kaszubskiego* S. Ramulła (1893), był *Słownik gwar polskich* J. Karłowicza (1900-1911), były wreszcie wydawnictwa zabytków języka polskiego. Z biegiem jednak czasu badania różniczkują się i bogacą, rozwija się polska dialektologia i fonetyka, historia języka i gramatyka porównawcza. Mnożą się również i wydawnictwa; oprócz *Prac Komisji Językowej*, zaczyna ukazywać się *Rocznik slawistyczny* oraz bardziej popularny, a bardzo zasłużony *Język Polski*.

Trudno jednak uprawiać studium samego języka, a pominąć literaturę w tym języku spisana. Toteż, obok Komisji Językowej, powstała w wydziale pierwszym Komisja Historii Literatury, której staraniem wydawano *Archiwum do dziejów literatury i oświaty*. Przedruk klasycznych dzieł literatury staropolskiej podjęto w *Bibliotece Pisarzy Polskich*, która przed wojną doszła do 86 tomów. Ponadto sporo dzieł wydano osobno jak *Zwierciadło* Reja i inne. W wydawnictwach Akademii wyszło też sporo podstawowych opracowań z tej dziedziny — jak Chrzanoskiego i Brücknera o Reju, Tretiaka o Skardze, Windakiewicza i Szykowskiego o dziejach teatru w Polsce itp.

Nie sposób jednak ograniczyć się do tzw. literatury pięknej jedynie. Język oddaje myśli i uczucia nie tylko «dyplomowanych» myślicieli i «kwalifikowanych» poetów. Historia literatury byłaby bardzo niekompletna, gdyby nie uwzględniała pieśni ludowych, podań, bajek, klecht i przysłów, tej zaś dziedziny nie podobna oddzielić od zwyczajów ludowych w najszerszym tego słowa znaczeniu, to znaczy od etnografii i etnologii. Akademia zdawała sobie z tego sprawę, toteż dopomogła do wydania monumentalnego dzieła Kolberga pt.: *Lud, jego zwyczaje i sposób życia*, oraz długiego szeregu rozpraw i wydawnictw ze wszystkich działów etnografii i etnologii.

Wspomniane trzy działy nie wyczerpują zakresu prac i zainteresowań wydziału pierwszego. Wchodzą wenił jeszcze filologia klasyczna, orientalna i nowożytna oraz historia sztuki. Nie będziemy jednak omawiać dorobku tych Komisji, gdyż przekroczyłoby to ramy określone dla niniejszego artykułu, lub zmieniłoby go w rozumowany katalog wydawnictw Akademii. Ograniczymy się do jednej tylko refleksji.

Przed 75-ciu laty nauka o języku polskim właściwie nie istniała. W ciągu 75 lat swego istnienia Akademia wydrukowała dziesiątki podstawowych wydawnictw i setki rozpraw i artykułów. W ten sposób nie tylko zapoczątkowano naukowe opracowanie języka polskiego, nie tylko stworzono niezbędne naukowe pomoce dla tego celu, publikując materiały, teksty i słowniki, ale, co nie mniej ważne, — stworzono i rozwinięto

szacunek i kult dla języka i poprawności w używaniu go. Doprowadzało to czasami do przesadnego i nieraz zabawnego puryzmu językowego, co jednak było drobnostką wobec olbrzymich dodatnich rezultatów. Kult dla języka panował nie tylko w sferach Akademii, ale promieniował w dół od członków Akademii i profesorów Uniwersytetu poprzez ich uczniów na całą młodzież. Pamiętam, że w klasie 4 gimnazjalnej (starego typu) w latach dziesiątych bieżącego stulecia, zrobienie błędu ortograficznego w wypracowaniu szkolnym nie tylko automatycznie obniżało notę z opracowania o dwa stopnie, ale przez nas samych, sztubaków, było uważane za czyn prawie że hańbiący. Trudno powiedzieć, jakby wyglądał narodowy stan posiadania w dziedzinie języka, gdyby nie 75 lat pracy wydziału pierwszego Akademii. Przypuszczać jednak można, że wyglądałby źle i kto wie, czy dzisiaj nie musielibyśmy dopiero przekonywać obcych, «że Polacy nie gęsi, i swój język mają».

Wiek XIX był dla nauk historycznych tym, czym wiek XVII dla nauk przyrodniczych — wiekiem odrodzenia i rozkwitu. Dopiero teraz człowiek zaczął w całej pełni myśleć o sobie i o społeczeństwie ludzkim kategoriami historycznymi, wszystko jedno czy to będzie idealistycznie pojęta historia Hegla czy materialistyczna Marksa. Człowiek w swoim własnym ujęciu przestaje być tworem stałym i niezmiennym i coraz częściej, coraz powszechniej zaczyna być rozpatrywany jako produkt procesu historycznego i to procesu niezakończonego. Na miejsce przyrodniczego, Feuerbachowskiego *Der Mensch ist was er isst* (człowiek jest tym co je) przychodzi ujęcie inne, według którego człowiek, naród, klasa i wogóle społeczeństwo jest tym czym uczyniła go historia. Stąd nauki historyczne zyskują na znaczeniu, a w całej Europie przede wszystkim zaś w Niemczech, które w tej dziedzinie przodują, rozpoczyna się niezmiernie żywy ruch naukowy i wydawniczy na polu historii. Rozpoczyna się na wielką skalę publikacja źródeł z całym aparatem krytyki naukowej, której wymagania stają się coraz wyższe; w ślad za tym zjawiają się opracowania naukowe, syntez historyczne i... wnioski polityczne. Widzieliśmy niedawno, jak krótką jest droga od historii czy prehistorii do polityki, jak uzasadnia się decyzje polityczne argumentami historycznymi i jak na podstawie tychże samych argumentów historycznych odmawia się innym narodom prawa do życia. Trzeba zaś zaznaczyć, że przy końcu XIX wieku, były to czasy Bismarcka, nie było inaczej. Toteż nie dziwnego, że rozwój historii w całej Europie, a zwłaszcza historii niemieckiej, był silnym bodźcem do rozbudowania i historii polskiej. W rezultacie, jak stwierdził Kutrzeba, «po założeniu Akademii chyba najbuźniejszą działalność rozwinął wydział historyczno-filozoficzny, kładąc nacisk przede wszystkim na prace i wydawnictwa z zakresu historii.» Ogrom pracy włożonej i rezultatów

osiągniętych w tej dziedzinie jest istotnie oszałamiający. Akademia podejmuje rozpoczęte przez Bielowskiego *Monumenta Poloniae historica*, tworzy *Monumenta mediae aevi historica*, *Acta historica res gestas Poloniae illustrantia* (dla dziejów nowszych), *Monumenta Poloniae Vaticana*, a oprócz tego wydaje setki po prostu źródeł do najrozmaitszych dziedzin i epok historii. Równocześnie na posiedzeniach wydziału w dyskusjach i referatach powstaje nowoczesna historia polska. Tu koncentrują się prace i działalność Szujskiego, Smolki, Piekosińskiego, Bobrzyńskiego, Ulanowskiego, Semkowicza, Korzona, Balcera, Sobieskiego, Zakrzewskiego, Kutrzeby, Konopczyńskiego i dziesiątków innych. Tutaj wreszcie dyskutuje się najbardziej zasadnicze zagadnienia historii narodowej, wyrastające poza ramy czysto naukowych teoretycznych rozważań, zagadnienie jak powstałyśmy jako naród i państwo (dyskusja Bobrzyński-Piekosiński-Smolka w 1881 r.) i to drugie najboleśniejsze, ale i najbardziej pasjonujące, jak i dlaczego to państwo utraciliśmy.

Jakkolwiek zainteresowania historyków polskich koncentrowały się przede wszystkim na historii politycznej i ustrojowej, to przecież nie zaniedbano i innych działów. W tym czasie dopiero powstaje polska prehistoria, historia sztuki, dla której największe zasługi położył Sokolowski i historia wojskowości z podstawowymi pracami Górskiego, Korzona i Kukiela.

Oprócz wspomnianych wyżej wydawnictw pierwszego i drugiego wydziału, Akademia prowadziła wydawnictwa ogólne, w których wymienimy tylko dwa: pierwsze — to bibliografia wszystkich druków polskich i w Polsce wydawanych od początków sztuki drukarskiej aż do chwili obecnej. Wydawnictwo to jedyne w swoim rodzaju, dzieło trzech pokoleń rodziny Estreicherów, rozpoczęte jeszcze przed powstaniem Akademii, ma być ukończone w tym roku. Drugie — to Polski Słownik Biograficzny, zainicjowany przez W. Konopczyńskiego, a pomyślany na wzór francuskiego *Dict. de Biographie Universelle*, lub angielskiego *Dict. of National Biography* ma objąć 20 tysięcy życiorysów najwybitniejszych Polaków wszystkich czasów (z wyjątkiem żyjących).

Oceniając prace obu wydziałów humanistycznych Akademii w ciągu 75 lat jej istnienia, trzeba powiedzieć wyraźnie, że bez tej pracy humanistyka polska nie byłaby tym, czym jest teraz, tzn. zespołem nowoczesnych nauk, nie stojących niżej od nauki innych narodów. Trzeba zaś zdać sobie sprawę, że tak jak grupa ludzka bez własnego języka, historii i sztuki nie jest narodem — tak żaden naród nie może w XX wieku uważać się za naród nowoczesny i kulturalny bez własnej narodowej humanistyki. Naród nie istnieje bez świadomości narodowej i narodowej odrębności, a tę świadomość zyskuje nie przez co innego, jak przez refleksję nad sobą samym, swym językiem, twórczością i przeszłością, czyli przez naukowe humanistyczne myślenie.

Rola i zasługa dwu innych wydziałów tzn. matematyczno-przyrodniczego, a od roku 1930 również wydziału lekarskiego — była nieco inna. Na wewnątrz, tzn. w stosunku do społeczeństwa polskiego dbały one, by w dziedzinie nauk przyrodniczych i lekarskich Polska nie pozostawała w tyle za innymi narodami i by brała czynny udział w dalszym rozwijaniu tych nauk. Całą zaś resztę cywilizowanego świata wydziały te przez swoją działalność informowały o polskiej produkcji naukowej. Zresztą to ostatnie zadanie spełniały w równej mierze wszystkie wydziały Akademii. Wydawane przez Akademię *Comptes rendus* i *Bulletins*, podające w obcych językach streszczenia prac polskich uczonych, były biletami wizytowymi i listami prowadzącymi Polskę do klubu intelektualistów całego świata. Zanim jeszcze po odzyskaniu niepodległości zaczęli Polskę reprezentować jej dyplomaci i ministrowie, była ona już reprezentowana na terenie międzynarodowym przez swoich uczonych, a «sprawy zagraniczne» Polski, wtedy, gdy jeszcze nie istniał M. S. Zegr., prowadziła Akademia Umiejętności.

Dzieła, które Akademia w ciągu 75 lat swego istnienia bądź sama wydała, bądź subwencjonowała — to spora biblioteka. Rzecz prosta, że taki ogrom pracy mógł być w tak krótkim czasie wykonany jedynie zbiorowym, zespołowym wysiłkiem, czyli wysiłkiem zorganizowanym i planowanym. Ten fakt nie ulega żadnej wątpliwości, ale trzeba sobie zdać sprawę, że kiedy wygłaszamy takie twierdzenie, to potrącamy a raczej przesadzamy kwestię zasadniczą — możliwości organizowania i planowania w dziedzinie twórczości duchowej.

Nie ma może zagadnienia, które by w chwili obecnej było bardziej żywo i namiętnie dyskutowane aniżeli zagadnienie planowania. Główną przy tym trudność upatruje się w problemie pogodzenia samej idei planowania w skali społecznej, czyli masowej, z wolnością i autonomią indywidualną. Jeśli te trudności widzi się już w dziedzinie działalności ekonomicznej, to cóż dopiero mówić o dziedzinie twórczości intelektualnej. Przecież twórcza, odkrywczą praca naukowa uchodzi za działalność tak indywidualną, że aż kapryśną i wymykającą się spod wszelkich obliczeń, planów i kalkulacji. Dla wyrażenia tej nieobliczalności mówi się o «iskrze Bożej», o tym, że *spiritus flat ubi vult*, a przypadkowość odkryć naukowych ma symbolizować do znudzenia powtarzana anegdotka jak to spadające jabłko nasunęło Newtonowi ideę prawa grawitacji, z czego dla wielu wniosek oczywisty, jakkolwiek niezupełnie logiczny, że gdyby nie to historyczne jabłko, nie byłoby Newtonowskiej fizyki. Ale *contra factum non valet argumentum*, a faktem jest, że wszystkie akademie świata, a więc i Polska Akademia Umiejętności pracę w dziedzinie nauki organizowały i planowały z niezłym rezultatem, nie czekając na teoretyczne rozstrzygnięcie kapitalnego pytania, czy to jest wogóle możliwe.

Dlatego też zamiast pytać «czy to jest możliwe», na co praktyka już dała odpowiedź, spytajmy «jak to jest możliwe»,

a odpowiedź na to pytanie pokaże nam równocześnie jak nasza Akademia doszła do swoich imponujących rezultatów i jak wygląda jej wewnętrzne życie i praca.

Jak wspomnieliśmy, planowanie twórczej pracy naukowej jest ogólnie uważane za rzecz niemożliwą dlatego, że według rozpowszechnionego przekonania nie da się pogodzić wolności i swobodnej twórczości naukowej z planem ogólnym, który siłą rzeczy jest jednostce narzucony. Dowodzi się, że wtłoczenie jednostki w planowany schemat musi ją skrzywić i spaczyć i że w takich warunkach twórczość musi zamrzeć. Argumenty te opierają się na założeniu, że jedynym typem planowania jest planowanie oparte na przymusie, to, jakie niestety coraz powszechniej widzimy dookoła siebie. Takie planowanie w dziedzinie twórczości naukowej jest niemożliwe rzecz prosta, a raczej nie daje rezultatów. Genialne myśli nie przychodzą do głowy na rozkaz i na rozkaz nie robi się wynalazków i odkryć naukowych. W dziedzinie twórczości duchowej planowanie i organizacja pracy musi mieć zupełnie specyficzny charakter i może polegać jedynie na stwarzaniu jednostkom odpowiedniej atmosfery i warunków i na poddawaniu, ale nie narzucaniu zagadnień i kierunków badań. Tak działają wszystkie akademie i tak od początku działała Polska Akademia Umiejętności.

Tworzenie w obrębie Akademii wydziałów, a w obrębie wydziałów komisji dla takich czy innych zagadnień i wydawnictw, to nie innego jak tworzenie zespołów dla wspólnej pracy intelektualnej przez dyskusję i krytykę. Trzeba przy tym zaznaczyć, że ilość tych komisji nie była z góry ustalona, ale że powstawały one w miarę potrzeby. Po prostu gdy wyipywało jakieś zagadnienie naukowe, wymagające większej pracy, tworzone odpowiednią komisję. W ten sposób rozwijające się i narastające życie naukowe samo stwarzało sobie nowe formy organizacyjne, które raz stworzone z kolei planowały następny etap pracy. Warto też tutaj podkreślić, że Polska Akademia przestrzegała tej zasady pracy zespołowej i samokrytyki bardziej rygorystycznie niż inne tego rodzaju instytucje zagraniczne i że żadna rozprawa, choćby jej autorem był najpoważniejszy uczony i członek Akademii, nie mogła być ogłoszona w jej publikacjach, jeśli nie była referowana i przyjęta na jednym z jej posiedzeń.

Innymi sposobami organizowania pracy naukowej przez Akademię były ogłaszane przez nią konkursy na pewne specjalne zagadnienia, udzielanie nagród za prace z pewnej dziedziny i wreszcie organizowanie zjazdów naukowych jak np. w roku 1880 zjazd w 400-lecie śmierci Jana Długosza, lub w roku 1930 zjazd w 400-setną rocznicę urodzin Jana Kochanowskiego, które w plonie dawały zwiększone zainteresowanie daną postacią na lat kilka i szereg nowych prac.

Powiedzieliśmy, że istotą działalności Akademii było stwarzanie odpowiedniej atmosfery i warunków, w których mogłaby

się rozwijać myśl naukowa. Byłoby jednak błędem sądzić, że Akademia ograniczała się do organizowania posiedzeń i dyskusji. Członkowie zarządu Akademii zdawali sobie dobrze sprawę (wielu z nich z własnego młodzieńczego doświadczenia), że twórcza myśl naukowa zarówno nie znosi pustej głowy jak i pustego żołądka. Toteż nie mała część fundusów Akademii szła na stypendia zarówno krajowe jak i zagraniczne, a wielu — zwłaszcza młodych i początkujących uczonych — wiązało koniec z końcem swych chudych budżetów miesięcznych, dzięki dodatkowym pracom bibliotekarskim czy archiwistycznym, płatnym przez Akademię.

Wreszcie organizacja pracy naukowej jest nie do pomyślenia bez odpowiedniego warsztatu w sensie bardziej materialnym, tzn. bez odpowiedniej biblioteki i zbiorów muzealnych. I na tym polu Akademia może się wykazać okazałym dorobkiem. Przed wojną biblioteka Akademii dochodziła do 200 tysięcy tomów, a trzy jej muzea (archeologiczne, historii sztuki i fizjograficzne) posiadały bogate zbiory, wśród nich zaś niektóre okazy jedyne w swoim rodzaju, jak doskonale zachowany okaz dyluwalnego nosorożca ze Staruni.

Na to by być powołanym do grona członków Akademii, trzeba było wykazać się okazałym dorobkiem naukowym, tego zaś nie zdobywa się szybko. Toteż każda Akademia jest zespołem ludzi, mówiąc eufemistycznie, dojrzałych. Polska Akademia nie była pod tym względem wyjątkiem, ale na jej pochwałę trzeba zaznaczyć, że nie było w niej tendencji do separowania się od młodszych. Wręcz przeciwnie, Akademia dbała bardzo o to, by już wcześniej wciągać młode siły w prace Akademii. W tym celu, obok kategorii członków Akademii, stworzono klasę tzw. współpracowników komisji. W rezultacie młoda twarz i bujna czupryna nie była wcale rzadkim zjawiskiem na posiedzeniach Akademii, a niektóre komisje miały zdecydowaną przewagę młodych.

Akademia zdawała sobie sprawę, że żyć i rozwijać się w izolacji nie może, i dlatego tak jak dbała o dopływ młodych sił, tak też dbała o kontakt z całym światem naukowym. Kontakt ten utrzymywała nie tylko przez wymianę swych publikacji z 91 akademiami i 1.106 instytucjami naukowymi w 53 krajach wszystkich części świata, nie tylko przez udział w międzynarodowych związkach akademij (Union International Académique oraz Conseil International des Unions Scientifiques), ale także przez swoje stacje naukowe w Paryżu i Rzymie, których działalność wymagałyby właściwie omówienia w osobnym artykule.

Polska Akademia Umiejętności przetrwała zwiędniętą ostatnią wojnę. Mimo nadszarpnięcia jej finansów wskutek zniszczenia majątków działaniami wojennymi, mimo strat w zbiorach częściowo zrabowanych przez hitlerowskich specjalnie w tym celu przysłanych «naukowych» rzeczoznawców, mimo, iż wojna

zmniejszyła grono jej członków, z których wielu zginęło w niemieckich obozach, Akademia wznowiła natychmiast swą działalność po cofnięciu się okupanta, a dzisiaj w 3 lata po zakończeniu wojny osiąga w swych publikacjach poziom przedwojenny dochodząc w roku bieżącym do 100 arkuszy druku.

Jaki jest program i plan działania Akademii na przyszłość, tego dowiemy się od członków jej Zarządu podczas uroczystości jubileuszowych, które odbędą się w początkach października. Wierzmy, że ten program, oby jak najbogatszy, będzie zrealizowany. Wierzmy w żywotność i rozwój Polskiej Akademii Umiejętności tak, jak wierzymy w żywotność i rozwój Narodu Polskiego, którego ona jest istotną i niepoślednią częścią.

Marian HEITZMAN.

## Zjazd naukowy w Monachium

Zagadnienie nauki polskiej na obczyźnie nie doczekało się dotychczas swego rozwiązania, odpowiadającego potrzebom kraju i emigracji. Nie negując oczywistego faktu, że główną przeszkodą były tu ogromne trudności natury materialnej, oraz niemożliwość skupienia wszystkich sił pracujących naukowo oraz młodzieży, która pragnęłaby się kształcić, nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że pewną winę ponosi tu z góry zakładana tymczasowość wszelkich poczynań oraz rozbieżność w różnych kierunkach wysiłków, które były niewątpliwie podejmowane.

Istnieją dziś różne ośrodki dookoła których skupiają się polscy pracownicy naukowcy, bądź takie, w których kształcą się mniejsze lub większe grupki młodzieży. Nie istnieje jednak żadne środowisko naukowe polskie, może właśnie dlatego, że pracujemy w zbytym rozproszeniu.

Nawet jednak rozproszenie od Libanu po Edynburg czy też po Nowy York nie stanowiłoby zasadniczej przeszkody do wzajemnej wymiany myśli, do poznawania zarówno przez kształcąca się młodzież, jak i przez pracowników naukowych wyników pracy Polaków, rozproszonych po całym świecie.

Cierpimy niewątpliwie na przerost publicystyki, na znane już dostatecznie i ostatnio mocno krytykowane zjawisko upartego przekonywania się wzajemnie o rzeczach, o których jesteśmy wszyscy przekonani, przy ciągłym powtarzaniu i stopniowym spłycaaniu tego, co się pisze. Jest to odwieczny problem każdej publicystyki. Są tacy, którzy piszą wszystko co wiedzą i tacy którzy wiedzą o wiele więcej niż to, co piszą. Postaram się jasniej sformułować tę myśl:

Publicysta o bogatym zasobie wiedzy czerpie z niego to,

co w danej chwili uważa za potrzebne powiedzieć szerszym masom, będzie on miał zawsze z czego czerpać, gdyż proste, syntetycznie spopularyzowane ujęcia czerpie z analizy, opartej na wszechstronnym i krytycznym myśleniu. Tego rodzaju publicystyka nie może istnieć bez własnego środowiska naukowego, ściśle się wyrażając, o ile będzie się opierała wyłącznie o obce środowiska naukowe, przestanie być z czasem polska.

Można by oczywiście przeciwstawić temu pogładowi twierdzenie, że nie wolno się zamykać w polskim środowisku, gdyż w ten sposób odcinamy się od ruchu umysłowego na zachodzie, zostajemy w polskim ghetcie i nigdy nie będziemy w stanie ze swej strony oddziaływać na obce środowiska, nie będziemy mogli naprawdę niczego tworzyć w oderwaniu od obcej nauki. Twierdzenie niewątpliwie słuszne i w gruncie rzeczy szkoda tracić czasu na polemizowanie z nim. Trzeba jednak pamiętać o tym, że po pierwsze niebezpieczeństwo zamykania się w polskim ghetcie myślowym mogło być groźne w pierwszych latach emigracji, obecnie zaś z upływem lat rośnie niebezpieczeństwo inne, oderwania się od polskości, po drugie zaś skutki ghetta myślowego będą tym zgubniejsze, im mniejsze są te ghetta. Ostatecznie świat jest też ghettem izolowanym: chodzi po prostu o to, że małe ghetto jest stokroć niebezpieczniejsze od ghetta większego. Rozwiązanie dylematu polega więc na urzeczywistnieniu postulatów, o którym wspomniałem na wstępie, tj. postulatów stworzenia jednego środowiska myśli polskiej. Środowisko to tym silniej będzie promieniować na zewnątrz, im wszechstronniej czerpać będzie zarówno z myśli obcej, jak i z dawnej myśli polskiej wzgl. o ile to możliwe z myśli polskiej w Kraju.

Spojrząwszy jasno i trzeźwo na rzeczywistość, trzeba uznać także smutny fakt, że warunki dla rozwoju nauki polskiej w kraju będą coraz gorsze i że nauka ta coraz dokładniej wręczana będzie w służbę ślepej wiary w zasady dialektyki materialistycznej. Musimy zrobić wszystko co leży w naszej mocy, by wszelkie cięsy, spadające na kulturę i naukę polską w kraju były wyrównywane zdobyczami kultury i nauki polskiej na obczyźnie.

Byłoby wielkim złudzeniem przypuszczać, że można utrzymać czynne politycznie środowisko emigracyjne bez żywotnej nauki polskiej, a zwłaszcza bez przyrostu nowych sił. Doświadczenia emigracji rosyjskiej są tu bardzo pouczające. Na obcych ziemiach pozostało po rewolucji bolszewickiej wielu nawet bardzo wybitnych uczonych rosyjskich, którzy stopniowo wsiąkali w obce środowiska, kiedy równocześnie młode pokolenie rosyjskie całkowicie wynaradawiało się.

Oczywiście jakakolwiek akcja, podjęta w tym kierunku, musi być oparta o plan wieloletni, czemu nie sprzyja atmosfera tymczasowości. Jeżeli mamy się zajmować wyłącznie debatowaniem nad tym, kiedy wybuchnie wojna, nie będziemy mieli czasu zajmując się całym tym, budząc najpoważniejszym dziś zagadnieniem politycznym na obczyźnie. Możemy też dojść do przekonania,

że zajmować się nim nie warto, bo właśnie ma wybuchnąć wojna. Pytanie jednak dlaczego wybuch wojny ma zdezaktualizować dążenia do stworzenia ośrodka polskiej pracy naukowej na obczyźnie. Nie tracą one przecież racji bytu nawet i w razie wyzwolenia Polski choć zmieni się może ich charakter i zadania. W każdym razie jednak w czasie trwania wieloletniej wojny utrzymanie aktywności tych środowisk będzie równie ważne jak w okresie międzywojnia. Ośrodki takie muszą się więc tworzyć tam, gdzie istnieje najwięcej szans, że będą mogły swą aktywność utrzymać.

Nie wierzę w to, by na dłuższy czas mogła się utrzymać nauka polska na obczyźnie bez jej odbiorców. Tylko w zupełnie wyjątkowych wypadkach zony pracować może bez uczniów i bez otoczenia, z którym wymienia myśli. Otóż w dziedzinie wszystkich nauk, związanych z polskością, a o te przede wszystkim chodzi, istnieje musi łączność twórcy z odbiorcą, czyli uczniem. Jeżeli nawet nie będzie możliwe utrzymanie tej łączności w tradycyjnych i utartych ramach wyższej uczelni, to znaleźć się muszą inne sposoby oddziaływania zarówno na tych, którzy studiują w obcych uczelniach, jak i na tych, którzy, dajmy na to, pracują w charakterze drwali czy górników.

Jeżeli w języku polskim docierają będą do Polaków rozproszonych na obczyźnie tylko polemiki na temat reprezentacji tego lub owego ugrupowania w rządzie londyńskim lub przekonujące wywody o tym, że Stalin jest zbrodniarzem, to oczywiście jednostki bardziej wymagające, czyli te, o które najbardziej chodzi, będą się coraz bardziej odrywać od łączności z Polską.

Rzecz oczywista w różnym stopniu, w różnych dziedzinach nauki istnieje konieczność utrzymania aktywności wiedzy polskiej. Mogłoby się na przykład wydawać, że jest rzeczą obojętną, czy fizyk lub dajmy na to chemik będzie miał do czynienia z polską literaturą i polskimi uczniami w swojej dziedzinie. Jednakże i w tych tak specjalnych działach zagadnienie nie jest bynajmniej nieaktualne. Przecież ludzie po pewnym czasie tracą zdolność wypowiedzania się w języku polskim w swojej dziedzinie wiedzy, co oczywiście jeszcze w dużej mierze stopniu grozi młodemu pokoleniu, które się dopiero kształci i łatwo może nawet nie znać terminologii polskiej. Zupełnie nie jest rzeczą obojętną, czy słuchacz uczelni technicznej obcej będzie wyłącznie zdany na obcą literaturę, czy też choćby raz na rok dostanie do ręki mały przyczynnik w języku polskim, odpowiadający współczesnemu stanowi wiedzy.

Chodzi więc przede wszystkim o utrzymanie tego, co nazwałbym polską «komunikacją» naukową na obczyźnie. Temu celowi odpowiadać miał Polski Zjazd Naukowy, który odbył się na terenie Monachium, w końcu sierpnia br. Zadanie, jakie mu postawiliśmy, było skromne: zebrać kilkunastu ludzi z najróżniejszych dziedzin wiedzy i dać im możliwość podzielenia się wynikami ich badań i prac z gronem słuchaczy polskich.



Wygłoszone na zjeździe referaty mają być powielone, po to by mogły dotrzeć również do środowisk polskich w innych krajach.

Muszę się przyznać, że do jego organizacji przystępowaliśmy z poważnymi obawami. By zrozumieć te obawy, trzeba znać życie polskie w Niemczech, nieustająca i beznadziejna walka z wszelkiego rodzaju trudnościami, odciepienie od bibliotek, pracowni itp., ciągłe poczucie tymczasowości i niepewności, jakie charakteryzują nasze życie.

Należy tu wyjaśnić, że Koło Profesorów i Asystentów uniwersyteckich w Monachium, organizujące zjazd, skupia w większości ludzi raczej młodych, którym wojna uniemożliwiła kontynuowanie pracy rozpoczętej na stanowiskach asystenckich lub im podobnych. Ludzie ci skupili się w Monachium dlatego, że tu powstał w 1946 roku Międzynarodowy Uniwersytet UNRRA, otwarty bardzo szumnie przez dowódcę armii amerykańskiej, gen. Truscotta.

Uniwersytet ten, w którym zresztą Polacy, jako wykładowcy, reprezentowani byli mniej licznie niż inne narodowości DP stosował zasadę nominowania przez senat sił naukowych z tym, że normalna procedura habilitacji miała być przeprowadzona później. Takie postawienie sprawy było konieczne ze względu na warunki wojenne i pewne wymagania formalne. (Asystenci nie mogą egzaminować). Ponieważ pracownicy naukowscy polscy ze względów zrozumiałych zawiązali od razu swoją organizację, działającą przy uniwersytecie UNRRA, organizacja ta przybrała nazwę Koła Profesorów i Asystentów uniwersyteckich, podobnie jak i organizacje naukowe innych narodowości, działające przy tym uniwersytecie.

Stąd powstała nazwa, budząca pewne zastrzeżenia z tego powodu, że zdaniem niektórych osób nie ma u nas «autentycznych» profesorów. W związku z tym nawet jeden z felietonistów tuższych gazet nazwał nasze Koło «Związkiem niedoświadczonych profesorów, zamkniętych wyższych uczelni», o co, o ile mi wiadomo, nikt z nas się nie obraził.

Warto jeszcze wspomnieć o tym zamknięciu. Otóż uniwersytet został zamknięty z równie wielkim hałasem, jak ten, który czyniono przy jego otwarciu. Tym razem hałas robili studenci, protestujący przeciw nagłemu odebraniu możliwości studiów. Mimochodem warto zauważyć, że dotychczas nie wiadomo co się stało z kosztownymi nieraz urządzeniami laboratoriów, nabytymi ze składek studentów. Zaopiekowała się nimi UNRRA, która, gdy była mowa o ponownym uruchomieniu uniwersytetu, odmówiła wydania tych urządzeń, motywując to brakiem dowodu, iż składki, za które urządzenia te nabyto, nie pochodziły z zysków na czarnym rynku. Dosłownie.

Wspominam o tych wszystkich okolicznościach dlatego, by dać obraz kompleksu niższości, w jakim tu nieustannie pracujemy. Na tle tego kompleksu słowa uznania, z jakim się spotkali i w czasie Zjazdu i po Zjeździe były dla nas ogromną

niespodzianką. Widocznie zagranicą przypisano naszym skromnym poczynaniom większą wagę od tej, którą my sami im przypisywaliśmy, skoro nawet fakt odbycia zjazdu uznano za odpowiedni do wyzyskania dla jakichś «rozgrywek».

Wydaje mi się, że zupełnie odruchowy wyraz po prostu radości słuchaczy z tego, że nasz zjazd się odbył dowodzi, iż dokonaliśmy nieświadomie zupełnie pewnego odkrycia z dziedziny «komunikacji» kulturalnej polskiej. To co uważaliśmy za słabą stronę zjazdu było, jak się okazuje, właśnie jego najmocniejszą stroną. Mam na myśli rozproszenie tematów. Obejmowały one mniej więcej tyle dziedzin wiedzy, ilu było referentów.

Na pierwszy rzut oka taka kumulacja tematów wydaje się zupełnie błędna. Tymczasem wbrew naszym przewidywaniom, wedle znanego wyrażenia niemieckiego «z konieczności zrobiliśmy cnotę». Ponieważ referenci wiedzieli z góry, że będą mieli do czynienia z audytorium niespecjalizującym się w ich dziedzinie, starali się o odpowiedni wybór tematów, takich, któreby w pewnym przynajmniej stopniu mogły być dla wszystkich zrozumiałe wzgl. mogłyby wszystkich zainteresować.

Jeżeli się mówi, że specjalizacja jest wrogiem wszechstronności rozwoju umysłowego, to właśnie takie zestawienie najróżniejszych tematów może być najlepszym antidotum na zacieśnianie horyzontów myślowych przez wyłączenie ograniczanie się do swojej dziedziny. Oczywiście pod warunkiem, że referenci nie wpadną w niebezpieczną manierę ofiarowywania ścisłości myślenia dla popularyzacji, bo na tym ludzie się łatwo poznają.

Profesor uniwersytetu z Bonn Włodzimierz Szyłkarski, przemawiając na zakończenie zjazdu oświadczył, że dosłownie «wykapał się w polskość». Istotą właśnie tej «kapieli» jest fakt, że ludzie mający dziś w swojej dziedzinie do czynienia niemal wyłącznie z literaturą w obcym języku i współpracownikami oraz uczniami nie mówiącymi po polsku na płaszczyźnie pewnego przeglądu osiągnięć innych gałęzi wiedzy, spotykają się z Polakami i mówią po polsku. Tu właśnie mieści się oryginalna recepta na utrzymanie polskości w obcych środowiskach naukowych i na tym może polega nasz największy i powiedzmy sobie, przypadkowy wynalazek.

Z punktu widzenia swojej specjalności, każdy z referentów nie wyniósł oczywiście ze Zjazdu takich korzyści, jakie by wyniósł, gdyby zetknął się ze «swoim» audytorium, które przeprowadziłoby specjalistyczną dyskusję. Można nawet powiedzieć, że z punktu widzenia poszczególnych specjalizacji, była to dla referentów czysto strata czasu, a jednak referenci ci byli również zadowoleni z faktu odbycia zjazdu, jak i słuchacze.

Co do tych ostatnich warto zaznaczyć, że frekwencja na Zjeździe, w przeciwieństwie do tego co się zwykle widzi, nie malała w toku obrad, lecz wprost przeciwnie, rosła. Podkreślono też, że wśród gości byli przedstawiciele nauki białoruskiej, gruzińskiej, litewskiej, słowackiej, ukraińskiej i węgierskiej, a wielu z nich brało żywy udział w dyskusjach. Jest to zresztą zjawisko

dobrze nam znane w Monachium, które już od paru lat odgrywa rolę ośrodka żywej współpracy narodów Europy Środkowo-Wschodniej.

Na osobne podkreślenie zasługuje żywy udział młodzieży akademickiej w Zjeździe. Monachijska Bratnia Pomoc oddała organizatorom wielkie usługi, biorąc na siebie całą niemal pracę techniczną, udzielając kwater dla przyjezdnych, sali na obrady itp.

I jeszcze jedna uwaga ogólnej natury. Miałem sposobność obserwować siedzących w pierwszych rzędach przedstawicieli organizacji uchodźstwa polskiego różnych ugrupowań, którzy przyjaźnie wymieniali uwagi na temat wygłaszanych referatów, czy głosów, podnoszonych w dyskusji. Dowodzi to, że na niektórych płaszczyznach łatwo się zapomina o różnych, zdawałoby się nieprzezwyciężonych «przegrodach».

Nie sposób tu oczywiście zajmować się streszczaniem wygłoszonych na Zjeździe referatów. Tym bardziej, że zainteresowani będą mieli możliwość się z nimi zapoznać — o ile uzyskamy kilka funtów, prócz tych kilku, które otrzymaliśmy na organizację Zjazdu, pokrycie kosztów przyjazdu referentów, obiady dla wszystkich uczestników itd. Niestety, trudno nie wspomnieć o tej najbardziej prozaicznej stronie naszych skromnych poczyni. By jednak dać pogląd na zagadnienia, poruszane na Zjeździe, wspomnę kolejno o wszystkich wygłoszonych na nim referatach.

Prof. Wł. Szyłkarski, wykładający obecnie filozofię na uniwersytecie w Bonn, mówił o wpływie niemieckiej filozofii idealistycznej na polskich poetów romantycznych. Trzeba znać naszaroje monachijskie, by zrozumieć, że temat ten był nieco drażliwy. Szkoda, że dyskusja — zbyt krótka — nie pozwoliła na pogłębienie zagadnienia dalszych konsekwencji niemieckiej filozofii idealistycznej i wyjaśnienia dróg, którymi prowadziła ona przez Hegla do różnych postaci totalizmu. W każdym razie zarówno referat jak i dyskusja wykazały, że potrafimy rozróżnić, a całe zagadnienie stosunku do kultury niemieckiej i do Niemiec polega, jak mi się zdaje, właśnie na rozróżnianiu.

Uwaga na marginesie: staraniem prof. Szyłkarskiego ukaże się niedługo niemiecki przekład «Pana Tadeusza». Niemiecki przekład «Króla Ducha» jest złożony, ale nie może się ukazać dla tego, że prof. Szyłkarski nie ma jeszcze gotowego komentarza. Do tego celu jest mu potrzebny komentarz Pawlikowski, którego nie może nikąd wypożyczyć. Może by się dało ten problem rozwiązać przez wysłanie mu fotokopii?

O. dr J. Warszawski (trzeba dodać: Ojciec Paweł) wygłosił wykład o uniwersalistycznych zasadach przebudowy Europy Środkowej, dając podbudowę filozoficzną czy też może nadbudowę filozoficzną do zagadnienia, zajmującego dziś umysły wszystkich emigracji politycznych z krajów Międzymorza. Żywa i długa dyskusja dowiodła jak wielkie jest zainteresowanie tym zagadnieniem. Referat Ojca Warszawskiego niezwykle jasny,

mimo całej ściśłości rozumowania filozoficznego, wywołał ogromne wrażenie.

Prof. dr Jerzy Nakaszdze mówił o ciekawym fragmencie dziejów dawnej Gruzji, tj. o rządach króla Dawida Odnowiciela na przełomie XI i XII wieku. Wygłoszony nienaganną polszczyzną referat uczonego gruzińskiego zapoznał słuchaczy z pięknymi kartami dziejów ojczyzny referenta, tak mało nam znanych.

Dwa referaty z zakresu medycyny i psychologii dr H. Fedukowiczowej i dr K. Zakrzewskiego rzuciły światło na zagadnienie losu osób wysiedlonych i zamkniętych w obozach na terenie Niemiec. Oba te referaty były wstrząsające, mimo, że autorzy ani jednym słowem nie odstępowali od obiektywnej rzeczywistości.

Referat Dr E. Góry poświęcony był strukturze cząsteczek elementarnych. Oczywiście nie wszyscy mogli zrozumieć formuły matematyczne i schematy struktury atomu, ale mimo to wywiązała się interesująca wymiana myśli z pogranicza fizyki atomowej i filozofii. Dr E. Góra niebawem wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, gdzie zapewne znajdzie sposobność do pracy w swojej dziedzinie.

Prof. dr inż. S. Kolupailla (Litwin) referował o najnowszych zdobyczach hydrometrii, w której to dziedzinie dokonał ostatnio ważnego wynalazku.

Prof. K. Szczapowicki zapoznał słuchaczy z najnowszymi metodami obliczeń trakcyjnych środków transportowych, co było zarówno interesujące dla techników, jak dla ludzi zajmujących się praktycznymi zagadnieniami gospodarczymi.

Dr L. Krzemuski poświęcił swój referat zagadnieniu procesów o zbrodnie wojenne przed sądem norymberskim. Na uwagę zasługiwały zwłaszcza wywody, wykazujące, że zasada *nulla poena sine lege* nie może mieć zastosowania do zbrodni wywołania wojny i przestępstw przeciw ludzkości.

Dwa referaty dr inż. J. Łaszewskiego o podstawach klasyfikacji gleb i dr T. Niedzielskiego z zakresu medycyny nie mogły być wygłoszone z powodu wyjazdu wzgl. choroby referenta. Dr J. Łaszewski był inicjatorem Zjazdu.

Ponieważ program Zjazdu nie został wyczerpany w przewidzianym czasie, trzy referaty wygłoszone zostały w dwa tygodnie później na zebraniu konstytucyjnym Polskiego Towarzystwa Naukowego w Niemczech. Prof. dr W. Fedukowicz mówił o wpływie prądów błędzących na rezultaty obserwacji magnetycznych, niżej podpisany o gospodarczych przyczynach współczesnego kryzysu kultury, a dr T. Zgański o problemie kształcenia politycznego w ustroju demokratycznym.

Dwa dalsze referaty zgłoszone na zjazd, tj. prof. M. Feuerlinga, historyka sztuki, o Bonnardzie i dr Z. Jaegera o chemofluorescencji, wygłoszone będą później.

O programie działania Polskiego Towarzystwa Naukowego w Niemczech należałoby raczej mówić wówczas, kiedy przynajmniej niektóre punkty tego programu będą zrealizowane.

Chciałbym tylko wspomnieć o jednym niezwykle ambitnym zamierzeniu Towarzystwa, które pragnie zdobyć dwa czasopisma polskie o charakterze naukowym, co do których krążą tu głuche wieści, że są wydawane w Londynie.

Wojciech ZALESKI.

## W ARGENTYNIE

świeżo uruchomiona

# SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

posiada na składzie wielki wybór dzieł w języku polskim w zakresie:

BELETRYSTYKI

SZKOLNICTWA ZAWODOWEGO

TECHNIKI

NAUKI JĘZYKÓW OBCYCH

Katalogi na żądanie!

Wysyłka na prowincję i zagranicę!

Geny b. umiarkowane!

## Książki

### A propos «Długiego życia»

STEFAN KRZYWOSZEWSKI: **Długie życie**. Wspomnienia, II tomy. — Warszawa 1947. Księgarnia «Biblioteka Polska», Sp. z o. o., Str. 359+370.

Co dla jednego jest długie, to dla drugiego jest krótkie. Weźmy dwa przykłady — z historii dramatopisarstwa, ponieważ Krzywoszewski jest autorem dramatycznym.

Sofokles junior oskarżył Sofoklesa seniora o uwiad starczy, ponieważ dłużyło mu się życie bez spadku po ojcu, który miał blisko pięćdziesiąt lat i nie umierał. Sofokles senior przez odczytanie sceny ze swojej nowej sztuki, jeszcze nie skończonej, dowiódł trybunałowi, że nie tylko nie zidiociał, ale że, przeciwnie, jest pełen młodości, rwie się do życia i chce i może osobiście administrować swoim dość znacznym majątkiem, czyli że nie uważa swojego życia za «długie».

W czasach nowożytnych, tj. dziesiętnym, Bernard Shaw, w osiemdziesiątym dziewiątym roku życia napisał wyborną książkę pt.: **Everybody's Political What's What?**, a obecnie, w 92-gim roku, pisze nowe dzieło, użera się publicznie z izbą skarbową o wymiar podatku dochodowego i, jak najdojrzały pełnoletek, sam gospodaruje swoją arcycrociową fortuną.

Innymi słowy, sądzę iż tytuł **Długie życie** osiemdziesięcioletni Stefan Krzywoszewski położył na dwóch tomach swoich pamiętników raczej przez kokieterię.

Co prawda, osiemdziesięcioletni Royer-Collard powiedział do Sainte-Beuve'a: «Jeżeli mi pan wierzy, drogi panie, niech się pan nie starzeje, niech się pan nie starzeje!» Ale Royer-Collard był chory. Zdrowy Cornaro w osiemdziesiątym trzecim roku życia pisał o swoim samopoczuciu z zachwytem. Mając lat 95, dopisał do swej autobiografii to i owo i pełen pogody, zadowolenia, ani trochę nie znudzony bytowaniem wśród niedoskonałych może bliźnich i uroczej (na pewno!) przyrody włoskiej, zamknął oczy na zawsze, przekroczywszy wiosen wspaniałych sto i kilka.

Ogromną książkę Krzywoszewskiego zacząłem czytać z zaciękwieniem. Autora znam dobrze. Dużo pisywałem w **Świecie**, który Krzywoszewski redagował, długie lata zasiadaliśmy razem w zarządzie Związku Autorów Dramatycznych, mieliśmy wielu wspólnych przyjaciół, częstośmy się «wypuszczali» w tych samych dobrych kompaniach na zabawę. **Długie** (nie tak znów długie!) **życie** Krzywoszewskiego czytałem z zajęciem nie tylko przez to, co w tych pokaźnych tomach znalazłem, ale przez to, czego w nich nie znalazłem, i muszę wyznać, że ostatnią kartę przewróciłem z uczuciem niedosytu, mimo że nie można by tych ciężkich woluminów nazwać **Trattato della Vita Sobria**, (jak swą autobiografię zatytułował, cytowany nieco wyżej, Luigi Cornaro).

Po przeczytaniu całości, jałem od niechęcia przewracać stronicę

wstecz, w jednym, to w drugim to-  
mie, odczytywałem powtórnie to je-  
den, to drugi fragment, i nagle zro-  
zumiąłem, skąd się bierze ów czytel-  
niczy mój niedosyt.

Bo to nie są pamiętniki! Bo to są  
pamiętniki pozorne!

Zaraz się wytłumaczę.

Pamiętniki są jakby kąpielą we  
wspomnieniach, zanurzeniem się w  
morzu mijanych przeżyć. Pamiętnik  
to nie jest lista faktów, z którymi  
w ciągu życia mieliśmy do czynie-  
nia; pamiętnik to ponowne wibro-  
wanie sercem z wspomnianymi fak-  
tami. Według mego odczucia, pa-  
miętniki Krzywoszewskiego bardzo  
częściowo odpowiadają wymaganiom  
takiej definicji. Książka pamiętni-  
karska Krzywoszewskiego jest dwu-  
tomową korespondencją dziennikar-  
ską na temat długiego życia jej au-  
tora, jest artykułem, przeznaczonym  
do druku natychmiastowego, to zna-  
czy za życia autora. Owszem wszy-  
stko w tej książce opiera się na sło-  
wie pamiętnikarskim «ja», ale to  
«ja» w *Długim życiu* nie jest na-  
głe, intymne, nie jest to «ja» w zna-  
czeniu jaźni, nie wstydzące się sie-  
bie «ja» psychiki pamiętnikarza.  
«Korespondencja» z długiego życia  
Krzywoszewskiego jest interesująca  
(tyle faktów, tyle nazwisk!), ale je-  
dnocześnie jest... dyskretna, stara się  
być taktowną, jest braniem kąpeli  
w kąstiumie kąpielowym, brak jej  
nagości, nagości swej osobowości  
psychicznej autor egoistycznie za-  
chowwał dla siebie. Nie ma w tym, o-  
czywiście, nic niewłaściwego, atoli  
taki stan rzeczy robi z pamiętnika  
nie pamiętnik, raczej (przeznaczony  
dla redakcji) długi «list z podróży».

Przeznaczając swój «list z długie-  
go życia» nie do teki pośmiertnej,  
lecz do wydania za życia, musiał  
Krzywoszewski niejedno przemilczeć  
i nad niejednym faktem prześlizgnąć  
się tak cicho, że aż niedosłyszalnie.  
Żyje w tej chwili wiele osób, o któ-  
rych jest mowa w wspomnieniach  
«Krzywosza», więc żeby nie zrobić  
im przykrości (innym przyjemno-  
ści), autor pominął ten i ów znany  
mu dobrze pikantny szczegół życio-  
wy. Nie liczył się z tymi względami  
tylko w stosunku do osobników, któ-  
rzy mu osobiście dokuczali. (Ludzka  
rzecz! Nie wszyscy są święci!)  
W wielu jednak wypadkach zachował  
dyskrete.

Nie ulega wątpliwości, że dyskre-

cja, (której w książce Krzywoszew-  
skiego jest więcej, niż niedyskrecji),  
stanowi piękną cnotę towarzyską.  
Czy stanowi jednak cnotę dziejopi-  
sarską, powiedzmy, kronikarską? A  
pamiętniki to przecież po trochu hi-  
storia, miniaturowa kronika, mate-  
riał do historii! Dyskrecja bywa nie-  
kiedy koniecznością, wiadomo że jest  
jedną z bogiń dyplomacji. Nigdy nie  
przestaje być siostrą nieprawdy. O  
tym nie powinno się zapominać. Dla-  
tego pamiętnik dyskretny przypomi-  
na świadka, który w sądzie przemil-  
cza pewną część tego, co wie. Sądowi  
nie po takim świadku. Pamiętnik  
nieszczerzy wart jest (z pamiętnikar-  
skiego punktu widzenia) mało, wła-  
ściwie nie jest pamiętnikiem. W pa-  
miętnikach szukamy odsłaniania ta-  
jemnic, prawdy, i osobistej pasji pa-  
miętnikarza. Informacji, łatwych do  
znalezienia gdzie indziej, szukamy  
nie w pamiętnikach. Istotną wartość  
pamiętników stanowi właśnie niedy-  
skrepcja, wyciągnięcie z ukrycia fak-  
tów przyćmionych, ukazywanie  
rzeczywistego oblicza zdarzeń, zna-  
nych błędnie. Niejeden czyn, wiel-  
biony, jako heroiczny, albo głęboko  
mądry, obnażony przez pamiętnika-  
rza, staje przed nami, jako akt wy-  
rachowania, albo jako wynik proste-  
go zbiegu okoliczności. Na zdejmo-  
waniu masek i zrywaniu domina po-  
lega między innymi urok pamiętni-  
ków. Tego uroku trochę brak wspom-  
nieniom Stefana Krzywoszewskiego.

Z wykształcenia Krzywoszewski  
jest handlowcem, z zamiłowaniem pi-  
sarzem. Pod tym względem przypo-  
mina Wieniawskiego (Jordana), z  
wykształcenia i kariery bankowca, w  
wolnych chwilach od zajęć poważ-  
nych — farsopisarza. (Jedną z jego  
krotoczwil, *Myszy bez kota*, zdobyła  
nawet w ostatnim dziesięcioleciu  
XIX stulecia spore powodzenie w  
Teatrze Letnim w Warszawie). O  
powodach, które raptownie skłoniły  
Krzywoszewskiego do porzucenia ka-  
riery handlowej dla dziennikarstwa,  
prawie się nie mówi w *Długim ży-  
ciu*. Po kilku latach publicystyki póź-  
niejszy autor *Diabla i karczmarki*  
próbuje komediopisarstwa. Z po-  
czątku osiąga sukcesy wątpliwe. Ale jest  
pracowity i uparty. Jako korespon-  
dent wiedeński, paryski, berliński,  
przygląda się uważnie sztukom wy-  
stawianym w najlepszych teatrach  
europejskich, uczy się rzemiosła  
scenopisarstwa, odkrywa że teatr

to przede wszystkim aktor, (a zwa-  
szcza aktorak!), że najlepsza sztuka,  
licho grana przez aktorów niezna-  
nych, lub mało pociągających, nie  
miewa powodzenia, i że na odwrot,  
sztuka anemiczna może nabrać ru-  
mieńców sukcesu dzięki talentom ak-  
torskim i ubóstwianym aktorom. To  
mu dodaje odwagi. Gdy składa sztukę  
teatrowi, zabiega o obsadę «atrak-  
cyjną». Niech będzie niewłaściwa, by-  
le była magnetyczna, byle w sztuce  
grali aktorzy najgłośniejsi, najmod-  
niejsi, najbardziej lubiani.

Później, jako jubilat i po wielu  
powodzeniach teatralnych, mawiał,  
(i do dzisiaj pewnie mawia), że pu-  
bliczność nie chodzi do teatru dla  
autora. że czytając afisz, amator te-  
atru nie zwraca uwagi na nazwisko  
autora. (Wręcz przeciwnego zdania  
był dyr. Szyfman). O decyzji kupie-  
nia biletu rozstrzyga nazwisko ak-  
toskie. Provincjał, przyjechawszy  
do Warszawy, nie idzie do teatru  
«na Słowackiego», lecz «na Frenk-  
la», nie obchodzi go Szekspir, lecz  
Fertner, woli śliczną Górczyńską, po-  
wabną Cwiklińską, Olę Leszczyńską,  
Modzelewską, Smosarską, niż Sofok-  
lesa, Moliera, Fredrę. Dlatego w sztu-  
kach Krzywosza w Warszawie zawsze  
się roilo od najświetniejszych  
aktorów, a już prawie w każdej je-  
go komedii grał stary Frenkiel, na-  
wet gdy nie było dla niego roli!

Uderza wszakże, że Krzywoszew-  
ski tak niewiele ma do powiedzenia  
o teatrach polskich w ogóle i o dra-  
matopisarstwie swego pokolenia (ra-  
czej swego czasu!). Zwłaszcza to  
drugie jest zastanawiające. Zresztą,  
nawet wtedy, gdy mówi o własnych  
utworach, nie zdobywa się na sło-  
wo, zdradzające komediopisarza, nie  
powiadam natchnionego, lecz choćby  
tylko fachowca. Na str. 131-iej w to-  
mie drugim wyznaje: «Teatr był mo-  
ją pasją od najmłodszejszej młodo-  
ści» i na tej samej stronie wysy-  
puje garść banałów, dobrych w sen-  
timentalnej, brukowej powieści. «W  
teatrze» — czytamy — «klamstwo  
i udawanie staje się kunsztem. W  
tej twierdzy, do której wstęp o-  
sobom obcym wzbroniony», znaleźć  
można wszystko. Kobiety, wyposa-  
żone w urodę i wdzięk, biegle w mi-  
łości. Konflikty erotyczne, które  
przeżywały na scenie, nauczyły je  
wiele dobrego i jeszcze więcej zle-  
go. W aktorach uwydatniają się cha-  
raktery postaci, które z osobliwym

powodzeniem odtwarzali. W przyro-  
dzie nic nie ginie, żadne uczucie, czy  
namiętność, nie mijają bez reakcji.  
Z każdej głębiej odczutej roli coś  
na dnie duszy zostaje. Z tej przyczy-  
ny może Cromwell tak teatr zniema-  
widził, że w Londynie wszelkich  
przedstawień zakazał, zaś autorów,  
piszących sztuki dla sceny, chłostą  
karab».

Jako redaktor wpływowego tygod-  
nika, który przez trzydzieści lat re-  
dagował z niepopolitym powodze-  
niem, Krzywoszewski znał wybornie  
polski świat literacki, ale w pamięt-  
niku nie ukazał nam tego świata a-  
ni jako całości, ani w jego fragmen-  
tach, ani w życiowych cechach po-  
szczególnych pisarzy. Nie zdołał, czy  
nie chciał, scharakteryzować nawet  
przedstawicieli współczesnego dra-  
matopisarstwa, grupy mu przecież  
najbliższej, z którą wciąż obcował.  
Nie «widzimy», jako żywych ludzi,  
jako typy, nawet najbliższych jego  
przyjaciół Ritnera, Perzyńskiego, a  
powieściopisarzy, nowelistów i kry-  
tyków: Konara, Bartkiewicza, Weys-  
senhoffa, Rabskiego, Ehrenberga, z  
artystów Fałata, Kamila Mackiewi-  
cza... Wynika to zapewne głównie  
stąd, (o czym już wspomniałem), że  
płoro Krzywoszewskiego nie jest  
pędzłem kolorysty, ani długim rzeź-  
biarza. Nie umie opowiadać plastycz-  
nie. W pogoni zaś za błyskotliwością  
tak się czasem potknął, że niepodo-  
bna powstrzymać się od uśmiechu.  
Zmuszony do usunięcia się ze sta-  
nowiska dyrektora warszawskich Te-  
atrów Miejskich, upokarza nieprzy-  
jaciół po upływie wielu lat cytata-  
mi z Sokratesa, Tassa i św. Augu-  
styna. Pozwól sobie przytoczyć ten  
ustęp. Str. 174-ta:

«Komisarzyni prezydent (Zynd-  
ram Kościłkowski) uczul się moją  
rezygnacją dotknięty. Jako żywo, nie  
miałem zamiaru obrazić męża tej  
miary! Sokrates w podobnej okolicz-  
ności odpowiedział Trzymachowi:

— Czy masz mnie za tak szalone-  
go, bym śmiał odważyć się strzyć  
lwa?...

Na groźne wezwanie odpowiedzia-  
łem, jak należało.

Były to dla mnie przeklęte dni,  
jeszcze cięższe noce. Poznałem go-  
rycz, której dał wyraz Tasso w sło-  
wach:

— «I suoi pensieri in lui dormir  
non poñno». (Jego myśli nie mogły  
w him zasnąć).

I kilka wierszy dalej:

«św. Augustyn pisał, że tam, gdzie zawodzi sprawiedliwość, władza staje się rozbojem, odwaga cywilna słabnie i chorzeje».

święta racja (tym razem podwójnie święta!) ale do zabicia muchy nie potrzeba działa przeciwnicze-go.

Inaczej się rozprawia ze skamandrytami: zabija ich milczeniem. To już lepiej. Wspomina ich dwa razy: mówiąc o Magdalenie Samozwaniec, że atakiem swoim na Mniszkównę («dowcipnym w formie i niesprawiedliwym w treści») zjednała sobie protagonistów **Skamandra** i drugi raz, a propos przekazania prezydentury przez pana Mościckiego «dziel-nemu kawalerzyście i wesolemu kompanowi cyganerii skamandryckiej», gen. Wieniawie Długoszowskiemu.

Uraza Krzywoszewskiego do tak zwanego Skamandra jest usprawiedliwiona. W **Długim życiu** Krzywoszewski nie wspomina o jej źródle. A tym źródłem było quasi-ideowe wystąpienie publiczne młodych liryków, przezywających się wówczas «pikadorczykami».

W Teatrze Polskim premiera **Pani chorążyny** Krzywoszewskiego. Po drugim akcie tej sztuki, owszem, nie najlepszej, powiedzmy nawet słabej, ale, zaiste, nikogo nie obrażającej, nagle przed pierwszym rzędem krzesel stanął Jan Lechoń i przemówił do publiczności. Że komedia kontuszowa, więc na razie przypuszczano, że mowa korzysta ze sposobności (rok 1918, czy 1919), aby wygłosić rzecz patriotyczną. Gdy się jednak okazało, że młodzień-cie potępia komedię, jako kołtuńską, i zaczyna rzucać gromy na autora za to, że nie jest Cornellem, zerwały się okrzyki oburzenia i Lechoń musiał się wycofać.

Ten (co tu ukrywać!) niesmaczny wybrzyk studencki głęboko zabolął Krzywoszewskiego. I to zapewne sprawiło, że pamiętnikarz **Długiego życia** nie mówi o Skamandrze. Ale może nie mówi i z powodów tak zwanych merytorycznych. Może sądzi, że jako «kierunek literacki», «szkoła», «program», «izm», Skamander nie istnieje. Że jest to po prostu kilku poetów, trzymających się razem niejako mechanicznie, bez spójni ideologicznej. Że gdyby nie czyjaś energia organizatorska, tych

kilku liryków, nie grawitujących ku sobie ideologicznie, szłoby — że tak to nazwę — samopas, każdy z nich szedłby osobno, nie byłiby okryci flagą wspólnego zawołania. Każdy z nich byłby zdany na zdobywanie sobie imienia indywidualnie. Każdy osobno zabiegałby o zamieszczenie swego wiersza w dzienniku czy miesięczniku, a potem każdy na własną rękę szukałby wydawcy, (nie zawsze z powodzeniem), no, i zależałby od fantazji recenzentów, (przeważnie znudzonych i niekompetentnych).

Znalazł się jednak entuzjasta, ich rówieśnik, młodzieniec przepadający za literaturą, sam, (co za szczęście!) bez aspiracji pisarskich, ale, (co za szczęście!) o ambicjach redaktorskich. Ten entuzjasta powołał do życia tygodnik i uczynił z tego tygodnika megafon, rozgłaszając tych kilku liryków. Drukował ich wiersze, jako wiersze «skamandrytów» i reklamował «skamandrytów», jak to potrafi tylko przyjaźń pełna zapału i redaktorskiej inwencji.

Zaczęło się od studenckiego czasopiśmka pt. **Pro Arte et Studio**, wychodzącego przy udziale kolegi Grydzewskiego. Następnie **Pro Arte et Studio** przeistoczyło się w cenacło-owy miesięcznik pt. **Skamander**, wreszcie p. Grydzewski zaczął wydawać eklektyczny tygodnik literacki, już nie studencki, lecz prawdziwy.

Otóż, wypada powiedzieć, że w świecie literackim, po roku 1918 robił ruch i hałas nie **Skamander**, czytany coraz mniej i wychodzący coraz rzadziej, lecz **Wiadomości Literackie**, wydawane przez redaktora o wielkim poczuciu aktualności i — co równie ważne — o poczuciu efektu graficznego. Skamandryci mieli w redaktorze **Wiadomości Literackich** gorącego popularyzatora, przy czym w tym pełnym życia tygodniku zawzięcie wydrwiwano tych, co się wierszami Iwazkiewicza, Tuwima, Słonimskiego czy Lechońa, mniej zachwycali.

Ala, jak się rzekło, żadna więź ideologiczna, żadna teoria estetyczna, nie obejmowała wspólnym węzłem tych kilku utalentowanych liryków. Bez red. Grydzewskiego istnie-liby, oczywiście, i poeta Iwazkiewicz, i poeta Wierzyński, i Tuwim, i Lechoń, ale byłiby, że tak powiem, osobno, w pojedynkę. Iwazkiewicz jako Iwazkiewicz, Tuwim jako Tuwim, nie będąc «skamandrytami», jak

są osobno Broniewski, Hemar, Mac-laczewski, Wroczyński, Bożawola Poznański... Ci są mniej gołsi, ponieważ nie szli kupą, nie mieli wspólnej nazwy, ani oddanego sobie pisma, żarliwie ich popierającego. Więc Krzywoszewski dlatego może **Skamandra** pomija milczeniem, że grupę o tej nazwie łączyła nie ideologia, lecz osoba ich przyjaciela, że słowo Skamander nie oznacza idei, ale po prostu jakby p. Grydzewskiego. On jest jedynym spoidłem tej grupy poetyckiej. Gdyby nie p. Grydzewski, nie byłoby skamandrytów. Mówiąc krótko (może zanadto krótko), skamandryci to Grydzewski.

Nie potrzebuję dodawać, że są to poeci niezwykle utalentowani i że od red. Grydzewskiego nie talenty otrzymali, lecz poparcie i rozświecenie zawołania, które sobie przybrali. Dla ścisłości przypomnę, że początkowo przeważali się pikadorami.

Tak to, czytając pamiętnik, przypominamy sobie nieraz to, o czym pamiętnikarz nie napisał.

Szkie mniejszy, nie jest, rzecz prosta, «recenzją» z **Długiego życia**. Recenzja z tej rozłożystej dwuksięgi musiałaby być broszurą. Piszę ot, to i owo, a propos wspomnień Krzywoszewskiego, a propos tej lub owej stronicy tych wspomnień. Przy czym spostrzegam, że, jak dotąd, podkreślam jedynie braki wielkiego opowiadania, posiadającego również i mnogie zalety. Właściwie, powinienem tylko zwrócić uwagę na zjawienie się tej niepospolitej już przez to jedno pracy, że notuje wydarzenia ostatnich kilkudziesięciu lat, obserwowane przez człowieka, który miał sposobność widzieć, a nawet znać ośobiście, wielu wybitnych ludzi w Polsce i poza Polską. Wybitnych, sławnych i osławionych. Niektórych charakteryzuje. Próbuje charakteryzować. Przeszkadza mu w tym, wspomniana już dyskrekcja, a

poza tym, Krzywoszewski mimo pisanie komedii obyczajowych, nie jest portrecistą, w dodatku jego język nie jest «głębki» ani «prędkii» i do-syć blade wyraża to, «co pomyśli głowa».

Ala przejdźmy do tego, co wydaje mi się największą wartością, omawianych tu woluminów.

Prawdziwy pamiętnik stanowi dopiero ostatnie dziewięćdziesiąt stron **Długiego życia**. Można by tę część wspomnień nazwać «reportażem» z okupacji niemieckiej, powstania warszawskiego i wejścia czerwonej armii do Polski. Ale jest to reportaż osobliwy, pisany krwią serdeczną. Doznajemy wrażenia, że tę część książki pisał inny człowiek, poznajemy w niej innego Krzywoszewskiego, przemienionego do cna przez wstrząsające przeżycia własne i ludności Warszawy. Niepodobna tych prawie stu wielkich stroniec czytać bez wzruszenia. Dławi nas powstrzymywany płacz i oszałamia zdumienie, że ludzie mogą aż tyle doznać i tyle wytrzymać.

Poprzednie kilkaset stron to informacja, wiadomości, naświetlenia, ułożone starannie i planowo; nie brak tu cichych odwetów, głuchych porachunków i oględności zapisań, który mimo wszystko nie całkowicie zszedł jeszcze z areny. Część ostatnia jest krzykiem i jękiem, wołaniem Hioba, wyzbytego próżności, nie wstydzącego się już ngdy i roz-kliwionego, kiedy promień słońca przesunie się przez jego wrzody. A przy tym na tych kartach, tak rdzennie subiektywnych, w ich słowach i w ich mamrotaniu, pulsuje nieprawdopodobna wrzawa bohater-sko-romantyczna, która stanowiła symfonię radosnego ducha Warszawy w owych piekielnych sześćdziesięciu dniach.

Wacław GRUBIŃSKI.

## «Ciążenie i łaska» Simone Weil

SIMONE WEIL: *Le pesanteur et la grace*. Introduction par Gustave Thibon. Librairie Plon. 1947. Str. 238.

W 1943 r. zmarła w Angli «zżarta głodem i gruźlicą młoda Żydówka francuska, Simone Weil. Pojawiła się tam od niedawna i w szere-

gach «France Libre», do których się zapisała, była prawdopodobnie zaledwie znana. Kto zauważył tę śmierć?

Z końcem 1947 r. ukazała się we Francji książeczka, która jej nazwisko, jej krótkie i zapoznane życie o-promieniała blaskiem niezwykłym.

**Ciążenie i Łaska** to zbiór myśli,

wyjęty z jej notatników, nawet nie szkie do jakiegoś zamierzonego dzieła. Nie ona skomponowała ten zbiór, nie ona dała mu tytuł. Są to oddzielne myśli, których jedyną, ale jakże mocną więzią jest to, że są jej własne, że dzień po dniu, jak miłowe kamienie znaczą szlak jej zapamiętanych dociekań (zapamiętanych — miałem już napisać w poszukiwaniu Boga, ale zdaje mi się to nieściste). Autorka tych Myśli nie należy do rzędu ludzi co sobie stawiają pytania, czy Bóg istnieje. Ona tę pewność posiada i nie porusza tego tematu. Jak nie porusza również zagadnienia na jakich drogach szukać istnienia Boga. Samo to pojęcie byłoby niezgodne z jej rozumowaniem. Bóg istnieje — czy znaczy to, że byłby do odnalezienia, jak rzecz jaka, lub nawet jak osoba dla nas osiągalna? Czy jest on przedmiotem, do którego można zastosować jakąś metodę?

Sięgnijmy do Ewangelii: Chrystus nie mówi szukajcie Boga, ale szukajcie Królestwa Bożego, czyli usiłujcie stać się tymi, w których Bóg może zamieszkać, byćście się stali Jego Królestwem.

W świetle tych słów łatwiej nam będzie określić przedmiot zapamiętane go dążenia Simone Weil. Chodziło jej o usunięcie wszystkiego, co nie jest Bogiem, zniszczenie wszystkiego, co nie może być Królestwem Bożym.

Czytelnik domyśli się łatwo, że pod imieniem Simone Weil kryje się mistyk z rodziny mistyków, których zasadniczą tendencją jest negacja. Może tak jest istotnie. Lecz strzeżmy się słów, które ograniczają oryginalność umysłów i dzieł, stwarzając mdłe wrażenie rzeczy już widzianych, tam gdzie powinno zachodzić uważne, dokładne i nieraz mozolne odkrywanie zjawisk nowych.

**Ciążenie i Łaska** jest książką oryginalną i trudną. W jej zrozumieniu dopomóż nam znakomity wstęp Gustawa Thibon, nad którym zastanowimy się naprzód jako nad wprowadzeniem w świat myśli Simone Weil. O ile jednak czytelnicy **Kultury** nie znają Gustawa Thibon, jakże im w kilku słowach dać wyobrażenie tej niezwykłej postaci?

Wyobraźmy sobie rolnika, posiadającego wszystkie cechy i zdolności filozofa, a który się stał pisarzem i moralistą dużej miary. Przekonany

jednak, że mądrość i wiedzę zdobywa się w bezpośrednim kontakcie z rzeczywistością, filozof ten oparł się na pokusie zawodu pisarza jakoteż pokusie przebywania w środowiskach miejskich i intelektualnych, a pozostał wierny swemu stanowi i miejscu swego urodzenia jednym słowem pisarz chłopski. Nie wyobrażamy sobie wszelako, że pisze jako wieśniak. Nie, pisze po prostu jako człowiek, w najlepszym znaczeniu tego słowa. To czego szuka i co osiąga medytacją, to bogata i pełna świadomość podstawowych założeń życia ludzkiego, nie zdobyte pojęciowe, ale świadomość zakorzeniona w instynkcie, w zmysłowym upodobaniu do życia, w głębokim doświadczeniu miłości, w groźnie wszelkiego stworzenia wobec śmierci; poznanie, które obejmuje jednocześnie wszystko co przyspiesza dojrzałość człowieka i cywilizuje go, ogromny spadek tradycji obyczajów, religii. Będąc sam człowiekiem religijnym, spojrzął na świat w świetle katolicyzmu.

Jego najpiękniejsza książka jest zatytułowana **Drabina Jakubowa**, co zdaje się oznaczać nieskończoną przestrzeń od ziemi do nieba, przebyta dzięki Łasce, przestrzeń obejmująca szereg stanowisk pośrednich, poglądów shierarchizowanych, stopni, na których bardzo być może myśli naszej i symbolem towarzyszą Aniołowie.

Co pomyślał ów chłopski filozof, samouk, tradycjonalista katolicki, rolnik, wrośli w swoją parafię, gdy pewnego dnia w 1941 r. otrzymał od jakiegoś Ojca Dominikanina list, w którym tenże prosił go o przyjęcie, w charakterze pracownicy rolniej, młodej dziewczyny. Wedle jej własnej definicji była żydówką, absolwentką filozofii, do niedawna walczącą na skrajnej lewicy, która w Hiszpanii zaciągnęła się jako ochotniczka w służbę Czerwonych.

Thibon nie ukrywa przed nami, że odniósł się do tej propozycji niechętnie, ale dziewczyna, jako żydówka, podlegając obowiązującym wtedy ustawom, nie mogła pełnić swego nauczycielskiego zawodu, więc ją przyjął. To jego przyzwolenie zapoczątkowało przyjaźń piękną i niezwykłą.

Jeżeli podkreślam, to co wiem o przyjaźni tych dwojga, robię to w celu uczczenia tej przyjaźni, jako że wszystko zdawało się ich dzie-

lic. Zdawało się — o ile myślimy definicjami, ale tak myśleć nie należy. Życie dusz nie podlega dedukcjom, na dnie szlachetnej duszy, mimo najbardziej znamienych osobliwości, istnieje coś, co pozwala jej przekroczyć własne granice, dopełniać się wielkością sprzeczną, poprzez poznanie i sympatie, dzięki czci i miłości.

Wstęp Gustawa Thibon do **Myśli**, które Simone Weil wreczyła mu w rękopisie, przed ich ostatecznym rozstaniem, jest pięknym tego przykładem. Gustawa Thibon znamy także ze zbiorów myśli zasadniczo różnych od **Myśli** wreczonych mu przez Simone Weil. Wzruszenie z jakim Thibon je komentuje, skrupulatny szacunek, z jakim się odnosi do tego właśnie, co autorkę od niego różni, są uderzające. Stanowią one świadectwo, w którym akcent prawdy wraz z wrodzoną szlachetnością oswoi czytelnika z tym co mu pozostaje do odkrycia.

— Czy znała pani Simone Weil? — spytałam osobę, która, na swoim stanowisku, widziała niemalą pokoleń absolwentek.

— Znałam tak dużo dziewcząt imienia Simone, i tak wiele osób nazwiska Weil — odparła — że nie umiałabym pani dać odpowiedzi na jej pytanie.

Owe słowa pełne znuzenia, ten zupełny brak zainteresowania daną osobą, zadowoliliłyby tę szczególną Simone Weil, która otrzymałaby najrzadsze dary w dziedzinie myśli i ich formułowania, dążyła jedynie do tego, by być niczym w oczach ludzi, tak jak samą siebie miała za nic. Absolutne wyzbycie się próżności, wyzbycie się tego, co czyjeś życiowe spojrzenie, albo własne o sobie wyobrażenie może zawierać dodatniego, jest — zdaniem Simone Weil — koniecznym warunkiem życia duchowego. A to życie duchowe, życie wewnętrzne, to jej przemożne łaknienie, jedyne, z niczym nieporównane upragnienie.

Ale co to jest życie duchowe? Pojęcie to nie jest zbyt jasne. O ile ma to być jedynie błada poświęta, którą zdobymy nasz ziemski los, to nieokreśloność mu odpowiada. I tak jest na ogół pojmowane to życie duchowe... Jeżeli jednak wyplenia ono niewinną skłonność każdego stworzenia do szczęścia w takim razie należy wiedzieć na czym polega.

Poprzez Simone Weil i w miarę zapoznawania się z krzyżową drogą jej myśli, zdobywamy to zrozumienie: życie duchowe, jest to zstąpienie Boga w nas, jest to przerodzenie się naszej istoty w Jego istotę, jest to włączenie mgnienia naszego ziemskiego bytu w Jego wieczne trwanie, podwójnym zaś warunkiem tych przemian jest zewnętrzne oderwanie się od wszystkiego i wewnętrzna próżnia.

Jako filozof zgłębiła Simone Weil niejedno ludzkie usiłowanie zmierzające do autonomii woli. Przyswajają sobie argumentację stoicyzmu twierdząc, że wszystko to, co zdaje nam się że posiadamy nawet to co nam jest najistotniej własne — podlega losowi. Jedynie więc i rzeczywiście **nasze** jest to ja, stale kuszone kruchym szczęściem i niezmiennie zagrożone niedolą. Ale w tym miejscu przyjmuje Simone Weil kierunek nieznanym starożytnym myślicielom; pomija problem szczęśliwości i stawia inny, który jest dla niej równie samorzątny jak pierwszy dla ogromnej większości ludzi: mając tylko to ja co mogę dać innemu? I jak mogę je dać inaczej jak tylko unicestwiając samą siebie?

Należy zniszczyć to ja, oto przeświadczenie zakorzenione w duszy Simone Weil, przeświadczenie, które się pełni, rozgłębiając się i różnicując w szerokim polu jej wyjątkowo bystrej i przenikliwej myśli. Nie było nigdy Shylocka równie chciwego nabywania jak ta córka Izraela pożądała wyzbycia się.

Tajemnicza i tragiczna namiętność, która bucha z jej duszy porywa umysł i całą wolę, orientuje wszystkie władze niezłomnej logiki i zuchwałej odwagi, nasyca nawet styl, nadając mu jego zwartą żarliwość i uderzającą czystość.

Jak należy sobie poczynić z wyobraźnią, aby to ja nie pasło się nadzieją i przyszłością? Jak postępować z pamięcią, aby nie gromadziła sobie skarbów w przeszłości? Te problemy, stawiane między innymi, są bliskie św. Janowi od Krzyża. Simone Weil znała go niezawodnie, chociaż się nigdy nie powołuje na jakiegokolwiek mistrza. Swoje rozległe i głębokie odczytanie zdradza jedynie tu i ówdzie aluzją, przykładem wysiłku myśli podejmując sama, na swój własny rachunek, z

maksymalnym poczuciem odpowiedzialności.

Niczym się nie zasłania, nie staje na niczym stanowisku, nie ucieka się do niczyjej pomocy. Umysł jej bije w samotności z równą siłą jak u innych serce.

Nie sposób oddać subtelności i mocy, która charakteryzuje ten umysł. Trzeba ją czytać. Zdaje się wprost nie do wiary, że młoda dziewczyna mogła tak czuć, myśleć i pisać. To co Gustaw Thibon podaje nam z jej życia, jest na miarę jej najsurowszych zasad. Simone. Weil nie głosiła swojej nauki, ale ją wypełniała, a jeżeli dziś znamy tę naukę, to dlatego, że ją formułowała dla siebie samej w zależności od wypadkowych zetknięć, swego nieustającego wysiłku z przegodnymi okolicznościami. Miała potrzebę składania ofiary ze swojej istoty i to nie drogą owocowania dla żywych, ale drogą całopalenia składanego Bogu jedynie. Jedyną zaś drogą do tej ofiary było cierpienie. Przyjęła je bez zastrzeżeń wybierając to co najtrudniejsze dla kobiecego organizmu, wydelikacjonowanego nadmiarem pracy intelektualnej: zaciągnięciem się jako robotnica do fabryki Renault, potem na służbę Czerwonych w Hiszpanii, wreszcie w winnicach Langwedockich. Thibon widział ją utrudzoną winobranieniem, odmawiającą uparcie wszelkich względów, które by ją mogły odróżnić od jakiegokolwiek silnej dziewczyny wiejskiej. Ale i to jej nie wystarczało. W tym okresie, wyjątkowo ciężkich dla tej dzielnicy ograniczeń aprowizacyjnych oddawała ponadto regularnie więźniom politycznym połowę bonów swojej karty żywnościowej. Zdaje się, że dobrowolnie przyjęty głód przyczynił się w znacznej mierze do jej śmierci w wieku trzydziestu czterech lat.

Czytamy w jej *Myślach*: «Wielkość za naszych dni może być tylko samotna, zapoznana i bez rozgłosu», taką była właśnie wielkość Simone Weil, którą zauważyliśmy dopiero w cztery lata po jej odejściu.

Skąd mogła ona zacząć nieugiętą odwagę i jednocześnie tę bujną, a tak harmonijnie i logicznie rozbudowaną myśl, całkowicie niezawisłą od współczesności?

Była, jak to zaznaczyliśmy wyżej, Żydówką, ale tylko rasowo, nie wyznaniowo. Stary Testament ją

odstręczał. Widziała w nim ograniczony rasizm, nie bez analogii z rasizmem hitlerizmu, który sprawował wówczas swoje przerażające okrutne władztwo. Należała do Chrystusa. Ukrzyżowanie jest dla niej ową najwyższą tajemnicą, w której się dopełnia łączność Boga ze światem i jest zarazem najwyższą nauką. Ale Simone Weil nie przyjęła żadnego chrześcijańskiego wyznania i, co najdziwniejsze, przeszkoda ku temu był dla niej własny Stary Testament. Zbieżność pomiędzy jej mistyką a katolicyzmem jest niewątpliwa, a jednak nie dała się ochrzcić. Thibon, który nam to wyjaśnia, nie chce się wypowiedzieć co do możliwości włączenia do skarbcza katolickiego całej myśli swej przyjaciółki, w tej formie w jakiej ją śmierć przerywała. Czy wolno nam wykazać mniej rezerwy?

Gdyby ta dziewczyna surowego geniuszu poznała życie sakramentalne, byłaby w nim może znalazła tajemnicę boskiej tkliwości, o której zdawała się nic nie wiedzieć.

Ciążenie jest prawem rządzącym naturalnymi ruchami duszy, polega na upodobaniu w sobie, na pożądaniu, na pysze, leży w wielorakim kształcie rozkoszy i korzyści. Tylko Łaska zwycięża ciążenie, dając natchnienie, umożliwia całkowitą przemianę w dar tego ja, które chciałoby zawsze brać. Simone Weil widzi i uświadamia to sobie; powiada: Bóg dał mi byt, abym go oddała. Jej osobistym twierdzeniem, które nawiązuje do poprzedniego rozumowania, jest to, że ów dar może być spełniony jedynie drogą unicestwienia.

Gdyby miała doświadczenie Eucharystii, byłaby może poznała inny nakaz płynący z miłości, z miłości, która zstępuje aż ku nam. Byłaby może poczuła, że nie należy niszczyć tego, co Bóg ukochał i że dar tego ja żywego staje się możliwy poprzez miłość. Kościół nazywa to: uświęcić.

Simone Weil byłaby to niezawodnie pojęła, byłaby to odczuła dzięki własnym zasobom, na poziomie swego heroizmu i swojego geniuszu; nikt nie da odpowiedzi, którą by ona dała, nikt nie zajmie miejsca, które ona, w naszych co najmniej oczach, opuściła.

Camille MAYRAN.

(Tłum. M. Cz.)

## Książki o Niemczech

FOLKE BERNADOTTE: **Koniec Trzeciej Rzeszy**. Tłum. Roman Szydłowski. Wydawnictwo AWIR, Katowice 1946. Str. 105 +1 nlb.

EDMUND OSMAŃCZYK: **Sprawy Polaków**. Wydawnictwo AWIR, Katowice 1946. Str. 159+1 nlb.

Prof. Dr. FELIKS MLYNARSKI: **Niemcy i przyszłość Europy**. Nakładem Księgarni M. Czarneckiego, Kraków 1947. Str. 51+1 nlb.

Zamordowany ostatnio Hr. Folke Bernadotte, rozjemca z ramienia ONZ w Palestynie, znany działacz Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, był pośrednikiem w pertraktacjach, które w kwietniu 1945 roku poprzedziły kapitulację Niemiec. Książka niniejsza jest polskim tłumaczeniem ogłoszonych w kilka miesięcy po zakończeniu wojny wspomnień hr. Bernadotte, w których opisuje on przebieg tych pertraktacji i rzuci ciekawe światło na dramatyczne dni upadku Trzeciej Rzeszy. Dziś — po trzech przeszło latach — książka ta straciła walor sensacji. Pozostała natomiast dokumentem historycznym pierwszorzędnej wagi. Z tej historii ostatnich chwil «tysiącletniego» hitlerowskiego Reichu najciekawsze są niewątpliwie ustępy, które pozwalają wyciągnąć pewne wnioski natury ogólnej, dotyczące niemieckiego narodu i które — wobec tego — mają wagę i na przyszłość.

Przywykliśmy obciążać winą za zbrodnie hitlerizmu cały naród niemiecki. Postawiliśmy tezę, że to naród niemiecki jest z natury swej i z charakteru narodem zbrodniarzem. Lekko, w podskokach niemal, przeprowadzamy jedną prostą linię od Zakonu Krzyżackiego poprzez Wielkiego Fryca, Bismarcka i Wilhelma II do wodzów Trzeciej Rzeszy. Jest jednakże w tym wszystkim pewne uproszczenie, pewien tracący latwizną skrót myślowy. W rzeczywistości rozwój historii niemieckiej zaborczości nie szedł linią prostą — wykres jego wykazuje raczej poważne uskoki czy zygzaki. Problem duszy niemieckiej wydaje się być dużo bardziej skomplikowany, jak to przekonująco zobrazował Ludwigo w swej książce, ogłoszonej w czasie wojny na emigracji pt. *L'Allemagne — double histoire d'une nation*. Jeśli

chodzi o historię z okresu poprzedzającego rozbiory Polski, chyba łatwo będzie znaleźć przykłady grabieży i okrucieństw równych krzyżackim, a dokonanych przez najbardziej dziś kulturalne narody, jak Francuzów, Anglików, Hiszpanów, Włochów, nie mówiąc już o Turkach, a przede wszystkim o Moskwie. Zbrodnia rozbiórów Polski, której Prusy dokonały wspólnie z Rosją i w czasie których Rosja wykazała dużo więcej zbrodniczego okrucieństwa, nie jest jedyną w nowszych dziejach. W czasie zaś między rozbiarami Polski a wybuchem drugiej wojny światowej Niemcy popełniły w stosunku do Polaki i Polaków dużo mniej zbrodni, niż Moskwa. Wszak sam Lenin powiedział kiedyś, że naród Wielkorusów był w rękach cara katem narodu polskiego! W międzyczasie jednak, a w szczególności na przełomie dwu wieków, w prawie narodów, którym rzadzi się międzynarodowa społeczność krajów cywilizowanych, dokonała się krystalizacja i kodyfikacja norm prawa wojny. Konwencje międzynarodowe o rannych i chorych żołnierzach, o jeńcach wojennych, o prawach i obowiązkach okupanta, o Czerwonym Krzyżu, były wyrazem postępu naszej cywilizacji w swej trosce o zachowanie prawa pośród wojny i ratowanie od jej okrucieństw ludności cywilnej. W pierwszej wojnie światowej Niemcy ponoszą odpowiedzialność nie tylko za jej rozpętanie, ale też i za liczne pogwałcenia prawa wojny, szczególnie w stosunku do cywilnej ludności na terenie Belgii i Francji. Jednakże dopiero w drugiej wojnie hitlerowcy rozpętaли prawdziwe piekło, otchłań zbrodni. Czemu to przypisać? Czy o nateżeniu tej zbrodni decyduje tylko jej masowość i zastosowanie nowoczesnej techniki? Wydaje się, że nie. O potworności tych zbrodni zdecydowały dwie rzeczy. Jedną to okoliczność, że zbrodnia ta była systemem, przemysłowym, planowanym, przyjętym w samym założeniu. Drugą to sadystyczne okrucieństwo z jaką się jej dopuszczano. Jakiegokolwiek by nie były zastrzeżenia przeciw obciążaniu winą za te zbrodnie całego narodu niemieckiego, jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości: naród niemiecki był posłusznym narzędziem w

rękę przywódców hitlerowskich. Zdecydowały tu jego odwieczne cechy bezdusznego posłuszeństwa dla każdej władzy, biernego, bezmyślnego podporządkowania się każdemu rozkazowi.

Te wpiski narzucają się z lektury wspomnień hr. Bernadotte, chociaż wydaje się on być dla samego narodu niemieckiego sędzią raczej zbyt łagodnym. Za to jest surowy dla wodzów Trzeciej Rzeszy. Jakkolwiek jego opis wypadków, poprzedzających upadek Niemiec i ich kapitulację wojskową oraz zachowania się poszczególnych przywódców, sam już wystarcza czytelnikowi do sformułowania ich charakterystyki, autor uważa za potrzebne jeszcze ją podkreślić: «...byli to ludzie bez jakiegokolwiek kośćca moralnego i bez żadnej ludzkiej wielkości... końcowe sceny Trzeciej Rzeszy były pozbawione wszelkiej godności i ludzkiego tragizmu. Osoby występujące w tych scenach były małe i bezwartościowe. Nie walczyły one w imię idei, w imię wiary, w imię przekonań, broniły tylko swego nagiego życia, splamionego potwornymi zbrodniami...» Charakterystyką wodzów hitlerizmu w ujęciu zarówno hr. Bernadotte jak i cytowanego przez niego gen. Schellenberga (który sam był hitlerowcem i zajmował odpowiedzialne, wysokie stanowisko na ogół zgodzą się z charakterystyką von Hassela i Silensa, których książki omówiliśmy w numerze 8-mym **Kultury**.

Kim byli ci ludzie? Skąd wyszli ci, którym — jak nikomu nigdy przedtem w historii — udało się rozpętać bestię drżącą w duszy narodu niemieckiego, ukazać światu najnowsze, a nastraszliwsze wcieleństwo słynnego «furore teutonico»? Ich charakter zarysowany jasnowarowo przez hr. Bernadotte oraz przez cytowanych już powyżej Hassela i Silensa, ich poziom umysłowy i etyczny, fanatyzm i nietolerancyjność, brutalność i okrucieństwo, brak kultury i poczucia prawa, a nadę wszystko brak godności w chwili upadku, wszystko to umiejscawia ich dość łatwo. Byli to ludzie z dółów społecznych, często nawet nie tyle z dółów ile z mętów społecznych, ludzie z motłochu. Byli nimi zarówno wodzowie hitlerowscy, jak też niezliczone falangi pomniejszych dygnitarzy, gauleiterów, lagerkomendantów itp. Najcenniejsze jednak z punktu wi-

dzenia tzw. «problemu Niemiec» są w książce ustępy, dotyczące niebezpieczeństwa ponownego powstania w Niemczech pewnej legendy na temat klęski. Wiadomo powszechnie, że po pierwszej wojnie stworzono legendę o niepokonalności armii niemieckiej i tzw. «ciosie w plecy» od wewnątrz. Na tej pożywczej wychodowana została z czasem idea odwetu i nowa wojna. Niezwykle ciekawe jest, że na to niebezpieczeństwo zwrócił hr. Bernadotte uwagę w jednej z rozmów z Himmlerem. Zarówno zdaniem autora, jak i jego rozmówcy Himmlera, zagadnienie «legendy» ma decydujące znaczenie dla przyszłości Niemiec i Europy. Po drugiej wojnie należało przeciwdziałać powstaniu dwu legend: jednej, wedle której Niemcy nie zostali pokonani militarnie, drugiej o bohaterskiej śmierci Hitlera. Wydaje się, że pierwsza legenda ma bardzo mało możliwości ugruntowania się. Mogła się ona łatwo zrodzić po pierwszej wojnie kiedy armie niemieckie kapitulowały na terytorium przeciwników, kiedy alianci nie okupowali Niemiec i kiedy naród niemiecki nie widział na własne oczy klęski, chaosu rozpadającej się armii, całkowitego zdruzgotania swej siły oporu wewnątrz Rzeszy. Zruceniu podstaw pod stworzenie drugiej legendy niestety nie udało się przeszkodzić. W decydującej chwili historycznej admirał Doenitz ogłosił, że «Nasz Führer Adolf Hitler padł. U kresu jego walki i nieugiętej prostej drogi życiowej stanęła bohaterska śmierć w stolicy Rzeszy... Największy bohater niemieckiej historii zeszedł z widowni dziejów.» Tymczasem, wedle nagromadzonych przez hr. Bernadotte faktów, prawda była zupełnie inna. Hitler zginął zlikwidowany przez zastrzyk, zaaplikowany mu przez otoczenie, które nie widziało innego sposobu unieszkodliwienia szaleńca. Bernadotte pisze: «...śmierć Adolfa Hitlera nie ma w sobie nic heroicznego. Opis jego bohaterskiej śmierci jest czystym wymysłem. Umarł jak tchórz...» Trudno jest sprawdzić jak dalece legenda Doenitza zapuściła korzenie w narodzie niemieckim. Niewątpliwie jednak źle się stało, że Alianci nie uczynili nic, aby zebrać odpowiednie dowody, pozwalające obalić tę legendę i je ogłosić.

Tłumaczenie polskie wspomnień hr. Bernadotte, dokonane przez Ro-

mana Szydłowskiego, jest raczej niechlujne. Nie brak w nim nawet błędów językowych. M. in. tłumacz używa stale tzw. ablativus judaicus!

O książce Osmańczyka i o samym autorze słyśmy i czytałem wiele dobrego. Toteż otwierałem ją z ciekawością. Po przeczytaniu natomiast zamykałem z rozczarowaniem. Osmańczyk ma niewątpliwie talent publicystyczny i na pewno zna Niemcy. Książka ma ustępy doskonałe, jest napisana żywo i sugestywnie. Jednakże autor pokusił się o rzecz, której dokonać nie mógł i nie potrafił. Aby pisać o całokształcie spraw Polaków, trzeba mieć pełną swobodę wypowiedzenia swoich sądów. Inaczej musi się dać obraz niepełny, przeinaczony, wynaturzony. Inaczej nieraz wychodzi zamiast obrazu karykatura. Stąd pełno w tej książce opuszczeń, niedopowiedzeń, przeinaczeń, uproszczeń. Każda niemal strona aż prosi się o polemikę. Nie można pisać o sprawach Polaków, kiedy musi się ograniczyć np. do stosunków polsko-niemieckich, a pominąć prawdę o stosunkach polsko-rosyjskich. To jedno. Ale nie tylko to. Pisać o całokształcie spraw Polaków na tle sytuacji międzynarodowej, przemian gospodarczych i politycznych świata, to przedsięwzięcie, któremu sprostać nie jest łatwo. Nie wystarczy na to talent publicysty i dobre pióro. Potrzebne jest też duże przygotowanie intelektualne, którego niestety Osmańczykowi brak. Jego poglądy na suwerenność, na strukturę organizacyjną społeczności międzynarodowej, na zagadnienia ekonomiczne są prymitywne, dziecinne niemal miejscami. Coś w rodzaju «jak sobie mały Edmundek wyobraża». W tak poważnie zakrojonej publikacji razi dziennikarska powierzchowność i przysłówotwo, a tu i ówdzie spotykane, «odkrywanie Ameryki» tonem proroka, objawiającego nieznaną nikomu dotąd prawdę.

Tyle powiedzić można ogólnie o książce Osmańczyka. Rozpatrując ją dalej pod kątem widzenia problemu Niemiec, pomijamy inne rozdziały. Pisząc o Niemczech, Osmańczyk czuje się pewnie. Jest na gruncie mu znanym. Do najlepszych ustępów pracy należą wywody o konieczności przygotowania się przez Polaków do sąsiedzkiego współżycia z narodem

niemieckim, jak też o powrocie narodu niemieckiego do społeczności narodów cywilizowanych świata i jego rychłym wyjściu z kręgu potępienia i odosobnienia. Osmańczyk rozwiewa złudzenia Polaków w Kraju (bo na emigracji już dawno tych złudzeń nie mamy), że 70 milionów Niemców żyć będzie przez czas dłuższy w izolacji od reszty świata, który będzie im pamiętać ich zbrodnie. Przestrzega więc Polaków przed kontynuowaniem na terenie międzynarodowym walki z Niemcami, a podkreśla konieczność sprowadzenia jej na płaszczyznę wyłącznej walki z duchem prusakstwa.

Mówiąc o narodzie niemieckim, Osmańczyk poszukuje również odpowiedzi na pytanie skąd wzięły się jego zbrodnie. Sprowadza jednak to zagadnienie do formułki niezwykle prostej (sam pisze, iż jest ona tak prosta, jak najprostszy wzór algebraiczny): «Nie byłoby totalnych zbrodni hitlerowskich, gdyby nie było totalnej nienawiści rasowej.» Formułka ta jest tak prosta, że aż nieprawdziwa. Nienawiść ludzi do ludzi ma swe źródła nie tylko w nienawiści rasowej. Nie tylko z niej rodzą się masowe zbrodnie. Wystarczy przytoczyć, że masowe zbrodnie dokonywane są od lat przeszło 30-tu przez reżim sowiecki, który nie kieruje się nienawiścią rasową, ale przede wszystkim szaleństwem doktrynalnym. Autor sam zresztą nie jest zbyt zadowolony ze swej tezy, skoro później rozpisuje się szeroko o tym, że źródłem takich zbrodni jest zojhdzenie człowieczeństwa. Wtedy jest dużo bliższy prawdy. Ale wtedy trudno zapomnieć, o czym autor zapomnieć musiał. O tym mianowicie, że na zupełnie zaprzeczeniu jednostce ludzkiej jej człowieczeństwa, na sprowadzeniu jej do cyfry, numeru, oparty jest dziś dalej ustrój sowiecki. Tak czy inaczej Osmańczyk nie daje zadowalającej, wyczerpującej odpowiedzi na postawione pytanie. Nie wyjaśnia jakie były głębokie i różnorodne źródła rzeczywiste niemieckiego szaleństwa.

Porównawcza charakterystyka narodów niemieckiego i polskiego jest efektowna i przekonująca. Nie mniej jednak zawiera bądź truízmy, bądź jest dość powierzchowna, zwłaszcza jeśli chodzi o Polaków. Osmańczyk słusznie podkreśla tak powszechnie znane i przez nikogo, a więc



też i przez nas samych, nie zapoznawane cnoty niemieckie, jak ogromna pracowitość, dyscyplina polityczna i społeczna, posłuszeństwo dla prawa. Wydaje się natomiast, że jego ujemna charakterystyka Polaków w porównaniu z tymi niemieckimi cnotami, jest znanym objawem dla epok klęsk narodowych. Już przechodziliśmy w historii okres, kiedy od samouwielbienia Polacy rzucili się w przeciwnieństwo krańcowe przesadnego samokrytycyzmu. Chwile, które przeżywamy obecnie, po klęsce jaką ponieśliśmy w drugiej wojnie światowej, przyniosły odrodzenie tych prądów. Spokojna analiza dwudziestolecia niepodległości doprowadza nas jednakże do zupełnie innych wniosków. Okres ten świadczy o ogromnej żywotności naszego narodu i o dużych zdolnościach organizacyjnych oraz ogromnym wysiłku polskiej pracy.

Wreszcie zagadnienie centralne książki Osmańczyka. Jej nić przewodnia, jej zasadnicza i główna synteza. O niepodległości narodów decyduje dziś nie siła ich państw, ale prężność ekonomiczna i kulturalna. (Czy te rzeczy się nie łączą w pewnym stopniu?). O możliwości życia Polaków obok Niemiec potężnych pracą decyduje wyłącznie stworzenie przez Polaków siły równej pracą i praworządnością. «Zaden układ sił w Europie i świecie nie gwarantuje nam naszej siły. Gwarancją siły Polski w każdym układzie sił w Europie i świecie jest tylko praca Polaków». Ta zasadnicza teza Osmańczyka jest znowu prymitywnym uproszczeniem. Wewnętrzna siła narodu, opierająca się na jego pracy, prężności kulturalnej i bogactwie ekonomicznym jest wprawdzie jednym, ale nie decydującym czynnikiem utrzymania niepodległości. Niekorzystny układ sił czy położenie geopolityczne, czy wreszcie choćby tylko liczebność narodu są to czynniki, których nie można zastąpić pracą. Do najpracowitszych narodów w Europie i bodaj na świecie należą Szwajcarzy. Mimo to niepodległość ich jest zależna całkowicie od układu sił między trzema wielkimi sąsiadującymi narodami. Wylimitowanie siły francuskiej i włoskiej w czasie ostatniej wojny zdało Szwajcarów na dobry lub zły nastrój Hitlera. Niepodległość pracowitych i gospodarnych narodów bałtyckich zależała od niepodległości (i dobrej

woli) «leniwych» i «sobiepańskich» Polaków. Podobnie i najpracowitszy naród słowiański Czesi nie potrafili utrzymać swej niepodległości. Żadna praca nie gwarantuje nam niepodległości między 70 milionami Niemców i 180 milionami imperium sowieckiego, choćbyśmy nawet pracowali bez wytchnienia 24 godziny na dobę i wszystkie wolne chwile poświęcili na pracę na niwie intensywnego rozmnażania się! Czynniki, które Osmańczyk wysuwa na plan pierwszy i którym przypisuje decydujące znaczenie, zaczną grać dopiero wtedy, gdy Niemcy utracą raz na zawsze podstawy swego potencjału wojennego inne niż praca tj. zagłębie śląskie i zagłębie Ruhry oraz gdy imperium sowieckie rozleci się na państwa narodowe.

◆ Broszura prof. Młynarskiego jest najlepszą pracą polską o Niemczech. Krótka, zwięzła, podbudowana materialem cyfrowym niewątpliwie autentyczności, ujmuje w doskonałą syntezę problem Niemiec i przyszłości Europy oraz Polski. Odbija niezwykle korzystnie swą spokojną, rzeczową argumentacją, opartą o przesłanki ekonomiczne i traktującą zagadnienie Niemiec z punktu widzenia interesu całej Europy a przede wszystkim Anglii, od powodzi wydawnictw szermujących przesłankami historycznymi, emocjonalnych reportaży łzawo wylizujących wszystkie ruiny zamczków piastowskich i każdą płytę nagrobną polską na terenie ziem odzyskanych. Jakkolwiek argumenty historyczne są dziś w modzie i nawet w sprawie Państwa Izraela wydobyto je z pyłu dwu tysięcy lat, tym nie mniej jednak na rynku międzynarodowym odgrywają one rolę jedynie i wyłącznie środka na uspokojenie sumienia możnych, zachowujących w swym ręku decyzje natomiast nie są w stanie nigdy ich przekonać. Prof. Młynarski słusznie w słowie wstępnym swej pracy podkreśla, że argumentacja nasza w sprawie ziem odzyskanych powinna położyć nacisk na wykazanie, że pozostawienie ich Polsce jest nakazem ogólnego interesu. Ponieważ zaś do umysłowości anglosaskiej przemawiają w pierwszym rzędzie argumenty natury ekonomicznej, przeto należy problem Niemiec postawić w świetle takiej koncepcji ekonomicznej, aby uwypuklić również interes

anglosaski. W drugim rzędzie należy wykazać, że Niemcy w tak obciętych granicach są w stanie się rozwijać i nie będą ciężarem dla gospodarki światowej. Dodajmy od siebie, że potem dopiero można wspomnieć o nakazach sprawiedliwości wobec Polski i naszych prawach historycznych, co znacznie umożliwi światu zachodniemu przyjęcie rozwiązania zgodnego z jego własnym interesem i ukoi jego ewentualne «wyrzuty sumienia».

Problem Niemiec w Europie sprotawdza prof. Młynarski do trzech zagadnień: zlikwidowania możliwości odbudowy potencjału wojennego, utrzymania zdolności do życia obciętego organizmu Rzeczy, zlikwidowania ducha prusactwa. Na zagadnienie pierwsze jest postawiony największy nacisk, przy czym prof. Młynarski operuje wyłącznie cyframi zaczerpniętymi z książki Keynes'a *The economic consequences of the Peace*, słynnej i ulubionej «reference-book» polityków anglosaskich, co jeszcze dodaje siły przekonywującej jego argumentom. Potencjał wojskowy Niemiec, który umożliwił im dwukrotne sięgnięcie po władzę nad światem jest oparty o potencjał gospodarczy. Skupiwszy w swym ręku największe złoża węgla w Europie, Niemcy po zajęciu złóż rudy żelaznej w Lotaryngii w r. 1871, stworzyły największy blok węgla i żelaza i w oparciu o największą potęgę gospodarczą na kontynencie. Fakt ten zachwiał równowagą gospodarczą Europy a następnie jej równowagą polityczną. Z potęgi zaś gospodarczej wyrosły na drożdżach prusactwa apetyty imperialne Niemiec i ich marzenia panowania nad całym światem. Autor pisze: «Kto nie dostrzegł dotychczas przełomowego znaczenia koncentracji największych zasobów węgla i żelaza w cesarstwie niemieckim, ten nigdy nie zrozumie ani genyzy pierwszej wojny światowej, ani drugiej».

Traktat wersalski nie zmienił zasadniczo struktury gospodarczej Niemiec. «Głównym błędem Wersalu było pozostawienie Niemcom ich dominującego bloku węglowego, który był fundamentem dla pierwszej agresji w 1914 r. i pozostał nim dla drugiej agresji w 1939 r.». Strata na rzecz Polski przez oddanie części Górnego Śląska wynosiła zaledwie 23 % produkcji, a zagłębia Saary 7 %, co zostało zresztą zrównowa-

żone zwiększeniem produkcji węgla brunatnego. Autor podkreśla nieznaczniejszą rolę Keynes'a oraz winę Anglii, która, w obawie o zdolność płatniczą Niemiec i o wypracalność przyszłego klienta, starała się o nienaruszenie podstaw gospodarczej potęgi niemieckiej i obroniła Niemcy w Wersalu od utraty reszty Śląska oraz Saary na stałe. Tylko utrata na stałe całego zagłębia śląskiego i Saary oraz stała międzynarodowa kontrola produkcji zagłębia Ruhry może zapewnić podstawy bezpieczeństwa, gdyż podcina źródła niemieckiego potencjału wojskowego. Równocześnie zaś granica na Odrze i Nysie Łużyckiej podwyższa potencjał gospodarczy Europy wschodniej a więc usuwa niezdrowy brak równowagi gospodarczej między Niemcami a Polską, pozostawiając jednakże Niemcom dość węgla dla rozwoju produkcji pokojowej, co autor udowadnia szeregiem cyfr i danych statystycznych.

Kolejno rozpatruje prof. Młynarski problem, czy w nowych granicach Niemcy mogą pomyślnie pracować i wyżyć. Jest to ważne, gdyż jak wiadomo, z tego właśnie ukuli Niemcy nowy argument rewizjonistyczny. Autor rozprawia się z argumentem utraty przez Niemcy «wschodniego spichlerza». Po pierwsze ziemie wschodnie wcale tych spichlerzem nie były. Po drugie Niemcy dzisiaj stoją wobec faktu zmniejszenia się przyrostu ludności. Po trzecie i najważniejsze: produkcja przemysłowa Niemiec pozostaje, w oparciu o zachowany, mimo amputacji, blok węgla ok. 250 milionów ton rocznie (łącznie z brunatnym), tak duża, że tylko istnienie deficytu żywnościowego i związana z nim konieczność produkcji pokojowej i wywozu, może zlikwidować przewagę ekonomiczną Niemiec w stosunku do Anglii, mającej zawsze ogromny deficyt żywnościowy. Tak więc powiększenie deficytu żywnościowego Niemiec zmusza je do polityki pokojowej. Konieczność produkcji pokojowej na wywóz dla zdobycia surowców i żywności uniemożliwia im w znacznym stopniu powrót do produkcji wojennej.

Zdaniem prof. Młynarskiego na drogę podboju i zbrodni pełnęły naród niemiecki Prusy. Istota zlego w Niemcach nie była bynajmniej nalożeniem powierzchniowym, tkwiła dość głęboko w ogólnym spruszczeniu

niemieckiego narodu. Aby więc wyleczyć naród niemiecki trzeba zdaniem autora zlikwidować raz na zawsze sztab niemiecki i junkerstwo pruskie, z którego ten sztab się rozradza i odnawia stale od z górą 200 lat. W tym celu należy przez radykalną reformę rolną zniszczyć warstwę junkierską. Wywód ten nie wydaje się zupełnie słuszny. Sam prof. Młynarski pyta w jednym miejscu: «Gdzie się podziały miliony demokratów, socjalistów i komunistów?» Odpowiemy za niego — wstąpiły do partii hitlerowskiej. Szereg znanych dziś dokumentów, dotyczących zamachów na Hitlera i spisów opozycyjnych, świadczy o tym, że właśnie jedynie warstwa starych junkrów pruskich wydała ze siebie jakąś opozycję antyhitlerowską. Nie zmienia to postaci rzeczy, iż likwidacja Prus znacznie ułatwiłaby demokratyzację Niemiec.

Do tego ostatniego zagadnienia podszedł autor zbyt głęboko. Zajął się bowiem problemem demokracji wogóle, jej kryzysem, zagadnieniem wyłaniania elity itp. Rozważania jego w tym zakresie, niezwykle ciekawe, wymagają jednak obszerniejszej dyskusji i przerastają zarówno ramy i założenia jego pracy, jak też i ramy niniejszej recenzji.

W zakończeniu prof. Młynarski zastanawia się nad tym, dlaczego Anglia i Zachód zdają się dziś powtarzać błąd wersalski i, kwestionując granicę polską na Odrze i Nysie, przygotowują odbudowę potęgi niemieckiej. Powtarzając błąd wer-

salski — woła — torujemy drogę do trzeciej wojny światowej. A ta trzecia wojna przyniesie spełnienie przepowiedni Keynes'a i zginie nasza cywilizacja, będąca syntezą etyki chrześcijańskiej i rzymskiego prawa, a fala barbarzyństwa zaleje nasz kontynent, jak przed wiekami zalała państwo rzymskie. Dlaczego? Autor sam daje odpowiedź stawiając pytanie: «Czy kwestia przeciwwagi dla Rosji Sowieckiej?». Tu właśnie jest sedno rzeczy, o którym naturalnie prof. Młynarski pisać nie mógł, ale którego świadomie lub nieświadomie dotknął tym pytaniem. Granica Polski na Odrze jest dziś dla Zachodu całego, a więc i dla Anglii, granicą sowiecką. I dlatego niepokoi. Dziś Niemcy stanowią znacznie mniejsze i bez porównania odleglejsze niebezpieczeństwo dla naszej cywilizacji niż Sowiety. Fala barbarzyństwa zalała już połowę kontynentu i cywilizacja, będąca syntezą etyki chrześcijańskiej oraz prawa rzymskiego jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zagrożona przez wchodnio-azjatyckiego barbarzyńcę. Walka Zachodu o ponowne cofnięcie granicy polsko-niemieckiej na wschód jest w tej chwili walką o cofnięcie tego zalewu barbarzyństwa. I dlatego jak długo granica polska będzie równocześnie granicą sowiecką Anglosasi jej nie uznają. To jest jeszcze jedna prawda w problemie Niemiec i granicy polsko-niemieckiej. Prawda, o której naturalnie w Kraju pisać nie można.

Aleksander KORCZYŃSKI.

## WSZYSCY JUŻ WIEDZĄ

że n a j l e p i e j z a o p a t r z o n ą k s i e g a r n i ą w e F r a n c j i j e s t

SKŁADNICA  
KSIĄŻKI POLSKIEJ „LIBELLA”

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>). Métro: Sully-Morland

● ŻĄDAJCIE BEZPŁATNYCH KATALOGÓW ●

# KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Cena egzemplarza:

we FRANCJI 90 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZACH 200 lir;  
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZACH 2,50 Mk.; w SZWAJCARII 1,80 fr. szw.  
w BELGII 20 fr. belg.; w ARGENTYNIE 2,50 peso.

Warunki prenumeraty:

we FRANCJI: roczna 800 fr.; ½-roczna 500 fr.  
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; ½-roczna 16 sh.  
we WŁOSZACH: roczna 2000 lir; ½-roczna 1200 lir  
w SZWECJI: roczna 22 kor.; ½-roczna 12 kor.  
w NIEMCZACH: roczna 25 Mk.; ½-roczna 15 Mk.  
w SZWAJCARII: roczna 18 fr.szw.; ½-roczna 10 fr.s.  
w USA i Kanadzie: roczna 6 dol., ½-roczna 4 dolary  
w ARGENTYNIE: roczna 25 peso; ½-roczna 15 peso  
w BELGII roczna 180 fr.b.; ½-roczna 100 fr.b.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Przedstawicielstwa:

W W. BRYTANII: „GRYP” Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London, E.C.1.  
We FRANCJI: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île — Paris (IV<sup>e</sup>)  
We WŁOSZACH: Jan Grochowki, 81, via della Croce, Roma  
W SZWECJI: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm.  
W NIEMCZACH: Wydawnictwo «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel Bienberg, U. S. Zone.  
W SZWAJCARII: Redakcja «P o d P r ą d», — F r i b o u r g 2, Case 10  
W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej «Libreria Polaca», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires.  
W KANADZIE: Polska Agencja Książek i Czaopism, Sault Ste Marie, Ontario, 762 Queen St. East.  
W U.S.A.: zamówienia i wpłaty kierować: „Harvard Trust Company”, Harvard Square, Cambridge, Mass., na konto M. K. Dziwianowski.  
W BELGII: do nabycia w Librairie et Bibliothèque „Slave”, 13, rue de Roumanie, Bruxelles.

Adres Redakcji: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV<sup>e</sup>.  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się  
listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

**Drukarnia, papier, honoraria –  
to kosztuje.**

**Bez pomocy swych czytelników  
żadne pismo nie może istnieć.**

**Nie wystarczy chwalić –  
trzeba pismo prenumerować  
i zdobywać dla niego nowych  
p r e n u m e r a t ó w.**

Zawiadamiamy prenumeratorów i czytelników, że  
przedstawicielem „KULTURY” i INSTYTUTU  
LITERACKIEGO na W. Brytanię od lipca rb. jest

**„GRYF” Publications Ltd.**

**59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1**

Tel.: CHAncery 5094

*We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą  
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać  
się do wymienionej firmy*